

# Głos nocy

Dean Koontz



calibre 0.9.27

**DEAN KOONTZ**

***GŁOS NOCY***

THE VOICE OF THE NIGHT

PRZEŁOŻYŁ: JAN KABAT

1980

*Starym przyjaciółom -*

*Harry'emu i Dianie Recardom*

*Andy'emu i Annie Wickstromom*

*którzy, niczym wino, stają się z roku na rok coraz lepsi*

*Zimny dreszcz trwogi przebiega przez żyły*

[WILLIAM SHAKESPEARE, tłum. S. Barańczak]

**CZEŚĆ PIERWSZA**

- Zabiłeś coś kiedykolwiek? - spytał Roy.

Colin zmarszczył brwi.

- Na przykład co?

Chłopcy siedzieli na wysokim wzgórzu położonym przy północnym krańcu miasta. W dole rozciągał się ocean.

- Wszystko jedno - powiedział Roy. - Czy w ogóle zabiłeś coś kiedykolwiek?

- Nie wiem, co masz na myśli - powiedział Colin.

W oddali, po wodzie, na której tańczyły promienie słońca, płynął ogromny statek, kierując się na północ, w stronę odległego San Francisco. Bliżej wybrzeża wznosiła się platforma wiertnicza. Na opustoszałej plaży stado ptaków niezmordowanie dziobało mokry piach w poszukiwaniu swojego lunchu.

- Musiałeś coś przecież zabić - powiedział Roy niecierpliwie. - A robaki?

Colin wzruszył ramionami.

- Pewnie. Moskity. Mrówki. Muchy. I co z tego?

- Jak ci się to podobało?

- Co podobało?

- Zabijanie.

Colin patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, wreszcie potrząsnął głową.

- Dziwnie się czasem zachowujesz, Roy.

Roy uśmiechnął się szeroko.

- Lubisz zabijać robaki? - spytał niespokojnie Colin.

- Czasem.

- Dlaczego?

- To prawdziwy trzask.

Wszystko, co uważał za zabawne, wszystko, co go podniecało, Roy nazywał „trzaskiem”.

- Co tu lubić? - spytał Colin.

- Odgłos, jaki wydają, gdy się je rozgniata.

- No tak.

- Wyrwałeś kiedyś modliszce nogi i patrzyłeś, jak próbuje potem chodzić? - spytał Roy.

- To głupie. Naprawdę głupie.

Roy odwrócił się w stronę huczącego uparcie morza i buntowniczo podparł się pod boki, jakby rzucał wyzwanie nadpływającej fali. Była to typowa dla niego poza - był urodzonym wojownikiem.

Colin miał 14 lat, tyle samo co Roy, i nigdy nie rzucał wyzwania nikomu ani niczemu.

Unoszony nurtem wydarzeń, nigdy nie próbował im się przeciwstawiać. Przekonał się dawno temu, że opór wywołuje ból.

Teraz - gdy siedzieli razem na pokrytym rzadką i suchą trawą wzgórzu - patrzył z zachwytem na przyjaciela.

Nie odwracając wzroku od morza, Roy spytał”

- Zdarzyło ci się zabić coś większego niż robaki?

- Nie.

- A mnie tak.

- Naprawdę?

- Mnóstwo razy.

- Co zabijałeś? - spytał Colin.

- Myszy.

- Słuchaj - powiedział Colin, nagle coś sobie przypominając - mój tata zabił kiedyś nietoperza.

Roy spojrział na niego.

- Kiedy to było?

- Kilka lat temu, w Los Angeles. Mama i tata byli jeszcze razem. Mieliśmy dom w Westwood.

- I właśnie tam zabił tego nietoperza?

- Tak. Musiały chyba mieszkać na strychu. Jeden z nich wpadł do sypialni rodziców. To było w nocy. Obudziłem się i usłyszałem krzyk mamy.

- Była nieźle wystraszona, co?

- Przerazona.

- Naprawdę szkoda, że tego nie widziałem.

- Wybiegłem na korytarz i pobiegłem do ich sypialni. Nietoperz latał pod sufitem.

- Była naga?

Colin zrobił zdziwioną minę.

- Kto?

- Twoja matka.

- Oczywiście, że nie.

- Myślałem, że może spała nago, a ty ją zobaczyłeś.

- Nie - powiedział Colin. Czuł, że się czerwieni.

- Miała na sobie peniuar?

- Nie wiem.

- Nie wiesz?

- Nie pamiętam - powiedział niepewnie Colin.

- Gdybym to ja ją zobaczył, zapamiętałbym, jak dwa razy dwa cztery.

- No cóż, chyba miała peniuar - powiedział Colin. - Tak, teraz sobie przypominam.

W rzeczywistości nie pamiętał, czy miała na sobie piżamę, czy futro, i nie pojmował, dlaczego Roy przywiązuje do tego aż takie znaczenie.

- Był przezroczysty?

- Co było przezroczyście?

- Na litość boską, Colin! Czy peniuar był przezroczysty?

- A niby dlaczego miał być przezroczysty?

- Czy ty jesteś kretyn?

- Dlaczego miałbym gapić się na własną matkę?

- Bo jest nieźle zbudowana, dlatego.

- Chyba żartujesz!

- Ma ładne piersi.

- Nie bądź śmieszny, Roy.

- I ma kapitalne nogi.

- Skąd wiesz?

- Widziałem ją w kostiumie kąpielowym - powiedział Roy. - Jest niezła.

- Jaka?

- Sexy.

- Jest moją matką!

- No to co z tego?

- Czasem mnie zadziwiasz, Roy.

- Jesteś beznadziejny.

- Ja? Rany.

- Beznadziejny.

- Wydawało mi się, że rozmawiamy o nietoperzu.

- No i co się stało z tym nietoperzem?

- Mój tata przyniósł miotłę i strącił go na podłogę. Walił w niego tak długo, aż wreszcie przestał piszczeć. Żałuj, że nie słyszałeś tego pisku. - Colin wzdrygnął się. - To było okropne.

- Krew?

- He?

- Czy było dużo krwi?

- Nie.

Roy znów spojrzał na morze. Nie wydawał się poruszony opowieścią o nietoperzu.

Ciepła bryza plątała mu włosy. Miał gęste, złote włosy i zdrową, piegowatą twarz, taką, jakie widuje się w reklamach telewizyjnych. Był dobrze zbudowany - silny jak na swój wiek i atletyczny.

Colin żałował, że nie wygląda tak jak Roy.

Pewnego dnia, gdy będę bogaty - myślał - wkroczę do gabinetu chirurga plastycznego

z milionem dolców i fotografią Roya w kieszeni. Każę zmienić swój wygląd. Absolutna

metamorfoza. Chirurg zrobi mi płowe włosy. A potem spyta: - „Nie chcesz już mieć tej

chudej, bladej twarzy, co? Nie dziwię ci się. Kto by chciał? Zrobimy z ciebie przystojnego

faceta”. - Zajmie się też moimi uszami. Kiedy skończy, nie będą już takie duże. I zrobi coś z

tymi cholernymi oczami. Nie będę już musiał nosić tych grubych szkieł. I jeszcze spyta:

„Chcesz, żebym wzmocnił trochę twoją klatkę piersiową, ręce i nogi? Żaden problem. Proste

jak drut”. - I wówczas nie będę tylko wyglądał tak jak Roy. Będę równie mocny jak on i nie

będę się bał niczego, niczego w świecie. Tak. Ale chyba będzie lepiej, jak wkroczę do gabinetu z dwoma milionami.

Wciąż obserwując statek płynący po morzu, Roy powiedział”

- Zabijałem także większe stworzenia.

- Większe od myszy?

- Pewnie.

- Na przykład?

- Koty.

- Zabiłeś kota?

- Przecież mówię, nie?

- Dlaczego?

- Z nudów.

- To nie powód.

- To było coś.

- Rany.

Roy odwrócił się.

- Ale kit - powiedział Colin.

Roy przykucnął przed Colinem i wlepił w niego wzrok.

- To był trzask. Naprawdę niezły trzask.

- Trzask? Zabawa? Co może być zabawnego w zabiciu kota?

- A dlaczego nie miałyby być zabawne? - spytał Roy.

Colin był jednak sceptyczny.

- Jak go zabiłeś?

- Najpierw wsadziłem do klatki.



- Jakiej klatki?
- Starej klatki dla ptaków, trzy stopy kwadratowe.
- Skąd ją wzięłeś?
- Leżała w piwnicy. Kiedyś moja matka miała papugę. I kiedy ta papuga zdechła, nie kupiła sobie nowej, ale też zostawiła klatkę.
- Czy to był twój kot?
- Skąd. Sąsiadów.
- Jak się nazywał?

Roy wzruszył ramionami.

- Gdyby ten kot istniał naprawdę, pamiętałbyś jego imię.
- Fluffy. Miał na imię Fluffy.
- Brzmi przekonująco.
- Tak się właśnie nazywał. Wsadziłem go do klatki i pracowałem nad nim za pomocą drutu do robótek.
- Pracowałeś nad nim?
- Wpychałem drut między pręty klatki. Chryste, szkoda, że tego nie słyszałeś.
- Dzięki.
- To był naprawdę stuknięty kot. Prychał, wrzeszczał i próbował mnie podrapać.
- Więc zabiłeś go drutem dziewiarskim?
- Nie. Te druty tylko go rozwścieczyły.
- Nietrudno się domyślić.
- Później przyniosłem z kuchni długi widelec do mięsa i tym go zabiłem.
- Gdzie byli wtedy twoi rodzice?
- W pracy. Zakopałem kota i wytarłem krew przed ich powrotem do domu.

Colin potrząsnął głową i westchnął.

- Co za bujda.

- Nie wierzysz mi?

- Nigdy nie zabiłeś żadnego kota.

- Po co miałbym zmyślać coś takiego?

- Chcesz mnie sprawdzić. Chcesz, żeby zrobiło mi się niedobrze.

Roy wyszczerzył zęby.

- A zrobiło ci się niedobrze?

- Oczywiście, że nie.

- Trochę zbladłeś.

- Nie możesz przyprawić mnie o mdłości, ponieważ nigdy nic takiego się nie wydarzyło. Nie było żadnego kota.

Oczy Roya były zimne i przenikliwe. Colinowi wydało się, że to ostre spojrzenie przewierca go jak widelec do mięsa.

- Jak długo mnie znasz? - spytał Roy.

- Od dnia, w którym sprowadziliśmy się tutaj z mamą.

- Więc jak długo?

- Wiesz przecież. Od pierwszego czerwca. Miesiąc.

- Czy chociaż raz cię okłamałem? Nie. Ponieważ jesteś moim przyjacielem. Nie okłamałbym przyjaciela.

- Niezupełnie kłamiesz. Po prostu bawisz się w jakąś grę.

- Nie lubię gier.

- Ale lubisz sobie pozartować.

- Teraz nie żartuję.

- Oczywiście, że żartujesz. Podpuszczasz mnie. Jak tylko powiem, że wierzę w tę historię z kotem, wyśmiejesz mnie. Nie dam się na to złapać.

- No cóż - powiedział Roy. - Próbowałem.

- Ha! Więc jednak mnie podpuszczałeś!

- Jeśli tak uważasz, to w porządku.

Roy odszedł na bok. Zatrzymał się dwadzieścia stóp od Colina i znów odwrócił się w stronę morza. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w zamglony horyzont. Colin, który był zapalonym czytelnikiem literatury sf, miał wrażenie, że Roy nawiązuje telepatyczną, tajemną więź z czymś, co kryło się daleko, w głębokiej, ciemnej, wzburzonej wodzie.

- Roy? - Żartowałeś, mówiąc o tym kocie?

Roy odwrócił się, popatrzył na niego zimno i uśmiechnął się szeroko.

Colin też się uśmiechnął.

- No tak. Wiedziałem. Próbowałeś zrobić ze mnie głupca.

Colin położył się płasko na plecach, zamknął oczy i przez chwilę prażył się na słońcu.

Nie mógł przestać myśleć o kocie. Próbował wyobrazić sobie przyjemne rzeczy, ale każda zamieniała się w obraz zakrwawionego kota w klatce dla ptaków. Zwierzę miało szeroko otwarte oczy, martwe, ale wciąż czujne. Colin był pewien, że kot czeka, by zbliżyć się do niego, że poluje na okazję i za chwilę wysunie swe ostre jak brzytwa pazury.

Coś uderzyło go w stopę.

Usiadł przestraszony.

Roy patrzył na niego z góry.

- Która godzina?

Colin zamrugał i spojrzał na zegarek.

- Dochodzi pierwsza.

- Rusz się. Wstawaj.

- Dokąd idziemy?

- Moja stara pracuje popołudniami w sklepie z upominkami - powiedział Roy. - Mamy dla siebie cały dom.

- Co będziemy tam robić?

- Chciałbym ci coś pokazać.

Colin wstał i otrzepał z piaszczystej ziemi dżinsy.

- Chcesz mi pokazać, gdzie zakopałeś kota?

- Myślałem, że nie wierzysz w tę historię.

- Bo nie wierzę.

- Więc daj sobie spokój. Chcę ci pokazać kolejkę.

- Jaką kolejkę?

- Zobaczysz. To prawdziwy trzask.

- Ścigamy się aż do miasta?

- Jasne.

- Jazda! - krzyknął Colin.

Jak zwykle Roy pierwszy dopadł roweru. Był już o pięćdziesiąt jardów dalej, pędząc pod wiatr, zanim Colin zdążył postawić stopę na pedale.

Samochody, furgonetki, wozy campingowe, powolne karawany mieszkalne przepychały się w poszukiwaniu dogodnego miejsca na dwupasmowej asfaltowej szosie.

Colin i Roy jechali po zabrudzonym olejem poboczu.

Przez większość roku na Seaview Road ruch był niewielki. Przyjezdni korzystali z obwodnicy okalającej Santa Leone.

W czasie sezonu miasto było zatłoczone. Pękało w szwach od turystów, jadących zbyt szybko i zbyt nieuważnie. Zdawało się, że ścigają ich demony. Zachowywali się jak szaleńcy, gnając na złamanie karku w poszukiwaniu wypoczynku, wypoczynku, wypoczynku.

Colin zjechał z ostatniego wzgórza, kierując się w stronę peryferii Santa Leone. Wiatr chłostał go po twarzy, plątał włosy i przepędzał kłęby samochodowych spalin.

Uśmiechał się bezwiednie. Już dawno nie czuł się tak dobrze.

Miał powody do zadowolenia. Czekają go jeszcze dwa miesiące jasnego kalifornijskiego lata, dwa miesiące wolności przed początkiem roku szkolnego. Poza tym, po odejściu ojca, nie bał się już codziennych powrotów do domu.

Wciąż przeżywał rozwód rodziców. Ale ich rozstanie było lepsze od głośnych i tak bardzo bolesnych awantur, które przez kilka ładnych lat stanowiły nieodłączny rytuał każdej nocy.

Czasem, w snach, Colin wciąż słyszał wykrzykiwane oskarżenia, nietypowe dla matki

wulgarnie słowa, których używała w szczytowym momencie kłótni, nieunikniony odgłos wymierzanego przez ojca ciosu, wreszcie płacz. Bez względu na to, jak ciepło było w sypialni, zawsze budził się przemarznięty i drżący, choć oblany potem.

Nie był blisko związany z matką, ale życie z nią było przyjemniejsze niż z ojcem.

Matka nie podzielała ani nawet nie rozumiała jego zainteresowań - sf, horrory, komiksy, opowieści o wilkołakach i wampirach, filmy grozy - nigdy jednak nie zabraniała mu zajmować się takimi rzeczami, tak jak próbował robić to ojciec.

Ale to, co naprawdę uczyniło go szczęśliwym, nie miało nic wspólnego z rodzicami.

Chodziło o Roya Bordena. Po raz pierwszy w życiu Colin miał przyjaciela.

Był zbyt nieśmiały, by łatwo nawiązywać przyjaźnie.

Czekał, aż ktoś inny zbliży się do niego, nawet jeśli wiedział, że jest mało

prawdopodobne, by ktokolwiek zainteresował się chudym, niezgrabnym, krótkowzrocznym, zatopionym w książkach chłopcem, który nie przepada za sportem i nieczęsto ogląda telewizję.

Roy Borden był pewny siebie i towarzyski. Cieszył się znaczną popularnością wśród

rówieśników. Colin podziwiał go i zazdrościł mu. Niemal każdy chłopiec w mieście byłby dumny, gdyby mógł uchodzić za przyjaciela Roya. Z powodów, których Colin nie rozumiał,

Roy wybrał właśnie jego. Włóczenie się po mieście z kimś takim jak Roy, powierzanie mu

swoich tajemnic, wysłuchiwanie jego sekretów - wszystko to było dla Colina czymś zupełnie nowym. Czuł się jak żalosny żebrak, obdarzony w cudowny sposób łaską wielkiego księcia.

Colin bał się, że wszystko to skończy się tak nagle, jak nagle się zaczęło. Ta myśl

przyprawiała go o szybkie bicie serca. Czuł suchość w ustach.

Zanim spotkał Roya, był zawsze samotny. Jednak teraz, gdy już poznał smak

przyjaźni, powrót do dawnego stanu byłby zbyt bolesny.

Dotarł do podnóża długiego wzniesienia.

Roy, który minął kolejną przecznicę, skręcił na rogu w prawo.

Colinowi przyszło nagle do głowy, że przyjaciel mógł sobie z niego zakpić, zniknąć gdzieś w dole ulicy i ukryć się przed nim na zawsze. Była to szalona myśl, ale Colin nie mógł się od niej uwolnić.

Pochylił się nisko nad kierownicą. Poczekaj na mnie, Roy. Poczekaj, proszę! - powtarzał w myśli. Pedałował szaleńczo, próbując dogonić przyjaciela.

Kiedy skręcił na rogu, zobaczył z ulgą, że Roy nie zniknął, a nawet zwolnił. Odwrócił się szukając go wzrokiem. Colin pomachał mu. Dzielili ich odległość zaledwie dziesięciu jardów. Już się nie ścigali - obydwaj wiedzieli, kto będzie zwycięzcą.

Roy skręcił w wąską uliczkę obrośniętą daktyłowcami. Colin jechał za nim, zanurzając się w miękkie cienie, które rzucały palmowe liście poruszane wiatrem.

Tamta rozmowa na wzgórzu wciąż powracała do niego jak echo.

- *Zabiłeś kota?*

- *No przecież mówię, nie.*

- *Dlaczego to zrobiłeś?*

- *Z nudów.*

Colin miał wrażenie, nie po raz pierwszy zresztą w ciągu ostatniego tygodnia, że Roy poddaje go próbie. Był przekonany, że koszmarna opowieść o kocie jest właśnie taką próbą, ale nie wiedział, czy zareagował właściwie. Zdał egzamin czy oblał?

Choć nie mógł odgadnąć, jakiej odpowiedzi oczekiwał Roy, wyczuwał instynktownie, dlaczego poddał go temu sprawdzianowi.

Wiedział, że przyjaciel skrywa wspaniały, a może nawet przerażający sekret, coś, czym chce się z nim podzielić, ale pragnie się upewnić, że Colin zasługuje na zaufanie.

Roy nigdy nie zdradził swojej tajemnicy - ani jednym słowem, ale można ją było dostrzec w jego oczach. Colin widział tylko jakiś niewyraźny zarys czegoś groźnego i fascynującego, ale nie mógł zobaczyć żadnych szczegółów i zastanawiał się, co też to może być.



Gdy byli dwie przecznice od domu, Roy skręcił w lewo, w inną ulicę i przez chwilę Colin znów był prawie pewien, że przyjaciel chce go zgubić. Ale on wjechał na podjazd przy jednym z budynków i zsiadł z roweru. Colin zatrzymał się obok niego.

Był to ładnie utrzymany, biały dom z ciemnoniebieskimi okiennicami. W otwartym garażu stała dwuletnia honda accord, a pod uniesioną maską pochylał się jakiś mężczyzna.

Był oddalony od Roya i Colina o jakieś trzydzieści stóp i nie zdążył się jeszcze zorientować, że ma towarzystwo.

- Co my tu robimy? - spytał Colin.

- Chcę, żebyś poznał trenera Malinoffa.

- Kogo?

- Trenuje pierwszą reprezentację juniorów w futbolu - wyjaśnił Roy. - Chcę, żebyś go poznał.

- Po co?

- Zobaczysz.

Roy podszedł do mężczyzny.

Colin ruszył niechętnie za nim. Poznawanie nowych ludzi nie było jego mocną stroną.

Nigdy nie wiedział, jak się zachować, ani co powiedzieć. Był przekonany, że pierwsze wrażenie, jakie wywiera na obcych, jest fatalne, i dlatego nie znosił podobnych sytuacji.

Trener Malinoff uniósł głowę znad silnika hondy, gdy usłyszał zbliżających się chłopców. Był wysokim, barczystym, jasnowłosym mężczyzną o szaroniebieskich oczach.

Gdy zobaczył Roya, uśmiechnął się szeroko.

- Hej, Roy, z czym przychodzisz?

- Trenerze, to jest Colin Jacobs. Jest tu nowy. Przeprowadził się z Los Angeles. Od

jesieni będzie chodził do Centralnej. Do mojej klasy.

Malinoff wyciągnął ogromną, twardą dłoń.

- Miło cię poznać.

Colin przywitał się niezgrabnie, jego własna drobna dłoń zniknęła w niedźwiedzim uścisku Malinoffa. Palce trenera były trochę lepkie.

Zwracając się do Roya, Malinoff spytał”

- Jak ci mija lato, kolego?

- Nieźle - powiedział Roy. - Ale głównie zabijam czas i czekam na koniec sierpnia, kiedy zaczną się przedsezonowe treningi.

- To będzie wspaniały rok - powiedział trener.

- Wiem - odpowiedział Roy.

- Jesteś tak samo dobry, jak w zeszłym roku - stwierdził Malinoff - i może trener

Penneman pozwoli ci pod koniec sezonu zagrać przez jedną kwartę w pierwszej reprezentacji.

- Naprawdę tak pan uważa?

- Co się tak dziwisz? Jesteś najlepszym graczem w drużynie juniorów i dobrze o tym wiesz. Fałszywa skromność to nic dobrego, kolego.

Roy i trener zaczęli omawiać strategię futbolu, podczas gdy Colin milczał. Ten temat

był mu całkowicie obcy. Nigdy nie przejawiał zainteresowania sportem. Gdy pytano go o

jakąkolwiek dyscyplinę lekkoatletyczną, zawsze odpowiadał, że sport go nudzi i że woli

czytać książki i oglądać filmy. Tak naprawdę, choć literatura i kino dawały mu mnóstwo

satysfakcji, czasem żałował, że nie może przeżyć tej szczególnej solidarności, która łączy

sportowców. Chłopcu takiemu jak on, stojącemu z boku, świat sportu wydawał się

fascynujący i intrygujący, nie marzył o nim jednak: miał świadomość, że natura nie dała mu

niczego, co mogłoby uczynić go liczącym się zawodnikiem. Ze swoją krótkowzrocznością,

chudymi nogami i szczupłymi ramionami zawsze był tylko słuchaczem i obserwatorem - nigdy zawodnikiem.

Malinoff i Roy rozmawiali o futbolu jeszcze przez jakąś chwilę, po czym Roy spytał”

- A co z menedżerem drużyny, trenerze?

- A o co chodzi?

- No cóż, w zeszłym roku miał pan Boba Freemonta i Jima Safinelli. Ale rodzice Jima przeprowadzili się do Seattle, a Bob będzie obsługiwał drużynę dopiero w następnym sezonie.

Potrzebuję pan kilku nowych chłopaków.

- Masz kogoś konkretnego na myśli? - spytał Malinoff.

- Tak - powiedział Roy. - Może by tak dać szansę Colinowi?

Colin otworzył oczy ze zdumienia.

Trener przyjrzał mu się krytycznie.

- Wiesz, o co chodzi, Colin?

- Dostaniesz swój własny strój - wyjaśnił Roy. - Będziesz siedział na ławce obok zawodników podczas każdego meczu. I będziesz jeździł naszym autobusem na wszystkie zamiejscowe rozgrywki.

- Roy mówi tylko o przyjemnych stronach tej pracy - powiedział trener. - To drobne korzyści wynikające z funkcji menedżera drużyny. Będziesz miał również obowiązki. Na przykład zbieranie i przygotowywanie strojów do prania. Dostarczanie ręczników. Będziesz się musiał nauczyć, jak masować zawodnikom szyje i ramiona. Będziesz załatwiał dla mnie różne sprawy. I to też nie będzie wszystko. Na twoje barki spadnie wielka odpowiedzialność.

Myślisz, że dasz radę?

Nagle, po raz pierwszy w życiu, Colin ujrzał samego siebie nie jako biernego

obserwatora, ale jako uczestnika. Kogoś, kto obraca się we właściwych kręgach, obcuje z

chłopakami, którzy cieszyli się w szkole największą popularnością. W głębi duszy wiedział, że menedżer zespołu jest łagodniejszym określeniem chłopca na posyłki, ale odpychał od siebie wszelkie negatywne wyobrażenia o swojej przyszłej funkcji. Najważniejszą rzeczą - niewiarygodną wprost rzeczą - było to, że miał stać się częścią świata, dotąd tak odległego i obcego. Będzie akceptowany przez zawodników; przynajmniej w jakimś stopniu będzie jednym z chłopaków. Jednym z chłopaków! Obraz życia menedżera, jaki pojawił się w jego wyobraźni, był oszałamiający i niezwykle pociągający. Bo Colin stał zawsze z boku. Nie mógł do końca uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- No i co? - spytał trener Malinoff. - Myślisz, że będziesz dobrym menedżerem?

- Będzie doskonały - powiedział Roy.

- Chciałbym spróbować - powiedział Colin. Zaschło mu w ustach.

Malinoff jeszcze raz spojrzał na Colina, wreszcie skinął głową.

- OK. Jesteś menedżerem drużyny, synu. Przyjdź z Royem na pierwszy trening dwudziestego sierpnia. I przygotuj się na ciężką pracę.

- Tak, proszę pana. Dziękuję, proszę pana.

Idąc obok Roya w stronę rowerów, Colin czuł się wyższy i silniejszy niż jeszcze parę minut wcześniej. Uśmiechał się szeroko.

- Spodobają ci się podróże naszym autobusem - powiedział Roy. - Będzie świetna zabawa.

Wsiadając na rower, Colin wybąkał

- Roy, ja... no... myślę... jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego można pragnąć.

- Hej, zrobiłem to w takim samym stopniu dla ciebie, jak dla siebie - powiedział Roy. -

Te wyjazdy na mecze bywają czasem nudne. Ale jak będziemy razem, to nie będziemy nudzić się nawet przez chwilę. No, a teraz jedziemy do mojego domu. Chcę ci pokazać tę kolejkę.

Ruszył przed siebie.

Jadąc za Royem po zacienionym i upstrzonym słonecznymi cieniami chodniku, Colin zastanawiał się, podniecony i trochę oszołomiony, czy to właśnie funkcja menedżera była tym, co wymagało próby, której poddawał go Roy. Czy to był ten sekret skrywany przez przyjaciela cały ubiegły tydzień? Colin zastanawiał się nad tym przez chwilę, ale zanim dotarli do domu Bordenów, uznał, że Roy ukrywa coś innego, coś znacznie ważniejszego, tak ważnego, że on, Colin, nie okazał się jeszcze godnym, by to poznać.

Weszli do domu przez drzwi kuchenne.

- Mamo? - zawołał Roy. - Tato?

- Mówiłeś, że nie ma ich w domu.

- Sprawdzam tak na wszelki wypadek. Lepiej się upewnić. Gdyby nas przyłapali...

- Przyłapali na czym?

- Nie wolno mi bawić się tą kolejką.

- Roy, nie chcę podpaść twoim rodzicom.

- Wszystko będzie dobrze. Poczekaj tu. - Roy skierował się pośpiesznie w stronę salonu. - Jest tam kto?

Colin był tu wcześniej tylko dwa razy i teraz, tak jak wtedy, był zdumiony

nieskazitelną czystością otoczenia. Kuchnia lśniła. Podłoga była świeżo wyszorowana i wywoskowana. Blaty szafek świeciły niemal jak lustra. Nigdzie nie zostały żadne brudne naczynia. Stołu nie szpeciły pozostawione okruchy. W zlewie nie było ani jednej plamki.

Ścian nie zdobiły kuchenne drobiazgi - garnki, patelnie, łyżki i chochle pochowano starannie w szufladach i dokładnie odkurzonych szafkach. Najwidoczniej pani Borden nie przepadała za ozdobami; nigdzie nie było śladu zawieszzonego dla dekoracji talerza, makatki z wyszytą sentencją, półki na przyprawy, kalendarza czy jakiegokolwiek zbędnej rzeczy. Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś przygotowuje sobie tutaj prawdziwe jedzenie. Dom wyglądał tak, jakby pani Borden wykonywała bez przerwy kolejne skomplikowane zabiegi - najpierw skrobanie, potem szorowanie, następnie czyszczenie, mycie, płukanie, polerowanie, wygładzanie - na podobieństwo stolarza, który szlifuje papierem ściernym kawałek drewna, zaczynając od gruboziarnistego, a kończąc na najdelikatniejszym.

Nie można było powiedzieć, by matka Colina gospodarzyła w brudnej kuchni.

Zatrudniali sprzątaczkę. Przychodziła dwa razy w tygodniu i pomagała w porządkach. Ale ich kuchnia nie była tak czysta jak ta.

Roy twierdził, że jego matka nie zgodziła się zatrudnić sprzątaczkę. Nie wierzyła, by ktokolwiek na świecie podzielał jej poglądy na czystość. Nie mógł zadowolić jej dom, w którym panował porządek - musiało być sterylne.

Roy wrócił do kuchni.

- Nikogo nie ma. Pobawmy się trochę kolejką.

- Gdzie ona jest?

- W garażu.

- Do kogo należy?

- Do mojego starego.

- I nie wolno ci jej dotykać?

- Pieprzyć go. Nigdy się nie dowie.

- Nie chcę, żeby twoi starzy wściekli się na mnie.

- O rany, Colin, jakim cudem mogliby się dowiedzieć?

- Czy to właśnie ten sekret?

Roy zdążył już prawie się odwrócić. Teraz spojrzał na Colina.

- Jaki sekret?

- Skrywasz go. I nie możesz wytrzymać, by mi go zdradzić.

- Skąd wiesz?

- Widzę... jak się zachowujesz. Sprawdzaleś mnie, żeby się przekonać, czy możesz mi ufać.

Roy pokiwał głową.

- Sprytny jesteś.

Colin wzruszył ramionami, czując zakłopotanie.

- Nie, nie, naprawdę jesteś sprytny. Prawie czytasz w moich myślach.

- Więc jednak mnie sprawdzałeś.

- Owszem.

- A ta głupia historia o kocie...

- ...była prawdziwa.

- Akurat.

- Uwierz w nią, radzę ci.

- Wciąż mnie sprawdzasz.

- Może.

- Więc jest jakiś sekret?

- I to wielki.

- Kolejka?

- Niezupełnie. To tylko maleńka jego część.

- A co jeszcze?

Roy wyszczerzył zęby.

W tym uśmiechu i w tych jasnoniebieskich oczach było coś dziwnego, coś, co sprawiło, że Colin chciał się odsunąć od swego przyjaciela. Ale wciąż tkwił w miejscu.

- Powiem ci - stwierdził Roy. - Ale dopiero wtedy, gdy będę gotowy.

- Kiedy to będzie?

- Wkrótce.

- Możesz mi zaufać.

- Dopiero wtedy, gdy będę gotowy. A teraz chodź. Będziesz zachwycony kolejką.

Colin podążył za Royem i wyszli z kuchni, zamykając za sobą białe drzwi. Za



drzwiami były dwa stopnie, którymi schodziło się wprost do garażu. I jeszcze coś -  
miniaturowe tory kolejowe.

- O rany...

- Ale trzask, co?

- Gdzie twój tata parkuje samochód?

- Zawsze przed garażem. Tu nie ma miejsca.

- Kiedy to wszystko zgromadził?

- Zaczął zbierać, gdy był jeszcze dzieckiem - powiedział Roy. - Co roku dodawał coś  
nowego. To jest warte ponad piętnaście tysięcy dolarów.

- Piętnaście tysięcy! Komu chciałoby się płacić tyle pieniędzy za kilka zabawek?

- Ludziom, którzy powinni urodzić się w lepszych czasach.

Colin zrobił zdziwioną minę.

- Co?

- Tak mówi mój stary. Twierdzi, że ludzie, którzy lubią kolejki elektryczne, powinni  
żyć w lepszym, czystszy, przyjemniejszym i lepiej urządzonym świecie.

- A co to znaczy?

- Cholera wie. Ale tak właśnie mówi. Potrafi przez godzinę gadać o tym, jaki dobry  
był świat, gdy były tylko pociągi, a nie wymyślono jeszcze samolotów. Może zanudzić  
człowieka na śmierć.

Kolejkę ustawiono na sięgającej pasa platformie, która zajmowała niemal cały garaż  
na trzy samochody. Przy trzech bokach było akurat tyle miejsca, by się precisnąć. Przy  
czwartym, na którym zamocowano konsolę z przełącznikami, stały dwa taborety, wąski stół  
i szafka na narzędzia.

Całą platformę zajmował miniaturowy model świata. Były tam góry i doliny,

strumienie, rzeki i jeziora, łąki upstrzone małymi polnymi kwiatami, lasy, w których mieszkają płochliwe jelenie, wychylające się z cienia wśród drzew, miasteczka jak z pocztówek, samotne domostwa, realistycznie odtworzone postaci ludzi, wykonujących mnóstwo codziennych czynności, samochody osobowe, ciężarówki, motocykle, rowery, zgrabne domy z ogrodzeniami, cztery dworce - jeden w stylu wiktoriańskim, jeden szwajcarski, jeden włoski i hiszpański - a także sklepy, kościoły i szkoły. Wszędzie biegną szyny - wzdłuż rzek, przez miasta, doliny, dookoła wzgórz, po mostach przęsłowych i zwodzonych, przez dworce, w górę i w dół, tam i z powrotem, tworząc zgrabne pętle, linie proste, gwałtowne skręty, odcinki w kształcie podków i węże.

Colin okrążył powoli platformę. Osłupiał ze zdumienia przyglądał się temu iluzorycznemu światu. Iluzji nie mogła rozwiać nawet bardzo bliska obserwacja. Nawet z odległości jednego cala las wyglądał jak prawdziwy - każde drzewo było wykonane po mistrzowsku. Domy wyposażono w najdrobniejsze nawet elementy, łącznie z rynnami, uchylanymi oknami, podjazdami wyłożonymi drobnymi kamyczkami i telewizyjnymi antenami, które zabezpieczono cienkimi linkami napinającymi. Samochody nie były tylko modelami do zabawy. Były to starannie wykonane małe modele prawdziwych wozów; we wszystkich, z wyjątkiem tych, które stały zaparkowane przy ulicach czy przed garażami, siedział kierowca, czasem również pasażerowie, a niekiedy kot albo pies, usadowiony na tylnym siedzeniu.

- Ile z tego wszystkiego zrobił twój tata sam?

- Wszystko, oprócz pociągów i kilku samochodów.

- To fantastyczne.

- Na zrobienie jednego z tych małych domków potrzebuje całego tygodnia, czasem

nawet więcej, jeśli jest to coś specjalnego. Nad każdym z tych dworców spędził całe miesiące.

- Kiedy skończył?

- Nie skończył - powiedział Roy. - Nigdy nie skończy - chyba że umrze.

- Ale tego nie da się już powiększyć - powiedział Colin. - Nie ma już miejsca.

- Nie powiększyć, tylko ulepszyć - sprostował Roy. W jego głosie pojawiła się jakaś nowa nuta. - Colin wyczuł okrucieństwo i chłód, choć Roy wciąż się uśmiechał. - Stary cały czas wprowadza jakieś ulepszenia. Po powrocie z pracy nie robi nic innego, tylko tutaj grzebie. Podejrzewam, że nie ma nawet czasu, żeby wypieprzyć moją starą.

Takie rozmowy zawsze wprawiały Colina w zakłopotanie i nigdy nie brał w nich udziału. Uważał się za znacznie mniej doświadczonego i obytego niż Roy i starał się ze wszystkich sił mu dorównać. Nie mógł się jednak przemóc i czuć swobodnie, gdy słyszał wulgarne słowa czy uwagi na temat seksu. Zarumienił się, nie wiedząc co powiedzieć. Czuł się dziecinnie i głupio.

- Wymyka się tutaj każdej nocy - powiedział Roy tym nowym, zimnym tonem. -

Czasem nawet zabiera ze sobą kolację. Taki sam świr jak matka.

Colin czytał mnóstwo na różne tematy, ale na psychologii się nie znał. Mimo to, im dłużej podziwiał miniaturki, zyskiwał tym większą pewność, że owo skrajne przywiązanie do szczegółu pana Bordena było wyrazem tej samej fanatycznej dbałości o porządek i czystość, z jaką pani Borden prowadziła swoją bitwę, by jej dom lśnił jak sala operacyjna.

Zastanawiał się, czy rodzice Roya mogli być normalni. Nie byli oczywiście parą szalejących psychopatów. Nie zostali przecież oficjalnie uznani za chorych psychicznie.

Nie doszli jeszcze do tego, by siedzieć w kącie, mówić do siebie i zjadać muchy.

Może byli tylko trochę pomyleni. Po prostu odrobinę stuknięci. Być może, z biegiem czasu, ich stan będzie się pogarszał i wreszcie, po dziesięciu czy piętnastu latach, naprawdę zaczną zjadać muchy. Z pewnością było się nad czym zastanawiać.

Colin zdecydował, że jeśli on i Roy pozostaną przyjaciółmi na całe życie, to będzie odwiedzał ten dom jeszcze tylko przez następne dziesięć lat. Później postanowił unikać państwa Bordenów. Tak, że jak już zupełnie zwariują, to nie będą mogli położyć na nim swych łap i zmusić go do jedzenia much albo, co gorsza, porąbać go siekierą.

Wiedział wszystko o psychopatycznych mordercach. Oglądał filmy na ten temat.

*Psychozę, Kaftan bezpieczeństwa, Co się zdarzyło Baby Jane?* A także z tuzin innych. Może ze sto. Z tych filmów dowiedział się przede wszystkim tego, że szaleńcy lubią krwawe zabójstwa. Używają noży, sierpów, maczet i siekier. Na żadnym filmie nie widział, by któryś z nich uciekał się do czegoś bezkrwawego jak trucizna, gaz czy poduszka do duszenia.

Roy usiadł na jednym z taboretów przed konsolą.

- Podejdz tu, Colin. Tu będziesz najlepiej widział.

- Może nie powinniśmy robić bałaganu...

- Przystaniesz wreszcie, na litość boską?

Odczuwając dziwne pomieszanie niechęci i przyjemnej niepewności, Colin usiadł na taborecie.

Roy uważnie obrócił tarczą, która znajdowała się przed nim na konsolce. Była podłączona do ściemniacza i po chwili światła zainstalowane pod sufitem garażu przygasły nieznacznie.

- Jak w teatrze - powiedział Colin.

- Nie - odrzekł Roy. - To tak... jakbym był Bogiem.

Colin roześmiał się.

- Owszem. Możesz tu przecież zrobić dzień albo noc, kiedy tylko zechcesz.

- I jeszcze więcej.

- Pokaż mi.

- Za chwilę. Nie przyciemnię do końca. Nie zrobię zupełnej nocy. Trudno wtedy cokolwiek zobaczyć. Będzie wczesny wieczór. Zmierzch.

Roy przekręcił cztery włączniki i w całym tym miniaturowym świecie rozblęły światła. Lamy uliczne rzucały opalizujące kręgi. Żółty, ciepły i przyjazny blask ożywił okna większości domów. Niektóre miały nawet zainstalowane światła przy gankach, a także maleńkie latarnie przy ścieżkach, które świeciły, jakby w domach oczekiwano właśnie gości. Witraże kościołów malowały na ziemi kolorowe wzory. Światła na kilku skrzyżowaniach zmieniały się co chwila - z czerwonego na zielone, potem na żółte i znów na zielone. Markiza zainstalowana nad wejściem do kina pulsowała dziesiątkami maleńkich lampek.

- Fantastyczne - powiedział Colin.

Wyraz twarzy Roya i cała jego postawa nagle się zmieniły. Jego oczy zwężyły się, wargi miał mocno zaciśnięte, ramiona wyprostowane, a całe ciało napięte, jakby gotowe - Colin nie wiedział - do ataku czy do obrony.

- Potem - odezwał się - mój stary zainstaluje światła przy samochodach. Projektuje też pompę i system nawadniający, dzięki którym w rzekach popłynie woda. Będzie nawet wodospad.

- Twój tata wygląda na ciekawego faceta.

Roy nie odpowiedział. Patrzył na swój zamknięty przed obcymi świat.

W przeciwległym, lewym rogu platformy stały na boczniczy cztery pociągi, czekając na sygnał do odjazdu. Dwa towarowe i dwa osobowe.

Roy uruchomił następną dźwignię i jeden z pociągów ożył. Szumiał cicho, w wagonach rozblęły światła.

Colin pochylił się pełen wyczekiwania.

Roy manipulował przy przełącznikach i pociąg po chwili wytoczył się ze stacji. Gdy

zmierzał w kierunku najbliższego miasta, przy drodze przecinającej tory paliły się czerwone ostrzegawcze światła, przejazd zagroziły szlabany, pomalowane w białe - czarne pasy.

Pociąg nabrał prędkości, zagwizdał głośno, przejeżdżając przez miasteczko, wspiął się na niewielkie wzniesienie, zniknął w tunelu i pojawił się z drugiej strony, przyspieszył, przejechał most, przyspieszył jeszcze bardziej, wjechał na prosty odcinek torów, rozwijając coraz większą szybkość, pokonał z głośnym stukotem i piskiem kół szeroki zakręt, wziął jeszcze ostrzejszy, przechylając się niebezpiecznie, i gnał coraz prędzej, prędzej, prędzej...

- Na litość boską, nie rozwal go - powiedział nerwowo Colin.

- Właśnie to chcę zrobić.

- Twój tata dowie się, że tu byliśmy.

- Skąd. Nie przejmuj się.

Pociąg przeleciał pędem przez dworzec szwajcarski, pokonał wężowy odcinek torów kołysząc się niebezpiecznie, niemal na granicy katastrofy, przejechał przez tunel i wyjechał na prostą, natychmiast przyspieszając.

- Ale jeśli pociąg się zepsuje, twój tata...

- Nie uszkodzę go. Uspokój się.

Zwodzony most zaczął się unosić dokładnie przed czołem pociągu.

Colin zacisnął zęby.

Pociąg dotarł do rzeki, wśliznął się pod uniesiony most i wypadł z torów. Miniaturowa lokomotywa i dwa pierwsze wagony wylądowały w kanale rzeczonym, a wszystkie pozostałe wyskoczyły z szyn, wznecając krótkotrwałą fontannę iskier.

- Rany - powiedział Colin.

Roy zsunął się z taboretu i podszedł do miejsca katastrofy. Pochylił się i przyglądał z uwagą wrakowi. Colin przyłączył się do niego.

- Zepsuty? Do wyrzucenia?

Roy nie odpowiedział. Wpatrywał się zmrużonymi oczami w małe okienka.

- Czego szukasz? - spytał Colin.

- Ciał.

- Czego?

- Martwych ludzi.

Colin zajrzał do jednego z przewróconych wagonów. W środku nie było żadnych ludzi

- to znaczy figurek. Spojrzał na Roya.

- Nie rozumiem.

Roy podniósł wzrok.

- Czego nie rozumiesz?

- Nie widzę żadnych „martwych ludzi”.

Przechodząc wolno od wagonu do wagonu, zaglądając do każdego z nich Roy - cedząc powoli słowa - powiedział”

- Gdyby to był prawdziwy pociąg i gdyby się wykoleił, pasażerowie pospadaliby z siedzeń. Porozbijaliby sobie głowy o okna i poręcze. Wylądowaliby na podłodze w wielkiej, skłębionej masie ciał. Byłoby mnóstwo połamanych rąk i nóg, wybitych oczu i zębów, wszędzie krew... ich krzyki słychać byłoby na mile. A kilku by nie żyło.

- Więc?

- Więc próbuję sobie wyobrazić, jak by to wszystko wyglądało, gdyby ten pociąg był prawdziwy.

- Dlaczego?

- To mnie interesuje.

- Co cię interesuje?

- Sam pomysł.

- Pomysł prawdziwej katastrofy kolejowej?

- Tak.

- Nie uważasz, że to nienormalne?

Roy podniósł wreszcie wzrok. Jego oczy były pozbawione wyrazu i zimne.

- Powiedziałeś: „nienormalne?”

- No cóż - odrzekł Colin niepewnie. - To znaczy... szukanie przyjemności w cierpieniu innych ludzi...

- Uważasz, że to coś niezwykłego?

Colin wzruszył ramionami. Nie chciał się spierać.

- W innych krajach - powiedział Roy - ludzie chodzą na walki byków i większość z nich ma w głębi duszy nadzieję, że zobaczy matadora z flakami na wierzchu. I zawsze chcą popatrzeć na cierpiącego byka. Uwielbiają to. A ilu ludzi przychodzi na wyścigi samochodowe tylko po to, żeby obejrzeć groźne wypadki.

- To zupełnie coś innego - powiedział Colin.

Roy uśmiechnął się szeroko.

- Naprawdę? Jakim cudem?

Colin z trudem próbował znaleźć właściwe słowa na wyrażenie tego, co, jak instynktownie wiedział, było prawdą.

- No... po pierwsze, matador wie, że może zostać ranny albo zabity, gdy wychodzi na arenę. Ale ludzie wracający do domu pociągami... nie spodziewają się niczego i nikomu nic złego nie zrobili... i nagle staje się coś takiego... to tragedia.

Roy parsknął śmiechem.

- Wiesz, co znaczy słowo „hipokryta”?



- Pewnie.

- No cóż, Colin, mówię to naprawdę z niechęcią, bo jesteś moim dobrym przyjacielem, moim naprawdę dobrym przyjacielem. Bardzo cię lubię. Ale jesteś hipokrytą. Sądzisz, że jestem nienormalny, ponieważ sam aranżuję katastrofy, chociaż właśnie ty większość wolnego czasu spędzasz w kinie na horrorach albo oglądasz je w telewizji, albo czytasz książki o zombi, wilkołakach, wampirach i innych potworach.

- A co to w ogóle ma do rzeczy?

- W tych historiach roi się od morderstw! - powiedział Roy. - Śmierci. Zabijania.

Mówią praktycznie tylko o tym. Ludzie są tam kłasnani, drapani, rozrywani i rąbani siekierami.

A ty za tym przepadasz.

Colin drgnął na wzmiankę o siekierach.

Roy nachylił się w jego stronę. Jego oddech pachniał owocową gumą do żucia.

- Właśnie dlatego cię lubię, Colin. Jesteśmy ulepiani z tej samej gliny. Mamy wiele wspólnego. Dlatego chciałem załatwić ci tę posadę menedżera. Żebyśmy mogli trzymać się razem w czasie sezonu. Jesteśmy inteligentniejsi od innych. W szkole mamy najlepsze stopnie, bez żadnego wysiłku. Ty i ja przeszliśmy test na inteligencję i każdego z nas uznano za geniusza albo coś w tym rodzaju. Umiemy wnikać w różne rzeczy głębiej niż większość dzieciaków i nawet głębiej niż większość dorosłych. Jesteśmy wyjątkowi. Jesteśmy wyjątkowymi ludźmi.

Roy położył dłoń na ramieniu Colina i wlepił w niego wzrok, zdając się przenikać go na wskroś. Colin nie mógł odwrócić oczu.

- I ty i ja interesujemy się rzeczami, które naprawdę się liczą - powiedział Roy. - Ból.

Śmierć. Oto, co nas intryguje. Większość ludzi uważa, że śmierć to koniec życia, ale my wiemy, że jest inaczej, prawda? Śmierć nie oznacza końca. To jądro. Jądro życia. Wszystko

obraca się wokół tego centrum. Śmierć to najważniejsza rzecz w życiu, najbardziej interesująca, najbardziej tajemnicza, najbardziej podniecająca.

Colin odchrząknął nerwowo.

- Nie jestem pewien, czy cię do końca rozumiem.

- Jeśli nie boisz się śmierci - powiedział Roy - to nie boisz się niczego. Gdy nauczysz się pokonywać największy strach, to będziesz umiał pokonać również zwykłe codzienne lęki, czyż nie?

- Chyba... chyba tak.

Roy mówił teatralnym szeptem, by podkreślić wagę słów. W jego głosie pobrzmiwał fanatyzm.

- Nie boję się śmierci, więc nikt nie może mi nic zrobić. Nikt. Nawet mój stary czy stara. Nikt. Tak długo, dopóki będę żył.

Colin nie wiedział, co powiedzieć.

- Boisz się śmierci? - spytał Roy.

- Tak.

- Musisz wiedzieć, jak się jej nie bać.

Colin skinął głową. Zaszło mu w ustach. Serce waliło jak młotem i czuł lekki zawrót głowy.

- Wiesz, co musisz najpierw zrobić, żeby przezwyciężyć strach przed umieraniem?

- Nie.

- Poznać śmierć.

- Jak?

- Zabijając różne istoty.

- Nie mogę tego robić.

- Oczywiście, że możesz.
- Nie mogę.
- W głębi duszy każdy jest mordercą.
- Nie ja.
- Gówny prawda.

- Nawzajem.

- Znam siebie - powiedział Roy. - I znam ciebie.

- Znasz mnie lepiej, niż ja znam sam siebie?

- Owszem - Roy wyszczerzył zęby.

Patrzyli jeden na drugiego.

W garażu było cicho jak w egipskim grobowcu. Wreszcie Colin spytał”

- To znaczy... mam zabić kota?

- Na początek.

- Na początek? A co potem?

Roy jeszcze mocniej ścisnął ramię Colina.

- Potem przetrzucimy się na coś większego.

Nagle Colin zrozumiał i rozluźnił się.

- Prawie mnie nabrałeś.

- Prawie?

- Wiem, co kombinujesz.

- Wiesz?

- Znów mnie sprawdzasz.

- Naprawdę? Czyżby?

- Podpuszczasz mnie - powiedział Colin. - Chcesz się przekonać, czy wyjdę na głupka.

- Mylisz się.

- Gdybym zgodził się zabić kota, żeby ci coś udowodnić, wybuchnąłbyś śmiechem.

- Przekonaj się.

- Nie ma mowy. Znam twoją grę.

Roy puścił ramię przyjaciela.

- To nie gra.

- Nie musisz mnie sprawdzać. Możesz mi zaufać.

- Do pewnego stopnia - powiedział Roy.

- Możesz mi ufać całkowicie - powtórzył Colin. - Jezu, jesteś najlepszym

przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. Nie zawiodę cię. Będę dobrym menedżerem zespołu. Nie będziesz żałował, że mnie poleciłeś trenerowi. Możesz mi zaufać. Możesz mi zaufać we wszystkim. Więc jaki jest ten wielki sekret?

- Jeszcze nie - powiedział Roy.

- Kiedy?

- Kiedy będziesz gotowy.

- A kiedy będę gotowy?

- Kiedy ja ci powiem.

- Rany.

Matka Colina wróciła z pracy o wpół do szóstej.

Czekał na nią w chłodnym salonie.

Meble mieniły się wszelkimi odcieniami brązu, a ściany wyłożono tapetą koloru juty.

Okna zakrywały drewniane rolety. Światło było łagodne i dobre dla oczu. Był to pokój wypoczynkowy. Colin leżał na dużej sofie, czytając ostatni numer ulubionego komiksu.

Uśmiechnęła się, przesunęła dłonią po jego włosach i spytała”

- Jak ci minął dzień, kapitanie?

- Nieźle - odpowiedział Colin, który doskonale wiedział, że matkę tak naprawdę nie obchodzi żadne szczegóły, i gdyby zaczął mówić, przerwałaby mu w połowie relacji. - A co u ciebie?

- Jestem wykończona. Będziesz tak dobry i przygotujesz mi martini, tak jak lubię?

- Pewnie.

- Z odrobiną soku cytrynowego.

- Pamiętam.

- Jestem pewna.

Wstał i poszedł do jadalni, gdzie znajdował się dobrze zaopatrzony barek. Nie znosił mocnych alkoholi, ale przygotował jej drinka bardzo szybko, z wprawą profesjonalisty. Robił to przecież setki razy.

Kiedy wrócił do salonu, matka siedziała w dużym czekoladowo - brązowym fotelu z podwiniętymi nogami, odrzuconą do tyłu głową i zamkniętymi oczyma. Nie usłyszała go, więc zatrzymał się w drzwiach i przyglądał się jej przez chwilę.

Nazywała się Luise, ale wszyscy mówili na nią Weezy, co przypominało dziecięce imię, ale do niej pasowało, bo wciąż wyglądała jak uczennica. Była ubrana w dzinsy i

niebieski sweter bez rękawów. Jej nagie ramiona były opalone i szczupłe. Miała długie, ciemne, lśniące włosy, okalające twarz, która nagle wydała się Colinowi ładna, właściwie piękna, choć niektórzy mogliby powiedzieć, że Weezy ma zbyt szerokie usta. Gdy tak na nią patrzył, pojął, że trzydzieści trzy lata to jeszcze nie starość, jak dotąd tak sądził.

Po raz pierwszy w życiu Colin spojrział na ciało swojej matki: pełne piersi, wąska talia, krągłe biodra, długie nogi. Roy miał rację - miała wspaniałą figurę.

„Dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej?” Natychmiast sobie odpowiedział:

„Ponieważ jest moją matką, na litość boską!”

Na twarz wystąpił mu gorący rumieniec. Zastanawiał się, czy nie zamienia się w jakiegoś zboczeńca, i z trudem zmusił się do odwrócenia wzroku od jej obcisłego swetra.

Odchrząknął i podszedł bliżej.

Otworzyła oczy, uniosła głowę, wzięła swoje martini i zaczęła je sączyć.

- Mmmmm. Doskonałe. Jesteś kochany.

Usiadł na sofie.

Po chwili odezwała się.

- Kiedy zaczynałam to wszystko z Paulą, nie wiedziałam, że właściciel interesu musi pracować dużo ciężiej niż jego pracownicy.

- Był tłok dziś w galerii?

- Większy niż na dworcu autobusowym. O tej porze roku pojawia się zazwyczaj mnóstwo oglądających, turystów, którzy tak naprawdę nie zamierzają nic kupić. Wyobrażają sobie, że skoro są na wakacjach w Santa Leona, to mają prawo zawracać głowę każdemu właścicielowi sklepu.

- Dużo obrazów sprzedałaś? - spytał Colin.

- O dziwo, sprzedałyśmy parę. Tak naprawdę, to był mój najlepszy dzień.

- Wspaniale.

- To tylko jeden dzień, oczywiście. Biorąc pod uwagę, ile razem z Paulą zapłaciłyśmy za galerię, to będziemy potrzebować jeszcze wielu takich dni, by utrzymać się na powierzchni.

Colinowi nic już nie przychodziło do głowy. Sączyła swoje martini. Jej grdyka poruszała się nieznacznie, gdy przełykała. Wyglądała tak delikatnie i wdzięcznie.

- Słuchaj, kapitanie, czy poradzisz sobie z kolacją dziś wieczorem?

- Nie zjesz w domu? - spytał.

- Jest jeszcze spory ruch w galerii. Nie mogę zostawić Pauli samej. Wróciłam do domu trochę się odświeżyć. I muszę za dwadzieścia minut wrócić do tego kieratu.

- Tylko raz jadłaś kolację w domu w zeszłym tygodniu - powiedział.

- Wiem, kapitanie, i jest mi przykro. Ale staram się zbudować dla nas przyszłość, dla ciebie i dla mnie. Rozumiesz, prawda?

- Chyba tak.

- Ten świat jest okrutny, kochanie.

- Nie jestem głodny - powiedział Colin. - Mogę na ciebie poczekać.

- Widzisz, kochanie, nie wracam prosto do domu. Mark Thornberg zaprosił mnie na późny obiad.

- Kto to jest Mark Thornberg?

- Artysta - powiedziała. - Wczoraj otworzyliśmy wystawę jego prac. Prawdę mówiąc, jedna trzecia tego, co sprzedajemy, to jego płótna. Chcę go przekonać, by dał nam wyłączność na wystawianie swoich obrazów.

- Dokąd cię zabiera na ten obiad?

- Do Little Italy, jak mi się zdaje.

- O rany, świetne miejsce! - powiedział Colin, pochylając się do przodu. - Czy mogę też pójść? Nie będę wam przeszkadzał. Nie musiałybyś nawet wracać po mnie do domu.

Mógłbym wskoczyć na rower i spotkać się z wami już na miejscu.

Zmarszczyła brwi i unikała jego wzroku.

- Przykro mi, kapitanie. To spotkanie tylko dla dorosłych. Będziemy omawiać interesy.

- Nie będzie mi to przeszkadzać.

- Tobie może nie, ale nam tak. Słuchaj, a może byś tak poszedł do Charly'ego i zamówił sobie dużego hamburgera i któryś z tych ekstragęstych koktajli mlecznych, które trzeba jeść łyżeczką?

Opadł z powrotem na sofę, jak balon, z którego wypuszczono nagle powietrze.

- Nie rób kwaśnej miny - powiedziała. - Nie do twarzy ci z tym. To dobre dla małych dzieci.

- Nie robię kwaśnej miny - powiedział. - Wszystko w porządku.

- Charly? - nalegała.

- Chyba tak. Pewnie.

Skończyła swoje martini i wzięła torebkę.

- Dam ci trochę pieniędzy.

- Mam pieniądze.

- Więc będziesz miał więcej. Jestem teraz kobietą interesu i odniosłam sukces. Stać mnie na ten wydatek.

Gdy wręczała mu pięciodolarowy banknot, powiedział, że to za dużo.

- Resztę wydaj na komiksy.

Pochyliła się, pocałowała go w czoło i wyszła, żeby się odświeżyć i przebrać.



Siedział w milczeniu przez kilka minut, patrząc na banknot. Wreszcie westchnął, wstał, wyjął portfel i schował pieniądze.

Państwo Bordenowie pozwolili Royowi pójść z Colinem na kolację. Chłopcy zjedli w barze u Charly'ego, rozkoszując się niezrównanym aromatem wrzącego oleju i cebuli. Colin zapłacił rachunek.

Potem udali się do Pinball Pit. Był to salon gier i główne miejsce spotkań młodych ludzi w Santa Leona. W piątkowy wieczór przez salon przewalał się tłum młodzieży, grającej w bilard i toczącej elektroniczne bitwy na automatach.

Przynajmniej połowa z obecnych znała Roya. Wołali do niego a on im odpowiadał.

- Się masz, Roy!

- Się masz, Pete.

- Hej, Roy.

- Co powiedziałaś, Walt?

- Roy, Roy, Roy, tutaj!

Chcieli z nim pograć, opowiedzieć dowcip albo po prostu porozmawiać. Przystawał gdzieś na minutę lub dwie ale grał tylko z Colinem.

Zmierzyli się przy dwuosobowym bilardzie, ozdobionym wizerunkiem piersiastej, długonogiej dziewczyny w skąpym bikini, Roy wybrał właśnie ten automat, a nie maszynę z piratami potworami czy przybyszami z kosmosu. Colin starał się panować nad rumieńcem.

Na ogół nie lubił takich tanich, brudnych miejsc jak to i unikał ich. Gdy kilka razy odważył się odwiedzić podobną spelunę, gwar tam panujący wydawał mu się nie do zniesienia. Odgłosy wydawane przez elektronicznych zawodników i wojowników walczących z robotami - bip - bip - bip, pong - pong - pong, bum - bum - bum, łup - łup - łuuuuuup - mieszały się ze śmiechem, piskami dziewczyn i zbyt głośnymi rozmowami. Atakowany przez bezustanny łomot, doznawał uczucia klaustrofobii. Zawsze czuł się jak przybysz z obcego

świata, uwięziony na zacofanej planecie, wśród tłumu wrogich, wrzeszczących, jazgoczących barbarzyńców.

Ale tego wieczoru było inaczej. Cieszył się każdą minutą spędzoną w tym miejscu i dobrze wiedział, dlaczego tak jest. To dzięki Royowi nie był już przestraszonym gościem z kosmosu - był u siebie.

Roy, ze swoimi gęstymi, płowymi włosami, niebieskimi oczami, muskułami i spokojną pewnością siebie, przyciągał dziewczyny. Trzy z nich - Kathy, Laurie i Janet zebrały się wokół automatu, żeby popatrzeć na grę. Wszystkie były ponadprzeciętne: sprężyste, opalone, pełne życia nastolatki, ubrane w szorty i skąpe podkoszulki. Wszystkie miały lśniące włosy, nieskazitelną kalifornijską cerę, pączkujące piersi i szczupłe nogi.

Roy najwyraźniej faworyzował Laurie, podczas gdy Kathy i Janet przejawiały coś więcej niż tylko chwilowe zainteresowanie Colinem. Nie sądził, by przyciągała je wyłącznie jego osoba. Właściwie był tego pewien. Nie miał złudzeń. Prędzej by słońce wzeszło na zachodzie, dzieciom wyrosły brody, a uczciwego człowieka wybrano na prezydenta, niż takie dziewczyny szalałyby na jego widok. Flirtowały z nim, ponieważ był przyjacielem Roya, albo dlatego, że były zazdrosne o Laurie i chciały, by Roy był zazdrosny o nie. Bez względu na to, czym się kierowały, zadawały Colinowi wciąż nowe pytania, próbowały go rozruszać, śmiały się z jego żartów, wiwatowały, gdy wygrywał. Do tej pory dziewczyny nigdy nie marnowały na niego czasu. Tak naprawdę, nie dbał o to, jakie są motywy Kathy i Janet; upajał się ich zainteresowaniem i modlił się, by było tak zawsze. Wiedział, że mocno się rumieni, ale nienaturalne pomarańczowe światło salonu stanowiło dobrą osłonę.

Wyszli po czterdziestu minutach, żegnani chórem pozdrowień: na razie, Roy, baw się dobrze, Roy, do zobaczenia, Roy. Wyglądało na to, że Roy chce pozbyć się ich wszystkich, nie wyłączając Kathy, Laurie i Janet.

Colin wychodził z salonu niechętnie.

Wieczorne powietrze na zewnątrz było łagodne. Lekka bryza niosła ze sobą ledwie wyczuwalny zapach morza.

Zmierzchało. Santa Leona było pogrążone w gęstym żółtym półmroku, podobnym do tego, który Roy wcześniej wyczarował nad miniaturowym światem w garażu Bordenów.

Ich rowery znajdowały się na parkingu za salonem, przyczepione łańcuchami do stojaka.

Schylając się i odczepiając rower, Roy spytał”

- Podobało ci się?

- Owszem.

- Wiedziałem, że ci się spodoba.

- Dużo czasu tam spędzasz?

- Nie. Niezbyt dużo.

- Wydawało mi się, że jesteś stałym bywalcem.

Roy wyprostował się i wysunął rower ze stojaka.

- Prawie tam nie chodzę.

- Wszyscy cię znają.

- Znam tych, którzy przychodzą tam regularnie. Ale ja nie. Nie jestem wielbicielem gier. W każdym razie nie tak łatwych, jak te w salonie.

Colin skończył odczepiać swój rower.

- Jeśli tego nie lubisz, to po co tam poszliśmy?

- Bo wiedziałem, że tobie się spodoba.

Colin zmarszczył brwi.

- Ale ja nie chcę robić rzeczy, które cię nudzą.

- Nie nudziłem się - powiedział Roy. - Chciałem pograć sobie trochę. Poza tym miałem okazję rzucić okiem na Laurie. Ma niezłe ciało, co?

- Tak mi się wydaje.

- Tak ci się wydaje!

- No pewnie... ma ładne ciało.

- Chciałbym poleżeć sobie między tymi jej nogami przez kilka miesięcy.

- Miałem wrażenie, że chcesz się od niej uwolnić.

- Robi mi się niedobrze po piętnastu minutach rozmowy z nią - powiedział Roy.

- Więc jakbyś ją znosił przez parę miesięcy?

- Nie rozmawialibyśmy. - Roy uśmiechnął się łobuzersko.

- Och...

- Kathy, Janet, Laurie... te dziewczyny tylko podpuszczają.

- Co masz na myśli?

- Nigdy nie dają.

- Czego nie dają?

- Dupy, na litość boską! Nigdy nie dały dupy, ani razu, nikomu.

- Och...

- Laurie kręci tym swoim tyłkiem, ale jak tylko położę rękę na jej cyckach, to drze się tak, że sufit może się zawalić.

Colin czerwienił się i pocił.

- Ma dopiero czternaście lat.

- Jest dostatecznie stara. Wystarczy, i to z nawiązką.

Colin nie był zadowolony z tej rozmowy. Próbował wrócić do poprzedniego tematu.

- Chciałem w każdym razie powiedzieć, żebyśmy od tej pory nie robili niczego, co

mogłoby cię nudzić.

Roy położył mu dłoń na ramieniu i ścisnął lekko.

- Słuchaj, Colin, jestem twoim przyjacielem, czy nie?

- Pewnie, że jesteś.

- Dobry przyjaciel powinien dotrzymać ci towarzystwa, nawet gdy robisz rzeczy, które tylko tobie sprawiają przyjemność. Innymi słowy, nie mogę oczekiwać, że zawsze będę robił dokładnie to, co mnie bawi, i nie mogę też oczekiwać, że ty i ja zawsze będziemy chcieli robić to samo.

- Lubimy to samo - powiedział Colin. - Mamy te same zainteresowania.

Bał się, że Roy uświadomi sobie, jak bardzo się od siebie różnią i odejdzie, by nigdy się już nie pojawić.

- Uwielbiasz horrory - powiedział Roy. - A ja się tym w ogóle nie interesuję.

- No, ale pomijając tę jedną rzecz, to...

- Różnią nas jeszcze inne rzeczy. Ale chodzi o to, że jeśli jesteś moim kumplem, to będziesz robił ze mną rzeczy, które ja chcę robić, a które tobie mogą się w ogóle nie spodobać. Ta zasada działa w obie strony.

- Nie - powiedział Colin. - Ponieważ tak się składa, że lubię robić wszystko to, co ty zaproponujesz.

- Jak na razie - powiedział Roy. - Ale nadejdzie chwila, gdy nie będziesz chciał zrobić czegoś, co dla mnie będzie bardzo ważne, ale zrobisz to, ponieważ jesteśmy przyjaciółmi.

- Nie wyobrażam sobie, co by to mogło być.

- Poczekaj tylko - powiedział Roy. - Zobaczysz. Prędzej, czy później, przyjacielu, taka chwila nadejdzie.

Szkarłatne światło neonu, umieszczonego nad salonem, załamywało się w oczach

Roya, nadając im dziwny i trochę przerażający wyraz. Colinowi przyszło do głowy, że przypominają oczy wampira z filmu - szklane, czerwone i okrutne, jak dwa okna duszy, którą deprawowało bezustanne zaspokajanie nienaturalnych pragnień. (Colin myślał dokładnie to samo, ilekroć widział oczy pana Arkina, a pan Arkin był tylko właścicielem sklepu spożywczego na rogu. Jedyne jego pragnieniem, które można by nazwać nienaturalnym, był pociąg do trunków, a czerwone oczy nie świadczyły o niczym innym, jak tylko o trwałym kacu.)

- Mimo wszystko - powiedział Colin - jest mi strasznie przykro, że się nudziłeś...

- Nie nudziłem się! Przystaniesz się wreszcie przejmować? Nie mam nic przeciwko chodzeniu do salonu, jeśli tobie się tam podoba. Ale pamiętaj, co ci mówiłem o tych dziewczynach. Trochę się przy tobie pokręca. Czasem, niby przypadkiem, otrą się o ciebie. Ale nigdy się z nimi naprawdę nie zabawisz. Wielka, naprawdę wielka noc, to - w ich przekonaniu - wymknąć się na parking, ukryć w cieniu i skraść całusa.

Tak samo wyglądała naprawdę wielka noc w pojęciu Colina. Prawdę mówiąc, byłby to dla niego raj na ziemi, ale nie powiedział tego Royowi.

Pchali swoje rowery, przemierzając parking w stronę alejki.

Zanim Roy zdążył wejść na rower i odjechać, Colin zdobył się na odwagę i spytał

- Dlaczego ja?

- Hę?

- Dlaczego chcesz się ze mną przyjaźnić?

- A dlaczego nie?

- To znaczy, z takim zerem, jak ja.

- Kto mówi, że jesteś zerem?

- Ja mówię.

- Co to za pomysł mówić o sobie takie rzeczy?
- W każdym razie zastanawiam się nad tym już od miesiąca.
- Nad czym się zastanawiasz? Mówisz bez sensu.
- Zastanawiam się, dlaczego chcesz się przyjaźnić z kimś takim jak ja.
- O co ci chodzi? Czym się różnisz od innych? Trędowaty jesteś czy jak?

Colin żałował, że w ogóle poruszył ten temat, ale skoro już zaczął, brnął dalej.

- Rozumiesz, ktoś, kto nie jest tak popularny i, rozumiesz, niezbyt dobry w sporcie, i rozumiesz, tak naprawdę w ogóle w niczym, to... no wiesz.
- Przestań mówić w kółko „rozumiesz” - powiedział Roy. - Nie znoszę tego. Jednym z powodów, dla których chcę się z tobą przyjaźnić, jest ten, że potrafisz rozmawiać. Większość miejscowych chłopaków potrafi przegadać cały dzień, nie używając więcej niż dwudziestu słów. Z których dwa to „rozumiesz”. Ale twoje słownictwo jest naprawdę bogate. Działa odświeżająco.

Colin otworzył oczy ze zdumienia.

- Chcesz się ze mną przyjaźnić z powodu mojego słownictwa?
- Chcę się z tobą przyjaźnić, ponieważ jesteś tak inteligentny jak ja. Większość kumpli nudzi mnie.
- Ale przecież mogłeś zaprzyjaźnić się z jakimkolwiek facetem z miasta, facetem w twoim wieku, nawet z takim, który jest od ciebie starszy o rok albo dwa. Większość tych chłopaków w salonie...
- To dupki.
- Nie żartuj. To najbardziej znane chłopaki w mieście.
- To dupki, mówię ci.
- Nie wszyscy.



- Wszyscy, Colin, wierz mi. Połowa z nich uważa, że najlepsza zabawa to zapalić skręta, łyknąć jakieś pigułki albo uchlać się jakimś śmierdzącym świństwem, a potem się porzygać. Reszta chce być albo Johnnym Travoltą albo Dennyem Osmondem. Jee!

- Ale oni cię lubią.

- Wszyscy mnie lubią - powiedział Roy. - Umiem ich do tego nakłonić.

- Chciałbym wiedzieć, jak sprawić, żeby wszyscy lubili mnie.

- To proste. Musisz tylko wiedzieć, jak nimi manipulować.

- OK. Jak?

- Trzymaj się blisko mnie, to się nauczysz.

Szli obok siebie, pchając rowery. Wiedzieli, że zostało jeszcze dużo do powiedzenia.

Mijali właśnie żywopłot z oleandrów. Kwiaty świeciły fosforyzujące w zapadającym mroku i Colin wciągnął w nozdrza ich zapach.

Owoce oleandra zawierały jedną z najbardziej znanych trujących substancji. Colin oglądał kiedyś stary film, w którym psychopata zamordował tuzin osób za pomocą trucizny, jaką sporządził z tej rośliny. Nie pamiętał tytułu. Był to naprawdę idiotyczny film, jeszcze gorszy niż *Godzilla contra King Kong*, co oznaczało, że było to jedno z najgłupszych dzieł w historii całej kinematografii.

Gdy dochodzili do kolejnej przecznicy, Colin spytał

- Zażywałeś kiedykolwiek narkotyki?

- Raz.

- Co to było?

- Hasz. Przez rurkę.

- Podobało ci się?

- Raz wystarczy. A ty?

- Nie - powiedział Colin. - Boję się narkotyków.

- A wiesz dlaczego?

- Bo można umrzeć.

- Nie boisz się umierania.

- Nie?

- Nie bardzo.

- Śmierć mnie przeraża.

- Nie - upierał się Roy. - Jesteś taki jak ja, dokładnie taki sam. Boisz się narkotyków, ponieważ wiesz, że gdybyś je zażył, nie panowałbyś nad swoim postępowaniem. Nie możesz znieść myśli o utracie kontroli nad samym sobą.

- No, jest to na pewno jeden z powodów.

Roy zniżył głos, jakby się bał, że ktoś może ich podsłuchać. Zaczął mówić szybko, gorączkowo pragnąc wyrzucić z siebie słowa, które niemal zlewały się ze sobą.

- Musisz być czujny, ostrożny, uważny. Zawsze patrz przez ramię. Zawsze na siebie uważaj. Nie pozwól, by czujność opuściła cię choć na sekundę. Są ludzie, którzy wykorzystają chwilę twojej nieuwagi. Świat jest pełen takich ludzi. Prawie każdy napotkany człowiek jest właśnie taki. Jesteśmy zwierzętami w dżungli i musimy być przygotowani na walkę, jeśli chcemy przeżyć.

Roy prowadził swój rower z głową wysuniętą do przodu, z zaciśniętymi kurczowo dłońmi na kierownicy, napinając mięśnie szyi, jakby spodziewał się silnego ciosu w tył głowy. Nawet w gasnącym, purpurowobursztynowym świetle późnego wieczoru na jego czole i górnej wardze można było dostrzec świeże kropelki potu - wyglądały jak ciemno połyskujące klejnoty.

- Nie możesz ufać nikomu, nikomu. Nawet ludzie, o których myślisz, że naprawdę cię

lubią, obróćą się przeciwko tobie prędzej, niż przypuszczasz. Nawet przyjaciele. A ci, którzy zapewniają cię o swojej miłości, są najgorsi, najbardziej niebezpieczni, najmniej godni zaufania. - Oddychał z coraz większym wysiłkiem, mówiąc coraz szybciej. - Nie zauważysz, gdy skoczą ci do gardła, jak tylko będą mieli okazję. Musisz zawsze pamiętać, że czekają na sposobność, by cię dostać. Miłość to sztuczka. Zasłona. Sposób, by uspić twoją czujność. Nigdy jej nie trać. Nigdy. - Zerknął na Colina, a w jego oczach czaiła się dzikość.

- Sądzisz, że zwróciłbym się przeciwko tobie, opowiadał o tobie kłamstwa, skarżył na ciebie twoim rodzicom i robił inne takie rzeczy? - spytał Colin.

- A robiłbyś?

- Oczywiście, że nie.

- Nawet gdybyś miał pętlę na szyi, a jedynym ratunkiem byłoby donieść na mnie?

- Nawet wtedy.

- A co byś zrobił, gdybym był groźnym przestępcą, a gliny byłyby na moim tropie i przyszły do ciebie, by zadać ci mnóstwo pytań?

- Nie doniósłbym na ciebie.

- Mam nadzieję.

- Możesz mi zaufać.

- Mam nadzieję. Naprawdę mam nadzieję.

- Nie musisz mieć nadziei. Powinieneś wiedzieć.

- Muszę być ostrożny.

- A czy ja muszę być ostrożny, jeśli chodzi o ciebie?

Roy nie odezwał się.

- Czy powinienem być ostrożny? - Colin powtórzył pytanie.

- Może. Owszem, może powinieneś. Kiedy powiedziałem, że jesteśmy wszyscy

zwierzętami - myślałem także o sobie.

W oczach Roya było tyle bólu i rozpacz, że Colin musiał odwrócić wzrok.

Nie wiedział, co skłoniło przyjaciela do tych zwierzeń, ale nie chciał dłużej o nic pytać. Obawiał się, że doprowadzi to do kłótni i że Roy nie będzie chciał go więcej widzieć.

A Colin rozpaczliwie pragnął przyjaźni Roya - na zawsze, do końca życia. Gdyby doprowadził do zerwania tej znajomości, nigdy nie miałby już szansy, by mieć takiego przyjaciela. Był o tym przekonany. Znow musiałby pogрузić się w samotności, a teraz, gdy już doświadczył akceptacji, braterstwa i zainteresowania, powrót do samotności wydawał mu się niemożliwy.

Szli przez chwilę w milczeniu. Minęli ruchliwą przecnicę, przechodząc pod baldachimem dębowych gałęzi i zaczęli pokonywać następny odcinek alejki.

Colin stwierdził z ulgą, że niezwykle napięcie, które upodabniało Roya do rozdrażnionego węża, zaczyna ustępować - wyprostował się i rozluźnił dłonie, a jego oddech nie przypominał już oddechu konia po długodystansowym biegu.

Colin trochę wiedział o wyścigach. Ojciec zabrał go kilka razy na gonitwy, mając nadzieję, że wysokość stawek i męski charakter tego sportu zrobią na chłopcu wrażenie. Ale Colin zachwycał się wdziękiem koni i mówił o nich jak o tancerzach. Ojcu to się nie spodobało i od tego czasu chodził na wyścigi sam.

Dotarli do kolejnego skrzyżowania, skręcili w lewo, opuszczając alejkę, i dalej pchali swoje rowery po chodniku zarośniętym bluszczem.

Tynkowane, podobne do siebie domy stały w rzędach po obu stronach ulicy, skrywając się pod osłoną palm. Okolone oleandrami i dracena, różami, kaktusami, ostrokrzewem, paprociami i poinsecją - brzydkie budynki, które uczyniło eleganckimi naturalne piękno bujnej kalifornijskiej roślinności.

Wreszcie Roy odezwał się”

- Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że facet musi czasem robić to, co chce jego kumpel, choć on sam może nie mieć na to ochoty?

- Pamiętam.

- To prawdziwy test przyjaźni. Zgadzasz się?

- Tak mi się wydaje.

- Rany boskie, czy nie możesz chociaż raz mieć ustalonej opinii na jakiś temat? Nigdy nie mówisz „tak” lub „nie”. Zawsze tylko ci się „wydaje”.

Niemile dotknięty, Colin powiedział”

- W porządku. Sądzę, że jest to prawdziwy test przyjaźni. Zgadzam się z tobą.

- No dobrze, a co byś zrobił, gdybym powiedział, że chcę coś zabić dla zabawy i potrzebuję twojej pomocy?

- Kota na przykład?

- Kota już zabiłem.

- Owszem. Pisali o tym we wszystkich gazetach.

- Zabiłem. W klatce. Tak jak ci mówiłem.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Dlaczego miałbym kłamać?

- Dobra, dobra - burknął Colin. - Nie zaczynajmy od nowa. Udawajmy, że połknąłem twoją historyjkę - haczyk, linkę i ciężarek. Zabiłeś kota w klatce. Na co kolej tym razem - na psa?

- Gdybym chciał zabić psa, pomógłbyś?

- A po co miałbyś go zabijać?

- To mógłby być trzask.

- Rany.
- Pomógłbyś mi go zabić?
- Skąd weźmiesz psa? Sądzisz, że litościwe społeczeństwo rozdaje je ludziom, którzy chcą się nad nimi znęcać?
- Po prostu ukradnę pierwszego kundla, którego zobaczę - powiedział Roy.
- Czyjegoś psa?
- Pewnie.
- Jak go zabijesz?
- Zastrzelę go. Rozwalę mu łeb.
- I sąsiedzi nie usłyszą?
- Najpierw wyprowadzimy go na wzgórze.
- I spodziewasz się, że będzie siedział posłusznie i się uśmiechał, a my będziemy grzać do niego ze spluwy?
- Zwiążemy go i postrzelamy sobie.
- Skąd weźmiesz broń?
- A twoja matka? - spytał Roy.
- Uważasz, że moja matka siedząc w kuchni sprzedaje broń na lewo i prawo, czy jak?
- Nie ma własnej broni?
- Pewnie. Milion sztuk. A także czołg, bazookę i pocisk nuklearny.
- Odpowiedz na moje pytanie.
- Po co miałyby trzymać broń?
- Kobieta sexy, mieszkająca samotnie, ma zazwyczaj broń dla ochrony.
- Ale ona nie mieszka sama - powiedział Colin. - Zapomniałeś o mnie?
- Gdyby jakiś stuknięty gwałciciel chciał położyć łapy na twojej matce, to zgniótłby

cię na miazgę.

- Jestem mocniejszy, niż ci się wydaje.

- Nie żartuj. Czy ona ma broń?

Colin nie chciał przyznać, że w ich domu była broń. Miał przeczucie, że zaoszczędzi sobie mnóstwa kłopotów, jeśli skłamie. Ale w końcu powiedział”

- No dobra. Ma pistolet.

- Jesteś pewien?

- Tak. Ale nie wydaje mi się, żeby był załadowany. Nigdy nie mogłaby nikogo zabić.

Mój ojciec kocha broń, więc moja matka nienawidzi jej. Ja również. Nie mam zamiaru zabierać z domu pistoletu tylko po to, żeby zrobić coś tak głupiego, jak na przykład zabicie psa twoich sąsiadów.

- Cóż, moglibyśmy go zabić w jakiś inny sposób.

- Jak - zagryźć go?

Nad ich głowami rozległ się pisk nocnego ptaka, ukrytego w gałęziach.

Morska bryza była teraz chłodniejsza niż przed dziesięcioma minutami.

Colin zmęczył się pchaniem roweru, ale wyczuwał, że Roy ma jeszcze dużo do powiedzenia i chce zrobić to szeptem, co byłoby niemożliwe, gdyby pedałowali.

Roy powiedział”

- Moglibyśmy przywiązać tego psa i zabić go widłami.

- Rany.

- To dopiero byłby trzask!

- Przyprawiasz mnie o mdłości.

- Pomożesz mi?

- Nie potrzebujesz mojej pomocy.

- Ale pomagając mi dowiódłbyś, że jesteś naprawdę moim przyjacielem.

Po dłuższej chwili Colin powiedział”

- Myślę, że gdyby było to dla ciebie naprawdę ważne, że gdyby od tego zależało twoje życie, to bym ci towarzyszył.

- Co rozumiesz przez „towarzyszył?”

- To znaczy... chyba mógłbym patrzeć.

- A co byś zrobił, gdybym zażądał czegoś więcej?

- Na przykład?

- Żebyś wziął widły i sam go parę razy uderzył?

- Czasem gadasz jak pomyłony, Roy.

- Potrafiłbyś go uderzyć?

- Nie.

- Założę się, że potrafiłbyś.

- Nigdy nie potrafiłbym niczego zabić.

- Ale patrzeć, to tak?

- No cóż, gdybym dzięki temu mógł raz na zawsze udowodnić ci, że jestem twoim przyjacielem i że możesz mi ufać...

Stali w jasnym kręgu ulicznej latarni. Roy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Z każdym dniem idzie ci coraz lepiej.

- Och tak?

- Nieźle się rozwijasz.

- Naprawdę?

- Jeszcze wczoraj mówiłeś, że nie mógłbyś nawet patrzeć na mordowanie psa. Dzisiaj mówisz, że mógłbyś patrzeć, ale nie zabijać. Jutro albo pojutrze powiesz, że jesteś zdolny



wziąć widły i zrobić z tego cholernego psa siekaninę.

- Nie. Nigdy.

- A za tydzień wreszcie przyznasz, że zabicie czegoś sprawiłoby ci przyjemność.

- Nie. Mylisz się. To głupie.

- Miałem rację. Jesteś taki jak ja.

- A ty nie jesteś mordercą.

- Jestem.

- Nie wierzę.

- Nie znasz mnie.

- Nazywałeś się Roy Borden.

- Miałem na myśli to, co mam w środku. Nie wiesz, ale się dowiesz.

- Nie ma w tobie mordercy psów i kotów.

- Zabijałem istoty większe od kota.

- Na przykład?

- Ludzi.

- A potem, jak przypuszczam, przerzuciłeś się na coś większego, dajmy na to na słonie.

- Nie słonie. Po prostu ludzi.

- Podejrzewam, że w przypadku słonia są problemy z usunięciem ciała.

- Po prostu ludzi.

Od strony pobliskich drzew doleciał głuchy krzyk innego nocnego ptaka, a gdzieś w dali zawyły dwa samotne psy.

- To śmieszne - powiedział Colin.

- Nie, to prawda.

- Próbujesz mi wmówić, że zabijałeś ludzi?

- Dwa razy.

- A dlaczego nie sto?

- Bo tylko dwa.

- Następnym razem powiesz, że tak naprawdę to jesteś ósmionogą, sześciooką istotą z Marsa, przebraną za człowieka.

- Urodziłem się w Santa Leona - powiedział Roy chłodno. - Zawsze tu mieszkaliśmy, przez całe życie. Nigdy nie byłem na Marsie.

- Roy, to zaczyna być nudne.

- Och, to nigdy nie będzie nudne. Zanim lato dobiegnie końca, zabijemy kogoś, ty i ja, razem.

Colin udawał, że się zastanawia.

- Może prezydenta Stanów Zjednoczonych?

- Po prostu kogoś z Santa Leona. To będzie prawdziwy trzask.

- Roy, daj sobie spokój. Nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co mówisz. I nigdy nie uwierzę.

- Uwierzysz. W końcu uwierzysz.

- Nie. To tylko bajeczka, gra, kolejny sprawdzian. I bardzo chciałbym wiedzieć, po co to robisz.

Roy nie odpowiedział.

- No cóż, zdaje mi się - powiedział Colin - że zaliczyłem ten sprawdzian.

Udowodniłem ci, że niełatwo zrobić ze mnie idiotę. Nie dam się złapać na tę twoją bzdurną historyjkę. Rozumiesz?

Roy uśmiechnął się i skinął głową. Zerknął na zegarek.

- Słuchaj, na co masz ochotę? Chcesz jechać do Fairmont i obejrzeć film?

Colina zbiło z tropu to nagłe przejście na inny temat i zmiana w zachowaniu Roya.

- Co to jest Fairmont?

- Kino na świeżym powietrzu, oczywiście. Jeśli będziemy cały czas jechać po Ranch Road, a potem zawrócimy przy wzgórzach, to wyjedziemy na wzniesienie nad Fairmont.

Możemy tam siedzieć i oglądać film za darmo.

- Można coś usłyszeć?

- Nie, ale to niepotrzebne przy takich filmach, jakie dają w Fairmont.

- Co oni tam wyświetlają, do diabła - nieme filmy?

Roy był zdumiony.

- Chcesz powiedzieć, że mieszkasz tu od miesiąca i jeszcze nie wiesz, co to jest Fairmont?

- Czasem czuję się przy tobie jak facet opóźniony w rozwoju.

- Naprawdę nie wiesz?

- Powiedziałeś, że to kino na świeżym powietrzu.

- Coś więcej - stwierdził Roy. - Chłopie, ale się zdziwisz!

- Nie lubię niespodzianek.

- Jedziemy.

Roy wspiął się na swój rower i odjechał. Colin ruszył za nim. Zjechał z chodnika na ulicę i posuwał się od latarni do latarni, przecinając połacie światła i cienia, naciskając mocno na pedały, by nadążyć za przyjacielem.

Gdy dotarli do Ranch Road i skierowali się na południowy wschód, oddalając się od miasta, musieli włączyć światła przy rowerach. Ostatnie ślady słońca zniknęły z krawędzi wysokich chmur: zapadła noc, której nie rozświetlały już uliczne latarnie. Po obu stronach

drogi, na tle szarocznego nieba, wznosiły się łańcuchy łagodnych, bezdrzewnych, czarnych jak smoła wzgórz. Od czasu do czasu minął ich jakiś samochód, ale na ogół całą szosę mieli dla siebie.

Colin czuł się w ciemności nieswojo. Nigdy nie wyzbył się dzieciennego lęku przed samotnością w mroku nocy, która to słabość niepokoiła czasem jego matkę i nieodmiennie doprowadzała do furii jego ojca. Zawsze spał przy zapalonym świetle. A teraz trzymał się blisko Roya, absolutnie przekonany, że znajdzie się w niebezpieczeństwie, jeśli zostanie w tyle. Wówczas coś przerażającego, coś nieludzkiego, coś ukrytego w nieprzeniknionych ciemnościach zalegających pobocze drogi, wyciągnie po niego swe łapy, chwyci w wielkie jak sierpy szpony, zrzuci z siodełka i pożre, miażdżąc z głośnym trzaskiem jego kości i rozbryzgując krew. Albo jeszcze gorzej. Był wielbicielem horrorów - filmów i książek - nie dlatego, że opisywały barwne mity i miały żywą akcję, ale dlatego, że przedstawiały, w jego przekonaniu, realnie istniejącą rzeczywistość, której większość dorosłych nie brała poważnie. Wilkołaki, wampiry, zombi, rozkładające się ciała, którym nie było dane spocząć w trumnach, i setki innych diabelskich stworów naprawdę istniały. Intelktualnie mógł je odrzucać - jako fantastyczne bestie, potwory zrodzone w wyobraźni - ale w głębi duszy wiedział, że one są, powstałe z martwych, przyczajone, wyczekujące, ukryte, głodne. Noc była rozległą, stęchłą piwnicą, schronieniem wszystkiego, co pełza, czołga się i wije. Noc miała uszy i oczy. Przemawiała okropnym starczym, skrzeczącym głosem. Jeśli słuchało się uważnie, tłumiąc wątpliwości i otwierając podwoje umysłu, można było usłyszeć przerażający głos nocy. Szeptał o grobach, gnijącym ciele, demonach, duchach i potworach zaludniających bagna. Opowiadał o rzeczach niewypowiedzianych.

Muszę z tym skończyć - powtarzał sobie Colin. - Dlaczego cały czas tak się zadreczam? Rany.

Uniósł się lekko na siodełku, by mocniej naciskać pedały, zdecydowany ani na chwilę

nie oddalać się od Roya.

Jego ramiona pokryła gęsia skórka.

Zjechali z Ranch Road na ledwie widoczną w blasku księżyca polną drogę. Roy prowadził. Za szczytem pierwszego wzgórza trakt zmienił się w wąską ścieżkę. Ćwierć mili dalej ścieżka skręciła na północ, ale chłopcy zmierzali na zachód, przedzierając się przez gęstą trawę i brnąc po piaszczystym terenie.

Gdy od chwili opuszczenia ścieżki minęła niecała minuta, światelko przy rowerze Roya nagle zgasło.

Colin zatrzymał się natychmiast, czując, że jego serce tłucze się dziko niczym królik w klatce.

- Roy? Gdzie jesteś? Coś nie w porządku? Co się stało, Roy?

Roy wynurzył się z ciemności i wkroczył w blade półkole światła rzucanego przez lampkę roweru Colina.

- Mamy jeszcze do pokonania dwa wzgórza, zanim dotrzemy na miejsce. Nie ma sensu męczyć się dalej z tymi rowerami. Zostawmy je tutaj. Zabierzemy w drodze powrotnej.

- A jeśli ktoś je ukradnie?

- Kto?

- Skąd mam wiedzieć? A jeśli?

- Międzynarodowy gang złodziei, mający w każdym mieście swoich agentów? - Roy potrząsnął głową, nie starając się ukryć zniecierpliwienia. - Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto martwiłby się takimi bzdurami jak ty.

- Gdyby ktoś je ukradł, musielibyśmy wracać do domu pieszo - pięć albo sześć mil, może nawet więcej.

- Chryste, Colin, nikt nawet nie wie, że te rowery tu leżą. Nikt ich nawet nie zauważy, nie mówiąc o kradzieży.

- No dobra, a jak wrócimy i nie znajdziemy ich w tych ciemnościach?

Przez twarz Roya przebiegł grymas, nadając jej demoniczny, jakiś nieludzki wyraz. A może to tylko gra światła i cienia? - pomyślał Colin.

- Znam to miejsce - powiedział niecierpliwie. - Często tu bywam. Wierz mi. Ruszysz się wreszcie? Stracimy film.

Odwrócił się i odszedł.

Colin wahał się do chwili, w której uświadomił sobie, że jeśli nie porzuci roweru, to Roy porzuci jego. Nie chciał zostać sam w środku tego pustkowia. Położył rower na boku i zgasił lampkę.

Ze wszystkich stron otoczyła go ciemność. Nagle dobiegł go dźwięk tysiąca dziwnych pieśni: nieustanne rechotanie ropuch. Czy tylko ropuch? Może czegoś znacznie bardziej niebezpiecznego. Wiele dziwnych głosów przyłączyło się do tego chrapliwego chóru.

Colina zalała fala strachu, jak żółć wypływająca z rozerwanego jelita. Mięśnie krtani naprężyły się. Miał trudności z przełykaniem. Gdyby Roy zawołał go, nie byłby w stanie odpowiedzieć. Pomimo chłodnej bryzy poczuł pot spływający po plecach.

Nie jesteś już dzieckiem - mówił sobie. - Nie zachowuj się jak dziecko.

Pragnął za wszelką cenę schylić się i znów zapalić lampkę przy rowerze, ale nie chciał, by Roy odkrył, że boi się ciemności. Chciał być taki jak Roy, a Roy nie bał się niczego.

Na szczęście Colin nie stracił całkowicie zdolności widzenia. Światło przy rowerze nie było zbyt silne, więc oczy chłopca szybko przywykły do świata pograżonego w ciemności.

Pofałdowany teren zalewała mleczna księżycowa poświata. Widział przed sobą Roya, wspinającego się szybko na najbliższy wzgórek.

Colin próbował ruszyć się z miejsca - nie mógł. Każda jego noga zdawała się ważyć

tysiąc funtów.

Coś zasyczało.

Colin przechylił głowę. Nasłuchiwał.

Znów ten syk. Bliżej. Głośniej.

Coś wędrowało z szelestem przez trawę u jego stóp i Colin cofnął się. Mogła to być tylko nieszkodliwa ropucha, ale sprawiła, że wreszcie zdecydował się ruszyć z miejsca.

Dogonił Roya i kilka minut później dotarli do wzniesienia górującego nad Fairmont.

Zeszli w dół i zatrzymali się w połowie zbocza, po czym usiedli w ciemności obok siebie.

Widoczne w dole samochody zwrócone były na zachód. Przed nimi znajdował się ekran, a dalej biegła główna trasa do Santa Leona.

Na ogromnym ekranie widać było kobietę i mężczyznę, idących o zachodzie słońca po plaży. Na wzgórzu nie docierał żaden dźwięk, ale dzięki zbliżeniom Colin wiedział, że aktorzy rozmawiają ze sobą. Żałował, że nie potrafi czytać z ruchu warg.

- Zaczynam podejrzewać, że to głupi pomysł wlec się tu taki kawał, żeby obejrzeć film, którego nawet nie możemy usłyszeć - powiedział po chwili.

- Nie musisz nic słyszeć.

- To jak będziemy śledzić akcję?

- Ludzie, którzy przyjeżdżają do Fairmont, nie potrzebują akcji. Chcą tylko zobaczyć cycki i dupę.

Colin gapił się na Roya.

- O czym ty mówisz?

- Fairmont jest dobrze położone. Nie ma w pobliżu żadnych domów. Z szosy też nie widać ekranu. Dlatego mogą wyświetlać łagodne porno.

- Co mogą wyświetlać? - spytał Colin.



- Łagodne porno. Nie rozumiesz?

- Nie.

- Musisz się jeszcze dużo nauczyć, drogi przyjacielu. Na szczęście masz dobrego nauczyciela. Mnie mianowicie. To pornografia. Świńskie filmy.

- Chcesz powiedzieć, że będziemy oglądać ludzi, którzy... robią to?

Roy uśmiechnął się. Jego oczy i zęby odbijały blask księżyca.

- Tak, gdyby to było ostre porno - wyjaśnił. - Ale to tylko łagodna odmiana.

- Och - powiedział Colin. Nie miał zielonego pojęcia, o czym Roy mówi.

- Więc zobaczymy tylko nagich ludzi, którzy udają, że to robią - dodał Roy.

- Będą... naprawdę nadzy?

- Pewnie.

- Ale chyba niezupełnie.

- Zupełnie.

- Ale nie dziewczyny.

- Zwłaszcza dziewczyny - powiedział Roy. - Oglądaj film, baranie.

Colin spojrział na ekran, bojąc się tego, co może zobaczyć.

Para na plaży całowała się. Następnie mężczyzna zrobił krok do tyłu, podczas gdy kobieta uśmiechała się i gładziła swe ciało, podniecając partnera, po czym sięgnęła do tyłu i rozpięła stanik, pozwalając, by zsunął się z jej ramion, i nagle na ekranie pojawiły się jej piersi - duże, twarde i sterczące, kołysząc się rozkosznie i wtedy mężczyzna dotknął ich...

- Dobra, bierz ją. Zrób jej dobrze - powiedział Roy.

...mężczyzna pieścił piersi kobiety, ugniatał je, a ona zamknęła oczy i zdawała się wzdychać. Mężczyzna zaczął delikatnie ścisnąć palcami jej nabrzmiałe sutki.

Colin jeszcze nigdy nie czuł się tak zażenowany.

- Ale ma zestaw - powiedział Roy z entuzjazmem.

Colin pragnął być gdzieś daleko. Gdziekolwiek. Nawet tam, gdzie zostawili rowery, w ciemności, zupełnie sam.

- Ale ma niesamowity zestaw, co?

Colin chciał wpełznąć do jakiejś dziury i schować się.

- Podoba ci się?

Colin nie mógł wydusić słowa.

- Chciałbyś je possać?

Colin pragnął, by Roy się zamknął.

Mężczyzna na ekranie pochylił się i zaczął ssać piersi kobiety.

- Chciałbyś się nimi obłożyć?

Choć Colin był coraz bardziej zaszokowany i speszony, nie mógł oderwać oczu od ekranu.

- Colin? Hej, Colin!

- Hej?

- Co myślisz?

- O czym?

- O jej zestawie.

Kobieta i mężczyzna biegli po plaży w stronę pokrytego trawą pagórka, gdzie mogliby się położyć. Jej piersi podskakiwały i kołysały się.

- Colin? Zapomniałeś języka w gębie?

- Dlaczego chcesz o tym rozmawiać?

- Będzie fajniej. Nic nie słyszemy, więc nie wiemy, o czym oni mówią.

Para wyciągnęła się na trawie i mężczyzna znów całował piersi kobiety.

- Podobają ci się jej bufory?

- Rany, Roy.

- Podobają?

- Tak mi się wydaje.

- Wydaje ci się?

- Pewnie. Są ładne.

- Komu by się nie podobały?

Colin nie odpowiedział.

- Może jakiemuś pedałowi - stwierdził Roy.

- Podobają mi się - powiedział ciekim głosem Colin.

- Co ci się podoba?

- Zapomniałeś, o czym mówimy?

- Chcę usłyszeć, jak to wymawiasz.

- Już powiedziałem. Podobają mi się.

- Co ci się podoba? - nie ustępował Roy.

Na ekranie: naprężone sutki.

- Co się z tobą dzieje? - spytał Colin.

- Ze mną nic się nie dzieje.

- Jesteś stuknięty, Roy.

- A ty boisz się to powiedzieć.

- Co powiedzieć?

- Jak się na nie mówi?

- Rany.

- Jak się na nie mówi?

- Dobra, dobra. Jeśli zamkniesz ci to gębę, to powiem.

- Więc powiedz.

- Lubię jej zestaw - powiedział Colin. - No. Zadowolony?

Colin czerwienił się jak wszyscy diabli. Dziękował Bogu, że jest ciemno.

- Powiedz jeszcze inaczej.

- He?

- Inaczej niż „zestaw”.

- Odpieprzysz się?

Na ekranie: piersi mokre od śliny.

Roy położył dłoń na ramieniu Colina i ścisnął, wbijając paznokcie w ciało chłopca.

- Powiedz inaczej.

- Ty powiedz. Wydaje mi się, że znasz wszystkie słowa.

- A ty musisz się ich nauczyć.

- Dlaczego mówienie tego wszystkiego ma być takie ważne?

- Czy mały Colin boi się, że mamusia usłyszy i przemyje mu buzię mydełkiem?

- Nie opowiadaj bzdur - powiedział Colin, starając się ratować godność.

- Więc jeśli nie boisz się swojej mamusi, powiedz jeszcze inaczej. Popatrz na ekran i nazwij to, co ci się tak bardzo podoba.

Colin odchrząknął nerwowo.

- No... podobają mi się jej piersi.

- Piersi? Jezu, Colin, piersi to coś, co możesz wymacać u kurczaka!

- Tak ludzie mówią, kiedy chodzi o kobiety - bronił się Colin.

- Może lekarze.

- Wszyscy.

Roy jeszcze mocniej ścisnął ramię Colina.

- Puść, do diabła - powiedział Colin. - Ranisz mnie.

Próbował się odsunąć, ale nie mógł uwolnić się z uścisku przyjaciela. Roy był bardzo silny.

Jego twarz była tylko częściowo widoczna w lodowatym blasku księżyca, ale

Colinowi nie podobało się nawet to, co zdołał dostrzec. Szeroko otwarte, rozgorączkowane, płonące oczy, napięte w ponurym grymasie wargi. Roy przypominał szykującego się do ataku wilka.

Coś niezwykłego w tych oczach - coś niesamowitego i potężnego, lecz

nieuchwytnego, także żarliwość, z jaką mówił, kazały Colinowi wierzyć, że ta dziwaczna

rozmowa ma dla jego przyjaciela ogromne znaczenie. To nie była zabawa - Roy rzucał

wyzwanie. Było to starcie jednej woli z drugą i wynik owego starcia - Colin był pewny - miał

być decydujący dla ich wspólnej przyszłości. Wyczuwał także, że jeśli nie wyjdzie z

pojedyнку zwycięsko, będzie tego żałował z całego serca, choć naprawdę nie rozumiał,

dlaczego tak to odczuwa.

Roy ścisnął jego ramię jeszcze mocniej. Colin powiedział”

- Auuu, rany. Proszę, puść, to boli.

- Nazwij to inaczej.

- O co ci chodzi?

- Nazwij to inaczej.

- Roy, to mnie boli.

- Nazwij to inaczej, wtedy cię puszcę.

- Myślałem, że jesteś moim przyjacielem.

- Jestem najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałeś.

- Gdybyś był moim przyjacielem, nie sprawiałbyś mi bólu - wycodził Colin przez zaciśnięte zęby.

- Gdybyś ty był moim przyjacielem, powiedziałbyś to słowo. Co stracisz, u diabła, jeśli je powiesz?

- A co ty stracisz, jeśli nie powiem?

- Chyba mówiłeś, że mogę ci zaufać, że zrobisz wszystko, czego zażadam - jak prawdziwy przyjaciel. A teraz nie chcesz ze mną nawet rozmawiać o tym świńskim filmie.

- OK, OK - powiedział Colin. Naprawdę czuł się trochę winien, ponieważ to, czego żądał Roy, było przecież taką drobnostką.

- Powiedz „cycki”.

- Cycki - powiedział Colin nagle grubym, obcym głosem.

- Powiedz „bufory”.

- Bufory.

- Powiedz „balony”.

- Balony.

- Powiedz, że podobają ci się jej cycki.

- Podobają mi się jej cycki.

- Czy to było takie trudne? - Roy puścił go.

Colin delikatnie rozcierał ramię.

- Hej - powiedział Roy. - Nie chciałbyś nosić jej cycków jako nauszników?

- Jesteś obrzydliwy.

- Dzięki. - Roy roześmiał się.

- Chyba mnie skaleczyłeś.

- Nie bądź dzieckiem. Tylko trochę ścisnąłem. O rany! Spójrz na ekran.

Mężczyzna zdjął z dziewczyny dolną część bikini. Pieścił teraz jej pośladki, które wydawały się niesamowicie białe w porównaniu z opalenizną na plecach i udach, tak bardzo białe, że wyglądały jak zaokrąglone połówki jasnego orzecha otoczonego miękką brązową skorupą.

- Mógłbym zjeść na śniadanie dziesięć funtów tego jej tyłka - powiedział Roy.

Mężczyzna na ekranie był nagi. Położył się na plecach i dziewczyna usiadła na nim okrakiem.

- Nie pokażą nam najlepszego - powiedział Roy. - Nie w Fairmont. Nie zobaczymy, jak sobie wsadza.

Kamera skoncentrowała się na podskakujących piersiach dziewczyny i jej pięknej twarzy, wykrzywionej udawaną ekstazą.

- Sztywnieje ci, jak na to patrzysz? - spytał Roy.

- Co?

- Staje ci?

- Jesteś walnięty.

- Tego słowa też się boisz?

- Nie boję się żadnych słów.

- Więc powiedz.

- Rany.

- Powiedz.

- Staje.

- A czujesz to?

Colin był niemal chory z zażenowania.

- Stoi ci, przyjacielu?

- Tak.

- Wiesz, jak się na niego mówi?

- Olek.

Roy wybuchnął śmiechem.

- Zabawne. Naprawdę szybka odpowiedź. Podoba mi się.

Pochwała przyjaciela podziałała na Colina niemal kojąco. Strach trochę ustąpił.

- Naprawdę nie wiesz, jak się na niego mówi? - spytał Roy.

- Penis.

- To równie dobre jak piersi.

Colin milczał.

- Powiedz „kutas”.

Colin powiedział.

- Bardzo dobrze - stwierdził Roy. - Znakomicie. Zanim skończy się film, będziesz znał wszystkie potrzebne słowa i używał ich tak swobodnie jak ja. Trzymaj się blisko mnie, chłopcze, a zobaczysz, jak dużo się nauczysz. Hej, spójrz! Zobacz, co z nią teraz robi! Patrz, Colin! Ale trzask! Patrz!

Colin miał wrażenie, że stoi na deskorolce, pędząc w dół długiego, stromego wzgórza, zdany tylko na łaskę losu. Ale wciąż patrzył.



Wrócili do Santa Leona za piętnaście jedenasta i zatrzymali się przy stacji benzynowej na Broadway. Stacja była w nocy nieczynna. Jedyne światło paliło się przy automacie z napojami.

Roy grzebał w kieszeni szukając drobnych.

- Czego się napijesz? Ja stawiam.

- Mam pieniądze - powiedział Colin.

- Płaciłeś za kolację.

- No dobrze... sok winogronowy.

Milczeli przez chwilę, sącząc swoje napoje.

- Ale noc, co - wreszcie odezwał się Roy.

- Owszem.

- Dobrze się bawisz?

- Jasne.

- Ja bawię się świetnie, a wiesz dlaczego?

- Dlaczego?

- Bo ty tu jesteś.

- Pewnie - stwierdził Colin, wciąż mając o sobie nie najlepsze zdanie. - Zawsze jestem duszą towarzystwa.

- Mówię poważnie - stwierdził Roy. - Takiego przyjaciela jak ty ze świecą szukać.

Tym razem Colin zaczerwienił się nie tylko z zażenowania, ale również z dumy.

- Prawdę mówiąc - dodał Roy - jesteś jedynym przyjacielem jakiego mam, jedynym, jakiego potrzebuję.

- Masz setki przyjaciół.

- To tylko znajomi. Jest ogromna różnica między przyjaciółmi a znajomymi. Dopóki się tu nie sprowadziłeś, wielu uważałem za przyjaciół.

Colin nie wiedział, czy Roy mówi prawdę, czy tylko żartuje.

Nie miał doświadczenia, które pozwoliłoby mu to ocenić, ponieważ nikt dotąd nie rozmawiał z nim tak jak Roy.

Roy odstawił opróżnioną do połowy butelkę coli i wyciągnął z kieszeni scyzoryk.

- Myślę, że nadszedł już czas.

- Na co?

Stojąc w łagodnym świetle płynącym z automatu, Roy otworzył scyzoryk, przystawił koniec ostrza do wzniesienia na dłoni i nacisnął na tyle mocno, by popłynęła krew: jedna, gruba kropla. Szkarłatna perła. Ścisnął małą ranę, aż zaczęło się sączyć więcej krwi, która ściekała teraz po jego ręce. Colin był zaszokowany.

- Dlaczego to robisz?

- Daj dłoń.

- Oszalałeś?

- Zrobimy to tak, jak robią to Indianie.

- Co?

- Zostaniemy braćmi krwi.

- Już jesteśmy przyjaciółmi.

- Bracia krwi to coś o wiele ważniejszego.

- Ach tak? Dlaczego?

- Gdy nasza krew się zmiesza, będziemy jak jedna osoba. I wszyscy, z którymi kiedyś się zaprzyjaźnię, będą też twoimi przyjaciółmi. A twoi staną się moimi. Zawsze będziemy trzymać się razem, nigdy osobno. Wrogowie jednego z nas będą wrogami drugiego, więc

będziemy dwukrotnie silniejsi i mądrzejsi niż inni. Nigdy nie będziemy walczyć w pojedynkę.

Ty i ja wobec całego cholernego świata. Więc niech ten świat ma się lepiej na baczności.

- I to wszystko dzięki jednemu krwawemu uściskowi rąk? - spytał Colin.

- Ważne jest to, co ten uścisk symbolizuje. Jest tym samym, czym jest przyjaźń, miłość i zaufanie.

Colin nie mógł odwrócić wzroku od szkarłatnej pręgi, przecinającej dłoń i nadgarstek Roya.

- Daj mi rękę - powiedział jego przyjaciel.

Colin był podekscytowany słowami Roya. Miał zostać bratem krwi... Odczuwał też lekkie obrzydzenie.

- Ten nóż nie wydaje się specjalnie czysty.

- Jest czysty.

- Można dostać zakażenia, gdy ma się brudną ranę.

- Gdyby tak było, to czy pierwszy naciąłbym sobie dłoń?

Colin zawahał się.

- Rany boskie, dziurka nie będzie większa niż po ukłuciu szpilką - przekonywał Roy. -

A teraz daj mi rękę.

Colin niechętnie wysunął prawą rękę, dłonią do góry. Trząsał się. Roy chwycił go mocno i przystawił czubek ostrza do jego skóry.

- Zakłuje tylko przez chwilę - zapewnił.

Colin się nie odezwał, by nie zdradzić drżenia głosu.

Ból był nagły, ostry, ale trwał krótko. Colin zagryzł wargi, powstrzymując łzy.

Roy złożył scyzoryk i schował go.

Colin ścisnął drżącymi palcami ranę, aż zaczęła obficie krwawić.

Roy wsunął swą skrwawioną dłoń w dłoń Colina. Jego uścisk był mocny. Colin

odwzajemnił go tak mocno, jak tylko potrafił. Ich dłonie klasnęły cicho.

Stali przed pustą stacją, w chłodnym powietrzu przesiąkniętym zapachem benzyny.

Patrzyli sobie w oczy, dzieląc się oddechami, pewni swojej siły, niezwykłości i dzikiej mocy.

- Mój bracie - powiedział Roy.

- Mój bracie.

- Na zawsze - dodał Roy.

- Na zawsze.

Colin skupił całą swą uwagę na krwawej plamce, która widniała na jego dłoni,

próbując uchwycić chwilę, w której krew Roya zmiesza się z jego krwią.

Po tej mistycznej ceremonii Roy wytarł lepka dłoń o spodnie i podniósł butelkę pepsi.

- Co chcesz teraz robić?

- Jest już po jedenastej - zauważył Colin.

- Chyba nie zmienisz się w dynię, kiedy wybije północ?

- Lepiej pójdę do domu.

- Jest jeszcze wcześnie.

- Jeśli moja matka wróci do domu i zobaczy, że mnie nie ma, będzie się martwić.

- Chyba nie bardzo - sądząc z tego, co mówiłeś.

- Nie chcę podpaść.

- Zdawało mi się, że poszła z tym Thornbergiem na kolację.

- To było o dziewiątej - powiedział Colin. - Może niedługo wrócić do domu.

- Chłopie, aleś ty naiwny.

Colin spojrzał niepewnie na Roya.

- Co masz na myśli?

- Jeszcze długo nie będzie jej w domu.

- Skąd wiesz?

- Właśnie skończyli kolację i wypili brandy - powiedział Roy - i właśnie idą do łóżka.

- Nie wiesz, co mówisz - powiedział Colin niespokojnie. Ale przypomniał sobie, jak wyglądała matka, gdy wychodziła z domu: młoda i piękna w tej swojej obcisłej, krótkiej sukience.

Roy mrugnął do niego, uśmiechając się lubieżnie.

- Myślisz, że twoja matka jest dziewicą?

- Oczywiście, że nie.

- A może nagle wstąpiła do zakonu, czy coś w tym rodzaju?

- Rany.

- Zrozum, twoja matka pieprzy się tak jak wszyscy.

- Nie chcę o tym mówić.

- Ja w każdym razie miałbym wielką ochotę ją wypieprzyć.

- Przestań!

- Obrażalski, obrażalski.

- Jesteśmy braćmi krwi czy nie? - spytał Colin.

- A co to ma do rzeczy? - Roy łyknął pepsi.

- Jeśli jesteś moim bratem krwi, to powinieneś okazywać mojej matce szacunek, tak jakby to była twoja matka.

Roy odstawił butelkę do stojaka obok automatu. Odchrząknął i splunął na chodnik.

- Cholera, ja nawet własnej matki nie szanuję. To dziwka. Prawdziwa dziwka. Więc niby dlaczego mam traktować twoją starą jak jakąś boginię, kiedy nawet ty jej nie szanujesz?

- Kto mówi, że nie?

- Ja mówię.

- Wydaje ci się, że potrafisz czytać w myślach czy co?

- A czy mi nie powiedziałaś, że twoja stara zawsze spędza więcej czasu ze swoimi przyjaciółmi niż z tobą? Czy kiedykolwiek była przy tobie, kiedy jej potrzebowałeś?

- Wszyscy mają przyjaciół - bronił się Colin bez przekonania.

- A czy ty miałeś przyjaciół, zanim mnie spotkałeś?

- Miałem swoje zainteresowania. - Colin wzruszył ramionami.

- A czy nie mówiłaś mi, że jak jeszcze była z twoim starym, to zostawiała go raz w miesiącu...

- Nie tak często.

- ...po prostu odchodziła sobie na kilka dni, nawet na cały tydzień albo i na dłużej?

- Dlatego, że ją bił - powiedział Colin.

- Zabierała cię ze sobą, jak odchodziła?

Colin skończył swoją pepsi.

- Zabierała cię ze sobą? - powtórzył Roy.

- Nie zawsze.

- Zostawiała cię z nim.

- W końcu to mój ojciec.

- Mnie się wydaje dość niebezpieczny - stwierdził Roy.

- Nigdy mnie nie tknął. Tylko ją.

- Ale mógł cię tknąć.

- Ale nie tknął.

- Nie mogła przewidzieć, co ojciec zrobi, kiedy cię z nim zostawiała.

- Nic mi nie robił. A to najważniejsze.

- A teraz przez cały czas jest zajęta tą galerią - powiedział Roy. - Pracuje całymi dniami i prawie każdego wieczoru.

- Buduje naszą wspólną przyszłość.

Twarz Roya przybrała pełen złości wyraz.

- Czy to jest jej wymówka? Czy właśnie to ci mówi?

- To prawda, tak myślę.

- Jakie wzruszające. Budowanie przyszłości. Biedna, zapracowana Weezy Jacobs.

Serce mi krwawi, Colin. Naprawdę. Gównu. Spędza z tym całym Thornbergiem mnóstwo wieczorów...

- W interesach.
- ... i wciąż nie ma dla ciebie czasu..
- Więc co?
- Więc nie martw się powrotem do domu - powiedział Roy. - Nikogo to nie interesuje, czy jesteś w domu, czy cię nie ma. Nikogo to nie obchodzi. Więc się zabawmy.
- Co będziemy robić? - Colin odstawił pustą butelkę.
- Czekaj... wiem. Dom Kingmana. Spodoba ci się. Byłeś tam już?
- A co to jest dom Kingmana? - spytał Colin.
- Jeden z najstarszych budynków w mieście.
- Nie interesuję się zabytkami.
- To ten duży dom przy końcu Hawk Drive.
- Ta stara, dziwaczna budowla na szczycie wzgórza?
- Tak. Nikt tam nie mieszka od dwudziestu lat.
- Co może być ciekawego w opuszczonym domu?

Roy nachylił się nisko, zachichotał jak diabeł, wykrzywił groteskowo twarz, przewrócił oczami i wyszeptał dramatycznie: jest nawiedzony!

- To ma być żart?
- Skąd. Mówią, że jest nawiedzony.
- Kto mówi?
- Wszyscy. - Roy znów przewrócił oczami i spróbował naśladować Borysa Karloffa. - Ludzie widzieli bardzo dziwne rzeczy w domu Kingmana.
- Na przykład?
- Nie teraz - powiedział Roy już zwykłym tonem. - Powiem ci, jak dotrzemy na miejsce.



Gdy Roy chwycił swój oparty o ścianę rower, Colin powiedział”

- Poczekaj. Wydaje mi się, że tym razem mówisz poważnie. Ten dom jest naprawdę nawiedzony?

- To chyba zależy od tego, czy wierzysz w takie rzeczy, czy nie.

- Ludzie widzieli tam duchy?

- Twierdzą, że widzieli i słyszeli różne niesamowite rzeczy po tym, jak zginęli właściciele.

- Zginęli?

- Zostali zamordowani.

- Cała rodzina?

- Cała siódemka.

- Kiedy to się stało?

- Dwadzieścia lat temu.

- Kto ich zabił?

- Ojciec.

- Pan Kingman?

- Pewnej nocy oszalał i porąbał wszystkich, gdy spali.

- Porąbał? - Colin z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Siekierą.

Znów siekiery! - pomyślał Colin.

Przez chwilę jego żołądek wydawał się istotą żyjącą samodzielnie, ponieważ ślizgał się, podskakiwał i skręcał raz za razem, jakby chciał gwałtownie opuścić ciało Colina.

- Opowiem ci o wszystkim, gdy już tam dotrzemy - powiedział Roy. - Chodź.

- Poczekaj chwilę - Colin próbował zyskać na czasie. - Mam zabrudzone okulary.

Zdjął szkła, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i starannie wytarł grube soczewki. Roya widział jeszcze dość dobrze, ale wszystko poza nim, wszystko, co znajdowało się w odległości większej niż pięć stóp, było zamazane.

- Pospiesz się, Colin.

- Może powinniśmy poczekać do jutra?

- Tak długo zamierzasz czyścić te swoje cholerne okulary?

- Chodzi o to, że za dnia zobaczymy więcej.

- Wydaje mi się, że nawiedzone miejsca lepiej oglądać w nocy.

- Ale w nocy niczego nie zobaczymy.

- Boisz się? - Roy przyglądał mu się przez parę sekund.

- Czego?

- Duchów.

- Oczywiście, że nie.

- Wygląda na to, że tak.

- No... to jednak trochę głupie plątać się w takim miejscu po ciemku, głuchą nocą, rozumiesz.

- Nie. Nie rozumiem.

- Nie mówię o duchach. Chodzi o to, że nie jest zbyt bezpiecznie w środku nocy buszować po rozpadającym się domu.

- Masz pietra.

- Jeszcze czego.

- Udowodnij, że nie masz.

- Dlaczego miałbym cokolwiek udowadniać?

- Chcesz, żeby twój brat krwi miał cię za tchórza?

Colin milczał. Wiercił się niespokojnie.

- No chodź! - powiedział Roy.

Wsiadł na rower i wyjechał z pustej stacji, kierując się na północ. Nie obejrzał się za siebie.

Colin stał przy automacie z napojami. Sam. Nie lubił być sam. Zwłaszcza w nocy.

Roy był już przy następnej przecznicy i wciąż się oddalał.

- Cholera - powiedział Colin. - Poczekaj na mnie! - krzyknął - i wdrapał się na swój rower.

Ostatni stromy odcinek ulicy pokonali na piechotę, prowadząc rowery. Na wzgórzu majaczył opuszczony, zniszczony dom. Z każdym krokiem Colin czuł się coraz mniej pewnie. To naprawdę wyglądała jak nawiedzona - pomyślał.

Dom Kingmana z całą pewnością znajdował się w granicach Santa Leona, był jednak oddzielony od reszty miasta, jakby nikt nie chciał ryzykować mieszkania w jego pobliżu. Stał na szczycie wzgórza i sprawował pieczę nad obszarem o powierzchni pięciu czy sześciu akrów. Przynajmniej połowę tego terenu stanowił niegdyś zadbane ogród, ale już dawno temu całą tę okolicę pokryło zielsko i chwasty. Północny odcinek Hawk Drive kończył się ślepo szerokim placem przed posiadłością Kingmana, a ponieważ nie było tu już latarni, stare domostwo wraz z zachwaszczonym terenem otulały głębokie cienie, rozpraszone gdzieś przez blask księżyca. Niżej na wzgórzu, po obu stronach ulicy, przysiadły nowoczesne domy, zaprojektowane w stylu kalifornijskim, czekające ze zdumiewającą wprost cierpliwością na obsunięcie ziemi czy kolejną falę wstrząsów od strony San Andreas Fault. Górną część wzgórza zajmowała tylko posiadłość Kingmana. Zdawało się, że dom trwa w oczekiwaniu na coś o wiele bardziej przerażającego, coś znacznie gorszego niż trzęsienie ziemi.

Budynek był zwrócony fasadą w stronę miasta, położonego niżej, i morza, niewidocznego nocą, chyba że oglądanego jak negatyw - jako rozległa plama czerni. Był ogromną, rozpadającą się rudera, imitującą styl wiktoriański: ozdobioną przesadną liczbą kominów, szczytów i poręczy. Burze pozrywały dachówki. Ozdobny gzyms był popękany, a w niektórych miejscach nie było go w ogóle. Okiennice, jeśli przetrwały, zwisały przekrzywione, zaczepione na pojedynczym zawiasie. Biała farba wyblakła. Drewniana elewacja była srebrzystoszara, wypalona przez słońce i wychłostana przez wiejący

bezustannie morski wiatr, gdzieś tam pokryta plamami wilgoci. Stopnie prowadzące na ganek zapadły się, a poręcz była połamana. Połowa okien, jakby ktoś wybrał je przypadkowo, była zabita na głucho, ale inne niczym nie zabezpieczone, roztrzaskały wichry i kamienie przechodniów - blask księżyca wydobywał z mroku sterczące drzazgi szkła, wgryzające się w czarną pustkę. Pomimo swego opłakanego stanu dom Kingmana nie sprawiał wrażenia całkowitej ruiny - jego widok nie wywoływał smutku i tęsknoty w sercach tych, którzy na niego patrzyli, jak bywało to w przypadku wielu niegdyś okazałych, teraz upadłych domostw. Mimo zniszczonych murów tętnił życiem, był wciąż przerażająco... żywy. Gdyby rzeczy martwej można było przypisać jakieś ludzkie cechy, jakieś emocje, to ten dom należałoby określić jako pełen złości i gniewu. Wściekły.

Ustawili rowery przy bramie wejściowej. Była to ogromna, zardzewiała krata z wizerunkiem słońca pośrodku.

- Niezłe miejsce, co? - spytał Roy.

- Owszem.

- Chodźmy.

- Wejdziemy tam?

- Pewnie.

- Nie mamy latarki.

- No to wejdźmy chociaż na ganek.

- Po co? - spytał drżącym głosem Colin.

Roy przeszedł przez otwartą bramę i ruszył w stronę domu ścieżką wyłożoną połamanymi płytami kamiennymi, które porastały teraz skłębione chwasty.

Colin podążył za nim kilka kroków, następnie zatrzymał się i powiedział

- Poczekaj. Roy, poczekaj chwilę.

- O co chodzi? - Roy odwrócił się.

- Byłeś tu przedtem?

- Oczywiście.

- A w środku?

- Raz.

- Widziałeś jakieś duchy?

- Nie. Nie wierzę w nic takiego.

- Ale mówiłeś, że ludzie widywali tu różne rzeczy.

- Inni. Ja nie.

- Mówiłeś, że to nawiedzone miejsce.

- Powiedziałem ci, że inni tak mówili. Zdaje mi się, że opowiadają bzdury. Ale

wiedziałem, że ci się tu spodoba, skoro jesteś takim miłośnikiem horrorów.

Roy znów ruszył wzdłuż ścieżki. Po kilku krokach Colin powiedział”

- Poczekaj.

Roy spojrzał za siebie i uśmiechnął się.

- Boisz się?

- Nie.

- Akurat!

- Mam tylko kilka pytań.

- Więc się pośpiesz i pytaj.

- Powiedziałeś, że zamordowano tu wielu ludzi.

- Siedmioro - odpowiedział Roy. - Sześć zabójstw z zimną krwią i jedno samobójstwo.

- Opowiedz mi o tym.

W ciągu minionych dwudziestu lat najprawdziwsza tragedia Kingmanów zmieniła się

w upiększoną legendę Santa Leona, przywoływaną najczęściej w Dzień Zaduszny, utkaną z fantazji i prawdy. Lecz podstawowe fakty były znane i one właśnie stanowiły najbardziej realistyczną podstawę opowieści Roya.

Kingmanowie byli bogaci. Robert Kingman był jedynym dzieckiem Judith i Wielkiego Jima Kingmana; ale matka Roberta umarła w czasie porodu na skutek masywnego krwotoku.

Wielki Jim był bogatym człowiekiem, a z upływem lat stawał się coraz bogatszy. Zarabiał miliony na handlu nieruchomościami, uprawach, ropie naftowej i dzierżawie terenów wodnych. Był wysokim mężczyzną o szerokiej klatce piersiowej - syn odziedziczył to po nim i lubił się przechwalać, że nikt na zachód od Mississipi nie potrafi zjeść więcej steków, wypić więcej whiskey i zarobić więcej pieniędzy niż on, Wielki Jim. Krótco przed swoimi dwudziestymi urodzinami Robert odziedziczył cały majątek po tym jak Wielki Jim, wypiwszy zbyt dużo, zadławił się śmiertelnie ogromnym, niedokładnie przeżutym kawałkiem filet mignon. Przegrał te zawody w obżarstwie z człowiekiem, który miał dopiero zarobić miliony na dostawach materiałów kanalizacyjnych, ale który mógł się potem pochwalić, że przeżył ową ucztę. Robert nie przejawiał dziedzicznej skłonności do współzawodnictwa w obżarstwie i opilstwie, ale posiadał zmysł do interesów, i - choć był jeszcze bardzo młody - zdążył wielokrotnie pomnożyć ojcowską fortunę. W wieku dwudziestu pięciu lat Robert ożenił się z kobietą o nazwisku Alana Lee. Zbudował dla niej dom w wiktoriańskim stylu i wkrótce zaczął spełniać ojcowskie obowiązki wobec nowego pokolenia Kingmanów. Alana nie pochodziła z bogatej rodziny, ale według powszechnej opinii była najpiękniejszą kobietą w okręgu, obdarzoną najmiłszym usposobieniem w całym stanie. Szybko przyszły na świat dzieci. Pięcioro w ciągu ośmiu lat: trzech chłopców i dwie dziewczynki. Była to najbardziej szanowana rodzina w mieście - rodzina, której zazdrozczono, ale którą jednocześnie darzono sympatią i podziwiano. Kingmanowie byli dobrymi katolikami i dobrymi przyjaciółmi, nie

wywyższali się nad innych pomimo swojej pozycji, odznaczali się hojnością i angażowali w życie lokalnej społeczności. Robert bez wątpienia kochał Alanę. Wszyscy widzieli, że ona darzy go wzajemnością i wręcz uwielbia; a ukochane dzieci odpłacały im się uczuciem, jakim ich rodzice tak hojnie je obdarzali.

Pewnej sierpniowej nocy, kilka dni przed dwunastą rocznicą ślubu, Robert w sekrecie rozgniół na proszek dwa tuziny tabletek nasennych, które lekarz zapisał Alanie jako środek na nękaającą ją czasem bezsenność, i wsypał go do potraw przygotowanych dla rodziny na kolację, a także do jedzenia przeznaczonego dla mieszkających w tym samym domu służącej, kucharki i szefa służby. Sam nie zjadł i nie wypił niczego, co zawierałoby ów proszek. Gdy jego żona, dzieci i służba głęboko spali, poszedł do garażu i przyniósł siekierę, którą rąbano drewno do dziewięciu kominków rezydencji. Oszczędził kucharkę, służącą i szefa służby, ale nikogo więcej. Najpierw zabił Alanę, potem dwie córki, wreszcie trzech synów. Każde z nich zostało zgładzone w ten sam potwornie brutalny, krwawy sposób: dwoma gwałtownymi i potężnymi uderzeniami stalowego ostrza - jednym poziomym, drugim pionowym, rana tworzyła kształt krzyża, wyciętego na plecach lub klatce piersiowej, zależnie od pozycji śpiącego w chwili śmierci. Gdy już to zrobił, Robert dopełnił dzieła - obciął głowy wszystkim swoim ofiarom. Zaniósł je, broczące krwią, na dół i ustawił w rzędzie na długim gzymsie kominka w salonie. Była to szokująco makabryczna inscenizacja - sześć martwych, zbryzganych krwią twarzy, wpatrzonych w Roberta, niby ława przysięgłych czy sędziowie piekielnego trybunału. Obserwowany przez martwe oczy swych najbliższych Robert Kingman napisał krótką notatkę, przeznaczoną dla tych, którzy następnego ranka mieli znaleźć jej autora i jego potworne dzieło: „Mój ojciec zawsze mówił, że przyszedłem na świat w rzece pełnej krwi, krwi mojej matki. I wkrótce odejdę, pogrążony w takiej samej rzece”. Po napisaniu tej notatki załadawał colta kalibru 0.38, wsunął jego lufę w usta, odwrócił się w



stronę twarzy, na których zastygło śmiertelne przerażenie, i strzelił.

Gdy Roy skończył opowiadać, Colin poczuł przejmujące go zimno. Skulił się i drżał gwałtownie.

- Pierwsza obudziła się kucharka - powiedział Roy. - Zobaczyła krew na podłodze holu i na schodach, poszła jej śladem do salonu i ujrzała głowy na kominku. Wybiegła z domu i ruszyła pędem w dół ulicy, drąc się wniebogłosy. Przebiegła prawie całą milę, nim ją zatrzymano. Podobno cała ta historia omal nie doprowadziła jej do obłądu.

Noc wydawała się ciemniejsza niż wtedy, gdy Roy zaczynał swą historię. Księżyc zmniejszał się i oddalał coraz bardziej.

Od strony dalekiej autostrady dobiegł warkot ogromnej ciężarówki, zmieniającej biegi i przyspieszającej. Przypominał krzyk jakiegoś prehistorycznego zwierzęcia.

Usta Colina były suche jak popiół. Miał dość śliny, by móc mówić, ale jego głos dobywał się z trudem.

- Dlaczego, na litość boską? Dlaczego ich zabił?

- Bez powodu. - Roy wzruszył ramionami.

- Musiał być jakiś powód.

- Jeśli był, to i tak nikt go nigdy nie odkrył.

- Może źle zainwestował i stracił mnóstwo pieniędzy?

- Nie. Zostawił fortunę.

- Może żona chciała go porzucić?

- Wszyscy jej przyjaciele twierdzili, że była szczęśliwa w tym małżeństwie i bardzo go kochała.

Szczekanie psa.

Gwizd pociągu.

Szept wiatru w drzewach.

Ukradkowy ruch niedostrzegalnych istot.

Colin słyszał wokół siebie głosy nocy.

- Guz mózgu - powiedział.

- Wielu ludzi też tak sądziło.

- Założę się, że tak właśnie było. Założę się, że Kingman miał guza mózgu albo jakąś inną chorobę, coś, co sprawiło, że zachował się jak szaleniec.

- Była to wówczas najbardziej powszechna teoria. Ale sekcja zwłok nie wykazała niczego. Był zdrowy.

Colin zmarszczył brwi.

- Zdaje się, że zapamiętałeś każdy szczegół związany z tą sprawą.

- Znam ją niemal tak dobrze, jak gdyby dotyczyła mnie osobiście.

- Ale skąd wiesz, co ujawniła sekcja zwłok?

- Czytałem o tym.

- Gdzie?

- W bibliotece mają na mikrofilmach wszystkie egzemplarze *News Register* - powiedział Roy.

- Zajmowałeś się tym?

- Owszem. To mnie interesuje. Pamiętasz - mówiłem ci. Śmierć. Śmierć mnie

fascynuje. Jak tylko usłyszałem o Kingmanie, chciałem dowiedzieć się więcej. Znacznie

więcej. Chciałem poznać każdy, najdrobniejszy nawet szczegół. Rozumiesz? To znaczy, czy

nie byłoby cudownie być w tym domu tamtej nocy, gdy on mordował, po prostu obserwować,

chować się w kącie... tamtej nocy, chować się i patrzeć, jak zabija najpierw tamtych, a potem

siebie? Pomyśl tylko! Wszędzie krew. Nigdy w życiu nie widziałeś tyle tej cholernej krwi!

Krew na ścianach, krew, która wsiąkła w pościel i potem na niej skrzepła, śliskie kałuże krwi na podłodze, krew na schodach, krew na meblach... i te sześć głów na kominku! Jezu, ale trzask! Ale niesamowity trzask!

- Znow zachowujesz się, jakbyś był stuknięty.

- A ty... Chciałbyś tam być?

- Dzięki. I ty też byś nie chciał.

- Chciałbym jak wszyscy diabli.

- Gdybyś zobaczył całą tę krew, byś się porzygał.

- Nie ja.

- Chcesz mnie przyprawić o mdłości.

- Znow się mylisz.

Roy ruszył w stronę domu.

- Poczekaj chwilę - powiedział Colin.

Tym razem Roy nie odwrócił się. Pokonał zapadające się schody i wkroczył na ganek.

Colin przyłączył się do niego, bo nie chciał być sam.

- Opowiedz mi o duchach.

- Bywają noce, gdy widać w domu niesamowite światła. A ludzie mieszkający w dole ulicy mówią, że czasem słyszą krzyki przerażonych dzieci Kingmanów.

- Słyszą martwe dzieci?

- Słyszą, jak jęczą i kłócą się o coś ze złością.

Colin zauważył, że stoi oparty plecami o jedno z wybitych okien na parterze. Odsunął się od niego. Roy ciągnął beznamiętnie”

- Niektórzy ludzie twierdzą, że widzieli duchy gorejące w ciemności - dzieci bez głów, które wychodziły na ganek i biegały tam i z powrotem, jakby ktoś je gonił... ktoś albo coś.

- Rany!

Roy wybuchnął śmiechem.

- Widzieli prawdopodobnie bandę bawiących się dzieciaków, które robiły sobie ze wszystkich balona.

- Może nie.

- A cóż by innego?

- Może tamci właśnie widzieli to, o czym potem mówili.

- Ty naprawdę wierzysz w duchy.

- Mam po prostu otwartą głowę - powiedział Colin.

- Tak? To lepiej uważaj, co do niej wpada, bo inaczej zmieni się w otwarty śmietnik.

- Aleś ty cwany.

- Każdy tak twierdzi.

- I skromny.

- Tak też każdy twierdzi.

- Rany.

Roy podszedł do rozbitego okna i zajrzał do środka.

- Co tam widzisz? - spytał Colin.

- Sam zobacz.

Colin stanął obok niego i wpatrzył się w ciemność.

Przez wybitą szybę napłynęła fala stęchłego, wstrętnego zapachu.

- To salon - powiedział Roy.

- Nic nie widzę.

- To właśnie tutaj postawił na kominku ich głowy.

- O jakim kominku ty mówisz? Tam jest ciemno jak w grobie.

- Za kilka minut twoje oczy przywykną do ciemności.

Coś się poruszyło w salonie. Rozległo się ciche szuranie, potem szybki tupot i to coś pomknęło w stronę okna.

Colin odskoczył do tyłu. Potknął się o swoje własne stopy i upadł z łomotem.

Roy spojrział na niego i wybuchnął śmiechem.

- Roy, tam coś jest!

- Szczury.

- Hę?

- To tylko szczury.

- W tym domu są szczury?

- Pewnie, że są. Przecież to stara, zniszczona rudera. A może dziki kot. Pewnie i jedno, i drugie - kot goniący szczura. Jedno ci gwarantuję: to nie był żaden upiór ani duch.

Uspokój się, na litość boską!

Roy odwrócił się znów w stronę okna, nachylił się i przekrzywił głowę, nasłuchując i obserwując.

Bardziej zraniony na dumie niż poszkodowany na ciele, Colin podniósł się szybko i zwinnie, ale już nie podszedł do okna. Stał przy chyboczącej się balustradzie i patrzył na zachód - w stronę miasta, a później na południe, wzdłuż Hawk Drive.

- Dlaczego nie zburzyli tego domu i nie zrównali tego miejsca z ziemią? Dlaczego nie postawili tutaj nowych budynków? Ten teren ma pewnie wysoką cenę - spytał po chwili.

Nie odwracając się od okna Roy powiedział”

- Cały majątek Kingmana, nie wyłączając ziemi, przeszedł na własność stanu.

- Dlaczego?

- Nie było żadnych żyjących krewnych ani jego, ani jej - nikogo, kto mógłby

dziedziczyć.

- Co władze stanowe zamierzają zrobić z tym miejscem?

- W ciągu tych dwudziestu lat nie zdołały zrobić absolutnie nic. Jedno wielkie zero -

powiedział Roy. - Przez jakiś czas mówiło się o sprzedaży domu i ziemi na publicznej

licytacji. Potem o zaprojektowaniu w tym miejscu małego parku. Możesz czasem o tym

usłyszeć, ale tylko usłyszeć. A czy teraz będziesz cicho, choć na chwilę? Moje oczy zaczynają

przyzwyczajać się do ciemności. Muszę się na tym skoncentrować.

- Po co? Co jest tam takiego ciekawego?

- Próbuję dojrzeć gzyms nad kominkiem.

- Byłeś już tutaj - powiedział Colin. - Widziałeś to.

- Próbuję sobie wyobrazić, że to jest właśnie ta noc. Noc, kiedy Kingman oszalał. Jak

to było? Odgłos uderzającej siekiery... prawie go słyszę... śśśśśśświst - łup, śśśśśświst -

łup... i kilka krótkich krzyków... jego kroki na schodach... ciężkie kroki... krew... cała ta

krew...

Głos Roya uciekał gdzieś w przestrzeń, jakby chłopiec przeprowadzał autohipnozę.

Colin poszedł na drugi koniec ganku. Pod jego krokami trzeszczały deski. Wychylił się poza

obluzowaną balustradę i wyciągnął szyję, by zajrzeć za róg domu. Widział tylko zarośnięty

ogród we wszystkich możliwych odcieniach szarości, czerni i księżycowego srebra: sięgająca

kolan trawę, krzaczaste żywopłoty, pomarańczowe i cytrynowe drzewka, przygięte do ziemi

ciężarem własnych, nie przycinanych gałęzi, rozrośnięte krzewy różane, niektóre obsypane

żółtymi i białymi kwiatami, przypominającymi stróżki dymu unoszące się w ciemności, i

setkę innych roślin, z których krosna nocy utkały jedną spletaną gęstwinę.

Miał wrażenie, że coś go obserwuje z głębi ogrodu. Coś nieludzkiego.

Nie bądź dziecinny - myślał. - Tam niczego nie ma. To nie horror. To tylko życie.

Próbował wytrwać w miejscu, ale prawdopodobieństwo, że ktoś na niego patrzy, przerodziło się w pewność - był o tym przekonany. Wiedział, że jeśli zostanie tam dłużej, pochwyli go istota o potężnych szponach i wciągnie w gęste krzewy, a potem pożre w odpowiedniej dla siebie chwili. Odwrócił się i przyłączył do Roya.

- Idziemy? - spytał.

- Widzę cały pokój.

- Po ciemku?

- Widzę sporą jego część.

- Naprawdę?

- Widzę gzyms.

- Naprawdę?

- Gzyms, na którym ustawił głowy.

Przyciągany magneseś silniejszym od jego woli, Colin stanął obok Roya. Nachylił się i zaczął wpatrywać się we wnętrze domu Kingmana. Było tam bardzo ciemno, ale teraz mógł dostrzec więcej niż jeszcze przed chwilą: dziwne kształty, może stosy połamanych mebli czy gruz, cienie, które zdawały się poruszać, ale naprawdę były nieruchome, i biały marmurowy gzyms nad kominkiem - ołtarz ofiarny, na którym Robert Kingman złożył daninę ze swej rodziny.

Nagle Colin poczuł, że musi natychmiast uciekać z tego miejsca, że musi zawsze trzymać się od niego z daleka. Wiedział to instynktownie, jakimś zwierzęcym, prymitywnym przeczuciem. I, podobnie jak u zwierzęcia, włosy zjeżyły mu się na karku i zasyczał przez zaciśnięte zęby - cicho i bezwiednie.

Roy powtórzył”

- Śśśśśśśświst - łup!

Północ.

Zjechali w dół Hawk Drive, docierając do Broadway, i podążyli tą ulicą do samego jej końca, do Palisadę Lane. Zatrzymali się u szczytu drewnianych schodów, prowadzących na miejską plażę. Po drugiej stronie wąskiej ulicy stały eleganckie, stare domy w hiszpańskim stylu, zwrócone frontem do morza. Noc była martwa. Żadnego ruchu. Dobiegał ich tylko nieustanny grzmot fal uderzających o brzeg leżący pięćdziesiąt stóp niżej. W tym miejscu powinni się rozdzielić: dom Roya znajdował się kilka przecznic na północ, a dom Colina leżał na południe.

- O której się jutro spotkamy? - spytał Roy.

- Nie możemy się spotkać. To znaczy, ja nie mogę - powiedział Colin z żalem w głosie. - Przyjeżdża mój tata z Los Angeles z paczką swoich przyjaciół, żeby zabrać mnie na ryby.

- Lubisz łowić?

- Nie znoszę.

- Nie możesz się od tego wykręcić?

- Nie ma mowy. Spędza ze mną dwie soboty w miesiącu i zawsze robi z tego wielką sprawę. Nie wiem dlaczego, ale to chyba dla niego bardzo ważne. Gdybym próbował się wykpić, podniósłby wrzask.

- A jak z nim mieszkałeś, to czy spędzał z tobą choć dwa dni w miesiącu?

- Nie.

- Więc powiedz mu, żeby wziął swoją wędkę i wsadził sobie w dupę. Powiedz mu, że nie jedziesz.

Colin potrząsnął głową.



- To niemożliwe, Roy. Po prostu nie mogę. Pomyślałby, że to robota mojej mamy, a wtedy naprawdę zaczęliby się żreć.
  - Przejmujesz się tym?
  - Jestem między nimi.
  - Więc spotkajmy się jutro wieczorem.
  - Też nie da rady. Nie będę w domu wcześniej niż o dziesiątej.
  - Naprawdę uważam, że powinieneś mu powiedzieć, żeby się odczepił.
  - Spotkamy się w niedzielę - powiedział Colin. - Przyjdź o jedenastej. Popływamy sobie przez godzinę przed lunchem.
  - OK.
  - A potem będziemy robić, co zechcesz.
  - Brzmi nieźle.
  - No to... do zobaczenia.
  - Poczekaj chwilę.
  - O co chodzi?
  - Czy jak uda mi się coś niedługo zorganizować, to będziesz miał ochotę na jakiś kawałek?
  - Kawałek czego?
  - Kawałek dupy.
  - Och...
  - No jak?
- Colin był zakłopotany.
- Gdzie? To znaczy kto?
  - Pamiętasz te dziewczyny, które spotkaliśmy wczoraj?

- W salonie gier?
- Skąd. To dzieciaki. Podpuszczają tylko. Mówiłem ci. Mam na myśli prawdziwe dziewczyny, takie, jak na tym filmie.
- No i co?
- Chyba wiem, gdzie mogę znaleźć coś specjalnego dla nas - dziewczynę taką, jak tamte.
- Pijany jesteś?
- Mówię poważnie.
- A ja nazywam się Colin.
- Ma piękną twarz.
- Kto?
- Dziewczyna, którą mamy dorwać.
- Rany.
- I ma naprawdę duże balony.
- Naprawdę duże?
- Naprawdę.
- Tak duże jak Raquel Welch?
- Większe.
- Tak duże jak te, które latają w powietrzu?
- Mówię poważnie. I ma jeszcze parę niesamowitych nóg.
- To dobrze - powiedział Colin. - Jednonogie dziewczyny nigdy na mnie nie działały.
- Przestanieś wreszcie? Mówiłem ci, że nie żartuję. To gorąca sztuka.
- Założę się.
- Naprawdę.

- Ile ma lat?

- Dwadzieścia pięć albo dwadzieścia sześć.

- Przede wszystkim - powiedział Colin - musisz przykleić sobie sztuczne wąsy. Potem możesz stanąć mi na ramionach, żebyśmy mogli założyć jeden garnitur, żeby nie mogła się zorientować, że jesteśmy tylko parą dzieciaków i żeby pomyślała, że uwodzi ją wysoki, ciemnowłosy, przystojny facet.

- Mówię poważnie. - Na twarzy Roya pojawiła się złość.

- Ciągłe to powtarzasz, ale to nie brzmi przekonująco.

- Nazywa się Sara.

- Piękna, dwudziestopięcioletnia dziewczyna nie zainteresuje się ani mną, ani tobą.

- Może nie od razu.

- Nawet za milion lat.

- Wystarczy trochę perswazji.

- Perswazji?

- Razem dalibyśmy sobie z nią radę.

Colin gapił się na przyjaciela szeroko otwartymi oczami.

- Chcesz spróbować?

- Mówisz o gwałcie?

- A jeśli tak, to co?

- Chcesz skończyć w więzieniu?

- To gorąca sztuka. Warto zaryzykować.

- Dla nikogo nie warto iść do więzienia.

- Nie widziałeś jej.

- Poza tym, to coś złego.

- Gadasz jak kaznodzieja.
- To straszne zrobić coś takiego.
- Nie wtedy, kiedy sprawia przyjemność.
- Jej przyjemności to nie sprawi.
- Będzie mnie kochać, zanim się z nią załatwię.

Czerwieniąc się mocno, Colin powiedział”

- Jesteś stuknięty.
- Poczekaj, aż zobaczysz Sarę.
- Nie chcę jej widzieć.
- Na pewno będziesz miał na nią ochotę, kiedy tylko ją zobaczysz.
- To wszystko bzdury.
- Pomyśl o tym.

Po Palisade Lane przejechała kremowa furgonetka. Na jej boku wymalowano pustynny krajobraz, obramowany szczykami czaszkami. Usłyszeli głośną muzykę rockową i wysoki, przejmujący śmiech jakiejś dziewczyny.

- Pomyśl o tym - powtórzył Roy.
- Nie muszę o tym myśleć.
- Piękne, duże balony.
- Rany.
- Pomyśl o tym.
- To tak samo, jak z tą historią o kocie - powiedział Colin. - Nigdy nie zabiłbyś kota i nigdy byś też nikogo nie zgwałcił.
- Gdybym wiedział, że ujdzie mi to na sucho, tobym spróbował z tą Sarą - raz czy dwa, wierz mi, kolego.

- Nie wierzę.

- Gdybyśmy nad tym popracowali, ty i ja, to moglibyśmy wyjść z tego bez szwanku. Z łatwością. Naprawdę z łatwością. Czy chociaż pomyślisz o tym przez parę dni?

- Daj spokój, Roy. Wiem, że mnie nabierasz.

- Mówię poważnie.

Colin westchnął, potrząsnął głową i spojrział na zegarek.

- Nie mam zamiaru tracić czasu na te idiotyzmy. Jest już późno.

- Pomyśl o tym.

- Rany!

Roy uśmiechnął się. Niesamowite metaliczne światło rzucało na chłopca zwodniczy cień, zamieniając jego zęby w fosforyzujące, białoniebieskie kły; zimny blask lamp rtęciowych przyciemnił je i wyolbrzymił przerwy między nimi, sprawiając, że wydawały się krzywe i ostro zakończone. Roy wyglądał - przynajmniej tak widział go Colin - jakby założył sztuczną szczękę, odpowiednią na bal przebierańców - obrzydliwą woskową protezę, jaką można kupić w sklepie z dziwacznymi upominkami.

- Muszę iść do domu - powiedział Colin. - Spotykamy się w niedzielę o jedenastej?

- Pewnie. Jasne.

- Nie zapomnij kąpielówek.

- Baw się dobrze na rybach.

- Mało prawdopodobne.

Colin wsiadł na rower, nacisnął pedały i ruszył na południe wzdłuż Palisadę Lane.

Gdy posłyszał szept wiatru wokół siebie, gdy od prawej strony dotarło do niego echo bezlitosnego grzmotu fal, i gdy powrócił strach przed samotnością w nocy, zza pleców dobiegł go krzyk Roya: pomyśl o tym!

Gdy Colin dotarł do domu o wpół do pierwszej, jego matka jeszcze nie powróciła ze spotkania z Markiem Thornbergiem. Nie było jej samochodu w garażu. Dom był ciemny i ponury.

Nie chciał wchodzić do środka sam. Wpatrywał się w martwe okna, w pulsującą ciemność za szybami, i zdawało mu się, że coś tam czeka na niego, jakaś koszmarna istota, która pragnie pożreć go żywcem.

Przestań, przestań, przestań! - powtarzał sobie ze złością. - Nic tam na ciebie nie czeka. Nic. Nie bądź taki cholernie głupi. Dorośnij! Chcesz być podobny do Roya, więc rób dokładnie to, co zrobiłby teraz Roy. Wejdz swobodnie do środka, tak jak wszedłby Roy. Zrób to. Idź!

Wyciągnął klucz z drewnianej donicy, która stała przy ścieżce. Trzęsły mu się ręce.

Wepchnął klucz do dziurki, zawahał się, znalazł wreszcie dostatecznie dużo siły i otworzył drzwi. Sięgnął do wewnętrznego kontaktu i zapalił światło, ale nie przestąpił progu.

Pokój frontowy był pusty.

Żadnych potworów czających się po kątach.

Poszedł za róg domu, schował się za zasłoną krzewów i wysiusiał. Nie chciał być zmuszony do korzystania z łazienki, gdy będzie już w środku. Coś tam może na niego czekać za zasłoną zakrywającą prysznic, może nawet w koszu na bieliznę, coś ciemnego i zwinnego, o dzikich oczach, z mnóstwem zębów i ostrymi jak brzytwa szponami.

Musisz przestać tak myśleć - powiedział sobie. - To szaleństwo. Dorośli nie boją się ciemności. Jeśli szybko nie przezwyciężysz tego strachu, to skończysz w szpitalu dla obłąkanych. Rany.

Włożył z powrotem klucz do donicy i wszedł do domu. Próbował kroczyć z

niezachwianą pewnością siebie; jednak, niby gigantyczna marionetka, potrzebował grubych lin, utkanych z odwagi, które utrzymywałyby go w tej bohaterskiej postawie, ale to, co mógł w sobie odnaleźć, było tylko cieniutką nitką śmiałości. Zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Stał bez ruchu, wstrzymując oddech i nasłuchując.

Tykanie. Antyczny zegar na kominku.

Jęk. Wiatr uderzający w okno.

Nic więcej.

Zamknął drzwi na zamek.

Pauza.

Słuchał.

Cisza.

Nagle ruszył pędem przez pokój i obijając się o meble wypadł na korytarz, błyskawicznie przekręcił kontakt - nie ujrzał niczego niezwykłego - wbiegł głośno tupiąc po schodach, zapalił światło w górnym korytarzu, runął do swojej sypialni, znów przekręcił kontakt, poczuł się trochę lepiej, widząc, że wciąż jest sam, jednym szarpnięciem otworzył drzwi od garderoby - znowu nikogo, zatrzasnął drzwi od sypialni, podparł klamkę krzesłem, zaciągnął zasłony na obu oknach tak, aby nic, co kryło się na zewnątrz, nie mogło go obserwować i zwałił się na łóżko, dysząc ciężko. Nie musiał pod nie zaglądać: nie miało nóg, stało bezpośrednio na podłodze.

Będzie bezpieczny do rana - dopóki, oczywiście, coś nie wyłamie drzwi, pomimo krzesła zabezpieczającego klamkę.

Przestań!

Wstał, włożył niebieską piżamę, nastawił budzik na szóstą trzydzieści, żeby być gotowym, gdy przyjedzie ojciec, wsunął się pod kołdrę i przyklepał poduszkę. Kiedy zdjął

okulary, krawędzie sprzętów rozmyły się, ale on zdążył już zabezpieczyć swoje terytorium i nie musiał zachowywać stuprocentowej czujności. - Wyciągnął się na plecach i leżał tak przez dłuższy czas, nasłuchując odgłosów domu.

Brzęk! Skrzyyyyyyyyp... cichy jęk, krótki grzechot, ledwie słyszalny pisk. Zwykle odgłosy. Osiadanie budynku. Nic ponadto.

Nawet gdy matka była w domu, Colin spał przy zapalanej nocnej lampce. Ale tej nocy, dopóki Weezy nie wróci przed jego zaśnięciem, zamierzał palić wszystkie światła. W pokoju było jasno jak w sali operacyjnej, przygotowanej do zabiegu.

Widok jego włości nie dodał mu otuchy. Pięćset książek w miękkich okładkach wypełniało dwa wysokie regały. Ściany były ozdobione plakatami: Bela Lagushi w *Draculi*; Christopher Lee w *Horrorze Draculi*; potwór ze *Stwora z Czarnej laguny*; Lon Chaney, Jr., jako Człowiek Wilk; potwór z *Obcego* Ridleya Scotta, a także plakat przedstawiający autostradę z *Bliskich spotkań trzeciego stopnia*. Modele potworów, które sam sklejał, stały w równym rzędzie na stoliku obok biurka. Plastikowy wampir w nie kończącej się wędrówce po ręcznie malowanym cmentarzu. Stwór Frankenstein wyciągający przed siebie plastikowe ramiona, z zastygłym na twarzy wyrazem nieskażonej niczym nienawiści. Modeli było łącznie dwanaście. Podczas godzin, jakie poświęcał na ich konstruowanie, był w stanie tłumić strach przed nocą i przed jej złowieszczym głosem. Dopóki trzymał owe plastikowe symbole zła w rękach, czuł, że ma władzę, czuł się ich panem i, co ciekawe, czuł się potężniejszy niż pierwowzory, które owe figurki naśladowały.

Stuk!

Skrzyyyyyyp...

Po chwili przywykł do odgłosów domu i niemal przestał je słyszeć. Ale wciąż dobiegał go głos nocy, niesłyszalny dla nikogo innego. Rozlegał się od zmroku do świtu,



bezustanna obecność zła, nadprzyrodzony fenomen, głos zmarłych, którzy pragnęli powrócić ze swych grobów, głos diabła. Bełkotał obłąkańczo, śmiał się, chichotał, świszczwał, syczał, mruczał o krwi i śmierci. Brzmiący grobowym tonem, mówił o stęchłej i dusznej krypcie, o nieboszczykach, którzy wciąż chodzili jak żywi, o ciele pełnym robaków. Dla większości świata był to głos ukryty, który przemawia jedynie do podświadomości, ale Colin słyszał go wyraźnie. Nieprzerwany szept. Czasem krzyk. A czasem nawet głośny wrzask.

Pierwsza w nocy.

Gdzie, u diabła, podziewała się matka?

Puk - puk - puk!

Coś za oknem.

Puk. Puk - puk. Puk - puk - puk - puk. Puk.

To tylko duża ćma uderza o szybę. To było to. To musiało być to. Tylko ćma.

Pierwsza trzydzieści.

Niemal każdy wieczór spędzał sam. Nie dbał o to, że jada kolację bez towarzystwa.

Matka musiała pracować i miała przecież prawo umawiać się z mężczyznami, zwłaszcza teraz, kiedy znów była wolna. Ale czy musiała zostawiać go samego na całą noc?

Puk - puk.

Znowu ćma.

Puk - puk - puk.

Próbował zapomnieć o ćmie i pomyśleć o Royu. Ale facet z tego Roya! Jaki wspaniały przyjaciel. Jaki kumpel. Bracia krwi. Wciąż czuł płytkie skaleczenie na dłoni; pulsowało nieznacznie. Roy był po jego stronie, gotów mu pomóc, teraz i na wieki, po wsze czasy, albo przynajmniej do chwili, gdy jeden z nich umrze. Oto, co znaczyło być braćmi krwi. Roy będzie go ochraniał. Myślał o swoim najlepszym przyjacielu, by przesłonić obraz potworów

obrazem Roya, zagłuszyć głos nocy wspomnieniem głosu Roya, i tuż przed drugą odpłynął w sen. Ale był to sen pełen koszmarów.

Budzik wyrwał go ze snu o szóstej trzydzieści.

Wstał z łóżka i rozsunął zasłony. Przez minutę czy dwie kąpał się w słabym, wczesnym blasku słońca, który był niemy i nie stanowił zagrożenia.

Dwadzieścia minut później wziął prysznic i ubrał się.

Poszedł do pokoju matki i zastał uchylone drzwi. Zastukał cicho, ale nie było żadnej odpowiedzi. Pchnął drzwi o kilka cali i ujrzał ją. Spała jak kamień, leżąc na brzuchu, z twarzą zwróconą w jego stronę; kostki jej lewej dłoni były przyciśnięte do miękkich ust. Powieki trzepotały, jak gdyby śniła; jej oddech był płytki i rytmiczny. Prześcieradło zsunęło się do połowy jej ciała. Była naga. Plecy miała odsłonięte i Colin dostrzegł zarys lewej piersi, podniecającą zapowiedź okrągłości, wciśniętej w materac. Wpatrywał się w gładkie ciało, mając nadzieję, że matka przekręci się na łóżku, odsłaniając całą miękką, białą półkulę.

*To twoja matka!*

*Ale jest nieźle zbudowana.*

*Zamknij drzwi.*

*Może się odwróci.*

*Przecież nie chcesz patrzeć.*

*Akurat! Odwróć się!*

*Zamknij drzwi.*

*Chcę zobaczyć jej piersi.*

*To obrzydliwe.*

*Jej cycki.*

*Rany.*

*Daję słowo, że chciałbym ich dotknąć.*

*Oszalałeś?*

*Podejdz cicho i dotknij ich, nie budzac jej.*

*Stajesz sie zbocencem. Zwyklym, cholernym zbocencem. Powinienes sie wstydzic.*

Czerwieniąc się, ostrożnie zamknął drzwi. Ręce miał zimne i mokre od potu.

Zszedł na dół i zjadł śniadanie: dwa słodkie herbatniki, które popił szklanką soku pomarańczowego.

Choć starał się wymazać z pamięci ten obraz, nie był w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o nagich plecach Weezy i miękkim zarysie jej piersi.

- Co się ze mną dzieje? - spytał głośno.

Ojciec przyjechał białym cadillakiem pięć po siódmej i Colin czekał już na chodniku przed domem. Stary klepnął go po ramieniu i spytał”

- Jak się masz, junior?

- OK - powiedział Colin.

- Gotów na wielkie połowy?

- Chyba tak.

- Będą dziś brały.

- Naprawdę?

- Tak mówią.

- Kto?

- Ci, którzy wiedzą.

- A może to ryby?

- Co? - ojciec zerknął na niego.

- Kim są ci, którzy wiedzą?

- Irv i Charlie.

- Kto to jest?

- Faceci, którzy obsługują łódź.

- Aha.

Czasem Colin nie mógł uwierzyć, że Frank Jacobs to jego ojciec. W ogóle nie byli do siebie podobni. Frank był dużym, smukłym, zgrabnym i dobrze zbudowanym mężczyzną: sto osiemdziesiąt funtów wagi, sześć stóp, dwa cale wzrostu, długie ramiona i ogromne, zrogowaciałe dłonie. Był znakomitym wędkarzem, myśliwym - posiadaczem kolekcji trofeów i bardzo dobrym łucznikiem. Miłośnik pokera, bywalec przyjęć, wielbiciel alkoholu, choć nie

pijak, ekstrawertyk, swój chłop. Colin podziwiał niektóre jego cechy; ale były i takie, i to niemało, które ledwie tolerował, a kilka wręcz wzbudzało w nim wstręt, strach, a nawet nienawiść. Po pierwsze, Frank zwyczajowo nie chciał przyznawać się do własnych błędów, nawet jeśli ich skutki sam widział gołym okiem. A gdy już absolutnie nie mógł wykręcić się sianem, stawał się ponury, na podobieństwo rozkapryszonego dziecka, jakby uważał za krzyżącą niesprawiedliwość to, że musi ponosić odpowiedzialność za skutki własnych potknięć. Nigdy nie czytał książek czy magazynów innych niż sportowe, a jednak wypowiadał się w sposób autorytatywny na każdy temat, począwszy od stosunków arabsko - izraelskich, a skończywszy na balecie amerykańskim. Uparcie i gniewnie bronił swych dyletanckich opinii, nie zdając sobie sprawy, że robi z siebie durnia. Ale najgorsze było to, że tracił panowanie nad sobą z byle powodu, a uspokajał się z najwyższym trudem. Gdy był rozzłoszczony, zachowywał się jak wściekły szaleniec: wykrzykiwał urojone oskarżenia, krzyczał, machał rękami, rozbijał przedmioty. Stoczył kilka walk na pięści. I bił żonę. Prowadził zbyt szybko i nieostrożnie samochód. W czasie czterdziestominutowej jazdy na południe, do Ventury, Colin siedział sztywny i wyprostowany, z zaciśniętymi dłońmi przy bokach, zbyt przestraszony, by patrzeć na drogę, ale także zbyt przestraszony, by nie patrzeć. Był zdumiony, gdy udało im się dotrzeć na przystań cało i zdrowo.

Łódź nazywała się *Erica Lynn*. Była ogromna, biała i dobrze utrzymana, ale unosił się nad nią nieprzyjemny zapach, który tylko Colin zdawał się wyczuwać - mieszanina oparów benzyny i smrodu zdechłych ryb.

Grupa składała się z Colina, ojca i jego dziewięciu przyjaciół. Wszyscy byli wysokimi, opalonymi, nieokrzesanymi mężczyznami, takimi jak Frank, o imionach w rodzaju Jack, Rex, Pete czy Mike.

Gdy *Erica Lynn* odbiła od brzegu, minęła port i ruszyła na pełne morze, na pokładzie,

obok kabiny pilota, podano coś w rodzaju śniadania. Mężczyźni mieli kilka termosów z krwawą Mary, dwa gatunki wędzonej ryby, pokrojoną zieloną cebulę, płaty melona i miękkie bułki.

Colin nic nie jadł, gdyż jak zwykle opanowały go lekkie mdłości, kiedy łódź odbiła od brzegu. Wiedział z doświadczenia, że po mniej więcej godzinie poczuje się lepiej, ale dopóki nie stał pewnie na nogach, nie chciał ryzykować posiłku. Żałował nawet, że zjadł rano dwa herbatniki i popił sokiem pomarańczowym, choć było to godzinę wcześniej.

W południe mężczyźni zabrali się za kiełbasę i piwo, Colin skubnął trochę bułki, wypił pepsi i starał się nikomu nie wchodzić w drogę.

Do tego czasu wszyscy zdążyli się już zorientować, że Charlie i Irv mylili się. Ryby nie brały.

Zaczęli dzień od pościgu za rybami, które żerują na płyciznach, zaledwie kilka mil od brzegu, ale woda zdawała się wymarła, jakby wszyscy morscy mieszkańcy najbliższej okolicy udali się na wakacje. O wpół do drugiej wypłynęli dalej, na głębokie wody, gdzie postanowili zapolować na grubego zwierza. Ale ryby nie miały ochoty uczestniczyć w tej zabawie.

Energia wędkarzy w połączeniu z nudą, frustracją i zbyt dużą ilością wypitego alkoholu stworzyła wybuchowy nastrój. Colin wyczuł nadchodzące kłopoty, zanim jeszcze mężczyźni zdecydowali się na swoje niebezpieczne, brutalne i krwawe zabawy. Łódź płynęła teraz zygzakiem - na północny zachód, południe, północny zachód, południe - zaczynając dziesięć mil od brzegu, potem stopniowo wypływając coraz dalej. Przeklinali ryby, których nie było, i upał, który był. Zdjęli koszule i spodnie, założyli kąpielówki; słońce padało na ich brązowe ciała. Opowiadali sobie nieprzyzwoite dowcipy i rozmawiali o kobietach, jakby dyskutowali o zaletach sportowych samochodów. Stopniowo zaczęli poświęcać więcej czasu na picie niż na kontrolowanie sprzętu.

Kobaltowoniebieski ocean był wyjątkowo spokojny. Zdawało się, że na jego powierzchni rozlano olej, który studził fale, obmywające leniwie dno *Eriki Lynn*. Silnik łodzi pracował monotonnie czuk - czuk - czuk - czuk. Ten natarczywy, jednostajny dźwięk był niemal wyczuwalny. Bezchmurne, letnie niebo, niebieskie jak gazowy płomień, wisało nieruchomo nad łodzią. Whiskey i piwo. Whiskey i piwo.

Colin często się uśmiechał, odzywał się, kiedy się do niego zwracano, ale przede wszystkim starał się być niewidoczny.

O piątej po południu pojawiły się rekiny i od tej chwili dzień zaczął zmieniać się w koszmar. Dziesięć minut wcześniej Irv wrzucił do wody całe wiadra cuchnącej, pokrojonej przynęty, starając się zwabić duże ryby. Robił to już z tuzin razy przedtem, zawsze bez skutku, ale wciąż wierzył w skuteczność swoich metod pomimo nienawistnych spojrzeń, jakimi obdarzali go rozczarowani wędkarze.

Charlie pierwszy dojrzał ze swego stanowiska na mostku ruch na powierzchni morza.

Krzyknął przez głośnik: rekiny na wysokości rufy, panowie. Około sto pięćdziesiąt jardów od nas!

Mężczyźni stłoczyli się przy relingu. Colin wcisnął się w wolne miejsce między Mike'em a ojcem.

- Sto jardów - powiedział Charlie.

Colin zmrużył oczy, wpatrując się intensywnie w falujący krajobraz, ale nie mógł dojrzeć rekinów. Na wodzie połyskiwały promienie słońca. Zdawało się, że powierzchnię morza zamieszkują miliony żywych stworzeń, ale większość z nich była złudzeniem - pasemkami światła, skaczącymi po falach.

- Osiemdziesiąt jardów!

Rozległ się głośny okrzyk, gdy kilku mężczyzn jednocześnie dostrzegło rekiny.



W chwilę później Colin zobaczył płetwę. Potem następną. Potem jeszcze dwie.

Przynajmniej z tuzin.

Nagle od strony jednego z bębnow dobiegł śpiew żyłki.

- Bierze! - wykrzyknął Pete.

Rex wskoczył na przyśrubowane do pokładu krzeselko przy wygiętej i drgającej wędce. Gdy Irv przypinał go do siedziska rzemieniami, Rex wysunął głębinowe wędzisko ze stalowej obręczy, która je przytrzymała.

- Cholera, rekiny to gówniana zdobycz - powiedział Jack lekceważąco.

- Nie dostaniesz za rekina żadnego trofeum, choćby był nie wiadomo jak wielki.

- Wiem - powiedział Rex. - I nie zamierzam jeść tego świństwa. Ale niech mnie diabli, jeśli pozwolę zwać temu sukinsynowi!

Coś połknęło przynętę przy drugim stanowisku i zaczęło odpływać, ciągnąc za sobą żyłkę. Mike wskoczył na krzeselko.

Z początku była to jedna z najbardziej podniecających rzeczy, jakie Colin kiedykolwiek widział. Choć nie był to jego pierwszy rejs, patrzył z podziwem na mężczyzn walczących ze zdobyczą. Na ich grubych ramionach wybrzuszały się mięśnie. Na szyjach i skroniach pokazały się żyły. Jęczeli, rzucali się do przodu i nieruchomieli, ciągnąc żyłkę i popuszczając, ciągnąc i popuszczając. Pot spływał po ich twarzach i Irv wycierał je białą szmatką, by pot nie zalał oczu.

- Napnij żyłkę.

- Nie pozwól, żeby wypluł hak!

- Pogoń go jeszcze.

- Zmęcz go.

- Już jest zmęczony.

- Uważaj, żeby się żyłki nie poplątały.
  - To już cały kwadrans.
  - Jezu, Mike, nawet staruszka poradziłaby sobie z nim do tego czasu.
  - Nawet moja matka by sobie z nim poradziła.
  - Twoja matka ma posturę Arnolda Schwarzeneggera.
  - Wynurza się!
  - Masz go, Rex!
  - Duży! Sześć stóp albo i więcej.
  - I jeszcze jeden. Tam!
  - Walczcie, chłopaki!
  - Co, do cholery, zrobimy z tymi rekinami?
  - Trzeba je będzie puścić.
  - Najpierw je zabijemy - powiedział ojciec Colina. - Rekin nie wypuszcza się żywego. Mam rację, Irv?
  - Słusznie, Frank.
  - Lepiej przynieś spluwę, Irv.
- Irv skinął głową i odszedł pośpiesznie.
- Jaką spluwę? - spytał Colin niespokojnie. Nie lubił broni palnej.
  - Trzymają na pokładzie rewolwer kalibru 0.38, właśnie na rekiny - wyjaśnił ojciec.
  - Jest załadowany. - Irv wrócił z bronią.
- Frank wziął rewolwer i stanął przy relingu.
- Colin chciał zatkać sobie uszy, ale bał się. Mężczyźni wyśmialiby go, a ojciec byłby zły.
- Nie widzę jeszcze żadnego - powiedział Frank.

Ciała obydwu wędkarzy lśniły od potu.

Wędki napięły się tak bardzo, że wydawało się cudem, iż jeszcze nie pękły - chroniła je tylko żelazna wola człowieka, który trzymał je w ręku.

Nagle Frank powiedział”

- Już go prawie masz, Rex. Widzę go.

- Cholerny sukinsyn - stwierdził Pete.

- Jest podobny do Pete'a - ktoś dodał.

- Wylazł na powierzchnię - powiedział Frank.

- Nie ma już dość żyłki, żeby zejść głębiej. Wygląda na załatwionego.

- Podciągnij go bliżej.

- O co ci, do cholery, chodzi? Chcesz, żebym mu kazał stanąć pod ścianą i zasłonił opaską oczy?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Colin zobaczył gładkiego, szarego, podobnego do torpedy potwora, oddalonego od rufy tylko o jakieś dwadzieścia czy trzydzieści stóp. Sunął tuż pod powierzchnią fal, jego ciemna płetwa sterczała w górze. Przez chwilę był nieruchomy; potem zaczął się rzucać, szarpać i wykręcać, próbując uwolnić się od haka.

- Jezu - powiedział Rex. - Wyrwie mi ramiona ze stawów.

Ryba, przyciągana coraz bliżej, przewalała się z boku na bok, rozpaczliwie wiała się na żyłce w nadziei uwolnienia się, ale osiągnęła tylko tyle, że hak wbił się w jej ciało jeszcze głębiej. Płaska, przerażająca głowa rekina uniosła się nad powierzchnię wody. Colin spojrzał przez chwilę w jasne nieludzkie oko, świecące ostrym, wewnętrznym światłem i, zdawało się, promieniujące nagą i dziką nienawiścią.

Frank Jacobs wypalił z rewolweru.

Colin zobaczył, jak na ciele rekina rozwiera się dziura kilka cali za głową. Krew i kawałki mięsa zbryzgały powierzchnię wody.

Wszyscy wiwatowali.

Frank wypalił ponownie. Drugi strzał trafił kilka cali dalej.

Rekin powinien już dawno być martwy, zdawał się jednak czerpać nowe życie z kul, które ginęły w jego ciele.

- Patrzcie, jaki silny!

- Nie smakuje mu ołów.

- Rąbnij go jeszcze raz, Frank.

- Prosto w łeb.

- Miedzy oczy, Frank!

- Zabij go, Frank!

- Zabij go!

Piana otaczająca rekina była niegdyś biała. Teraz miała różową barwę.

Frank nacisnął spust dwa razy. Duży rewolwer podskakiwał w jego dłoniach. Jeden pocisk chybił, ale drugi trafił rekina prosto w głowę.

Zwierzę wyskoczyło konwulsyjnie w górę, jak gdyby chciało rzucić się na pokład.

Mężczyźni na łodzi krzyknęli zdumieni - w końcu jednak runęło z powrotem do wody i znieruchomiało.

Chwilę później również Mike wyciągnął na powierzchnię swą zdobycz, która znajdowała się tuż przy łodzi, i Frank wypalił do niej. Tym razem strzał był doskonały i rekin padł od jednego pocisku.

Piana unosząca się na powierzchni morza była purpurowa.

Irv pospieszył z nożem do takielunku i przeciął obie żyłki.

Rex i Mike opadli na swoje krzeselka, odprężeni i obolali.

Colin przyglądał się martwej rybie, która unosiła się na falach brzuchem do góry.

Bez żadnego ostrzeżenia morze zaczęło się nagle gotować, jak gdyby pod jego powierzchnią rozpalono potężny płomień. Wszędzie było widać płetwy, sunące w kierunku rufy *Eriki Lynn*: tuzin... dwa tuziny... pięćdziesiąt rekinów, a może i więcej. Rzuciły się dziko na swych martwych towarzyszy, wyrywały i szarpały mięso swoich braci, wpadały na siebie, walczyły o każdy kęs, wyskakując w górę, nurkując i uderzając w bezmyślnym, barbarzyńskim tańcu nieposkromionej żarłoczności.

Frank opróżnił magazynek, strzelając w kłębiące się rekiny. Musiał trafić przynajmniej jednego, ponieważ zakotłowało się jeszcze bardziej niż przedtem.

Colin pragnął odwrócić wzrok od tej rzezi. Ale nie mógł. Coś kazało mu patrzeć.

- To kanibale - powiedział jeden z mężczyzn.

- Rekiny zeżrą wszystko.

- Są gorsze niż kozy.

- Wędkarze znajdowali najdziwniejsze przedmioty w żołądkach rekinów.

- Tak. Znam faceta, który znalazł zegarek.

- Słyszałem o kimś, kto znalazł obrączkę.

- Pudełko pełne przemoczonych cygar.

- Sztuczną szczękę.

- Rzadką monetę, wartą małą fortunę.

- Wszystkie niejadalne przedmioty, które ofiara miała przy sobie, pozostają we flakach rekina.

- A może byśmy tak wyciągnęli jednego z nich i zobaczyli, co ma w brzuchu?

- Słuchajcie, to może być ciekawe.

- Rozetniemy go od razu na pokładzie.
- Może też znajdziemy jakąś monetę i będziemy bogaci.
- Prawdopodobnie znajdziemy kupę świeżo zżartego rekina.
- Może tak, a może nie.
- Przynajmniej będzie coś do roboty.
- Racja. To był pieprzony dzień.
- Lepiej przygotuj jedną z tych wędek, Irv.

Znów zaczęli popijać whiskey i piwo. Colin patrzył.

Jack zajął miejsce i już dwie minuty później miał coś na haku. Zanim przyciągnął rekina, szaleństwo żarłoczości dobiegło końca - stado oddaliło się. Ale wtedy zaczęło się nowe. Na pokładzie *Eriki Lynn*.

Ojciec Colina załadował rewolwer. Wychylił się poza reling i wpakował w ogromną rybę dwa pociski.

- Prosto w łeb.
- Rozwaliłeś mu trochę ten jego pieprzony mózg.
- Rekin ma mózg wielkości grochu.
- Tak jak ty?
- Martwy ten bydlak?
- Ani drgnie.
- Podciągnij go.
- Zajrzyjmy do środka.
- Trzeba przecież znaleźć ten rzadki pieniądz.
- Albo sztuczną szczękę.

Whiskey i piwo.

Jack wyciągnął tyle żyłki, ile tylko zdołał. Martwy rekin objął się o burzę.

- Cholerstwo ma dziesięć stóp długości.
- Nikt nie da rady wyciągnąć tego maleństwa tym bosakiem.
- Mają na łodzi kołowrót.
- To będzie brudna robota.
- Warto spróbować, jeśli mamy znaleźć monetę.
- Prędzej znajdziemy monetę w twoim żołądku.

W pięciu, za pomocą dwóch lin, trzech bosaków i elektrycznego kołowrotu, zdołali podnieść z wody rekina i przeciągnąć nad relingiem rufowym, i gdy mieli go już położyć, stracili nad wszystkim kontrolę i rekin runął na pokład, gdzie niespodziewanie ożył, albo tylko na wpół ożył, ponieważ pociski zraniły go i ogłuszyły, ale nie zabiły, bestia rzucała się po pokładzie i wszyscy odskoczyli do tyłu, a Pete chwycił bosak, podniósł go i wpakował zakrzywiony hak w łeb rekina, obryzgując krwią kilku mężczyzn. Ogromne szczęki kłapały, próbując złapać Pete'a, i wtedy do akcji ruszył Mike z jeszcze jednym bosakiem i wepchnął jego długi koniec w rybie oko, a trzeci bosak wyładował w jednej z ran po kuli i wszędzie rozlała się krew - Colin pomyślał wtedy o zbrodni Kingmana - i wszyscy mężczyźni w kąpielówkach byli zbryzgani krwią, i ojciec Colina krzyczał, żeby wszyscy się cofnęli, i choć Irv nakazał mu nie strzelać w stronę pokładu, Frank wpakował jeszcze jeden pocisk w mózg rekina, który w końcu przestał się ruszać, i wszyscy byli bardzo podnieceni - mówili i krzyczeli jeden przez drugiego, i przykucnęli we krwi, i przewrócili rekina na bok, rozpruli mu brzuch nożem do patroszenia ryb, choć białe ciało stawiało przez chwilę opór, ale potem uległo i z długiej szczeliny wypłynęła cuchnąca, śluzowata masa wnętrzości i na wpół strawionych ryb, i gdy przyglądający się wiwatowali, ci, którzy klęczeli wokół rekina, zaczęli pełzać po tej obrzydliwej mazi, szukając mitycznej monety, obrączki, pudełka z cygarami

albo sztucznej szczęki, śmiejąc się i żartując, a nawet obrzucając się całymi garściami krwawego błota.

Nagle Colin znalazł w sobie dość siły, by ruszyć się z miejsca. Podążył niepewnym krokiem w stronę dzioba, pośliznął się we krwi, zachwiał i niemal upadł. Gdy już odszedł od szalejących mężczyzn tak daleko, jak tylko zdołał, wychylił się za reling i zwymiotował.

Zanim skończył, pojawił się ojciec. Barbarzyńca, dziki myśliwy - skóra umazana krwią, włosy zlepione krwią, oczy pełne szaleństwa. Spytał cicho, ale dobitnie

- Co się z tobą dzieje?

- Wymiotowałem - odpowiedział Colin słabym głosem. - Po prostu zwymiotowałem.

Już po wszystkim.

- Co się z tobą, u diabła, dzieje?

- Już dobrze.

- Chcesz mi narobić wstydu?

- He?

- I to na oczach moich przyjaciół.

Colin gapił się na niego, nie mogąc pojąć, o co chodzi.

- Śmieją się z ciebie.

- No...

- Kpią sobie z ciebie.

Colinowi kręciło się w głowie.

- Czasem się nad tobą zastanawiam - powiedział ojciec.

- Nie mogłem się powstrzymać. Porzygałem się. Nic nie mogłem na to poradzić.

- Czasem się zastanawiam, czy jesteś moim synem.

- Jestem. Oczywiście, że jestem.



Ojciec przysunął się jeszcze bliżej i przyglądał się Colinowi, jak gdyby chciał odnaleźć w jego rysach podobieństwo do starego przyjaciela czy też mleczarza. Miał cuchnący oddech.

Whiskey i piwo.

I krew.

- Czasem w ogóle nie zachowujesz się jak chłopak. Czasem sprawiaś wrażenie kogoś, kto nigdy nie będzie mężczyzną - stwierdził ojciec spokojnie, ale niecierpliwie.

- Staram się.

- Naprawdę?

- Naprawdę - powiedział Colin rozpaczliwie.

- Czasem zachowujesz się jak ciota.

- Przykro mi.

- Czasem zachowujesz się jak cholerny pedał.

- Nie chciałem zrobić ci wstydu.

- Chcesz wziąć się w garść?

- Tak.

- Możesz wziąć się w garść?

- Tak.

- Możesz?

- Pewnie, że mogę.

- Zrobisz to?

- Jasne.

- No to zrób to.

- Potrzebuję kilku minut...

- Teraz! Zrób to teraz!

- OK.

- Weź się w garść.

- OK. Jestem OK.

- Trzęsiesz się.

- Nie trzęcę się.

- Idziesz ze mną?

- Idę.

- Pokaż tym facetom, czyim jesteś synem.

- Jestem twoim synem.

- Musisz to udowodnić, junior.

- Udowodnię.

- Daj mi dowód.

- Czy mogę dostać piwo?

- Co?

- Myślę, że to by mi pomogło.

- W czym pomogło?

- Poczuję się lepiej.

- Chcesz piwa?

- Tak.

- No, wreszcie mówisz jak mężczyzna.

Frank Jacobs uśmiechnął się szeroko i potargał włosy syna zakrwawioną ręką.

Colin siedział na ławeczce pod ścianą przybudówki, sączył zimne piwo i zastanawiał się, co będzie dalej. Nie znalazłszy niczego ciekawego w żołądku rekina, mężczyźni wyrzucili martwą bestię za burtę. Unosiła się przez chwilę na wodzie, po czym nagle zatonała albo wciągnęła ją w głębię inna krwiożercza istota. Ociekający krwią mężczyźni ustawili się jeden obok drugiego wzdłuż relingu rufowego, a Irv polewał ich za pomocą węża morską wodą. Zdjęli kąpielówki, które trzeba było wyrzucić, i szorowali się kostkami żółtego mydła, cały czas żartując na temat swoich genitalii. Każdy dostał wiadro słodkiej wody do spłukania mydlin. Gdy zeszli na dół, żeby wysuszyć się i ubrać, Irv zmył pokład, usuwając ostatnie ślady krwi.

Później zabawiali się strzelaniem do rzutków. Charlie i Irv zawsze mieli na pokładzie dwie strzelby i wyrzutnię, na wypadek, gdyby nie brały ryby i trzeba było jakoś zabawić klientów. Mężczyźni pili whiskey i piwo, celowali do wirujących spodków i zupełnie zapomnieli o celu wyprawy.

Z początku Colin mrużył oczy przy każdym wystrzale, ale po chwili huk broni przestał robić na nim jakiegokolwiek wrażenie.

Jeszcze później, gdy już znudzili się strzelaniem do rzutków, zaczęli polować na nurkujące mewy w pobliżu łodzi. Ptaki nie reagowały na grzmot wystrzałów; nie przerwały polowania i wydawały niesamowite, przeraźliwe krzyki, najwidoczniej nieświadome tego, że są zabijane.

Ta nowa rzeź nie wywołała już w Colinie wstrętu i obrzydzenia, jak stałoby się jeszcze tak niedawno. Nie czuł absolutnie niczego, gdy patrzył na padające martwe ptaki. Dziwił go tylko brak jakiegokolwiek reakcji - przenikał go wewnętrzny chłód i doskonała obojętność.

Strzelby grzmiały i mewy rozrywały się na niebie. Tysiące maleńkich kropel krwi rozpryskiwało się w złotym powietrzu jak paciorki roztopionej miedzi.

O wpół do ósmej pożegnali się z Irvem i Charliem i udali się do portowej knajpy na obiad składający się ze steków i krabów. Colin był wygłodniały. Łapczywie pochłonał zawartość swojego talerza, nawet przez chwilę nie myśląc o wypatroszonym rekinie czy rozrywanych na strzepy mewach.

Było już dobrze po zachodzie słońca, gdy ruszyli z powrotem do domu. Frank jak zwykle jechał za szybko, nie mając względów dla innych kierowców.

Gdy od Santa Leona dzieliło ich dziesięć minut jazdy, Frank Jacobs przeszedł w rozmowie od wydarzeń dnia do bardziej osobistych spraw.

- Jesteś szczęśliwy z matką?

To pytanie było dla Colina sygnałem, by natężyć uwagę. Nie chciał wywoływać awantury. Wzruszył ramionami i odpowiedział”

- Tak mi się wydaje.

- To nie odpowiedź.

- Chciałem powiedzieć, że chyba jestem szczęśliwy.

- Nie wiesz na pewno?

- Jestem całkiem szczęśliwy.

- Opiekuje się tobą?

- Pewnie.

- Dobrze się odżywasz?

- Tak.

- Wciąż jesteś chudy.

- Jem naprawdę dobrze.

- Nie jest najlepszą kucharką.
- Radzi sobie całkiem nieźle.
- Daje ci dość pieniędzy na twoje wydatki?
- O tak.
- Mógłbym ci coś przysyłać co tydzień.
- Nie potrzebuję.
- A co byś powiedział, gdybym dawał ci dziesięć dolarów tygodniowo?
- Nie musisz. Mam mnóstwo pieniędzy. Zacząłbym je trwonić.
- Podoba ci się w Santa Leona?
- Jest OK.
- Tylko OK?
- Jest całkiem miło.
- Brakuje ci przyjaciół z Westwood?
- Nie miałem tam żadnych przyjaciół.
- Oczywiście, że miałeś. Widziałem ich kiedyś. Ten rudowłosy chłopak i...
- To byli tylko kumple ze szkoły. Znajomi.
- Nie musisz przede mną udawać.
- Nie udaję.
- Wiem, że ci ich brakuje.
- Ależ skąd.

Zjechali na lewo, wyminęli ciężarówkę, która już zdążyła przekroczyć dozwoloną prędkość, i wrócili na prawy pas o wiele za szybko.

Kierowca ciężarówki zatrąbił gniewnie.

- Co go tak wnerwia? Zostawiłem mu mnóstwo miejsca, nie?

Colin nie odezwał się.

Frank przestał wciskać pedał gazu. Prędkość spadła z sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę do pięćdziesięciu pięciu.

Ciężarówka znów zatrąbiła.

Frank walił w klakson cadillaca przez co najmniej minutę, żeby pokazać temu drugiemu, że nie dał się zastraszyć.

Colin zerknął za siebie przestraszony. Dużą ciężarówkę dzieliło od ich zderzaka nie więcej niż cztery stopy. Mrugała światłami.

- Sukinsyn - powiedział Frank. - Za kogo on się uważa, do cholery? - Zwolnił do czterdziestu mil na godzinę.

Ciężarówka zjechała na drugi pas.

Frank błyskawicznie skierował cadillaca w lewo, przed maskę ciężarówki, blokując jej drogę i zmuszając do jazdy z prędkością czterdziestu mil na godzinę.

- Ha! Ale się sukinsyn wnerwi! Tyłek go będzie świerzbił, co?

Kierowca ciężarówki ponownie zatrąbił.

Colin oblewał się potem.

Ojciec wychylił się do przodu, zaciśnięte na kierownicy dłonie przypominały szpony.

Obnażone zęby i szeroko otwarte oczy nadawały jego twarzy niesamowity wygląd. Oddychał ciężko, prawie dyszał.

Ciężarówka przesunęła się na prawy pas.

Frank szybko zjechał jej drogę. W końcu kierowca ciężarówki uznał, że ma do czynienia albo z pijanym, albo z wariatem, i że najlepszą taktyką będzie rozwaga. Zwolnił do około trzydziestu mil na godzinę i cały czas trzymał się z tyłu.

- Dupek dostał nauczkę. Co on sobie wyobrażał, że ta cholerna droga należy do niego?

Odniósłszy zwycięstwo, Frank znów rozpędził cadillaca do szybkości

siedemdziesięciu mil na godzinę i popędzili w noc. Colin zamknął oczy. Jechali w milczeniu przez parę mil, po czym Frank odezwał się”

- Pomimo tego, że nie miałeś tam przyjaciół, to czy chciałbyś wrócić do Westwood i mieszkać ze mną?

- To znaczy, cały czas?

- Dlaczego nie?

- No... myślę, że byłoby nieźle - powiedział Colin, ale tylko dlatego, iż wiedział, że to niemożliwe.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Colin spojrzał na niego przerażony.

- Ale sąd powierzył opiekę nade mną mamie. Ty masz prawo do wizyt.

- Może udałoby się to zmienić.

- Jak?

- Musielibyśmy zrobić parę rzeczy, z tego kilka niezbyt przyjemnych.

- Na przykład?

- Po pierwsze, musiałbyś zeznać przed sądem, że nie jesteś z matką szczęśliwy.

- Bez tego się nie obejdzie?

- Jestem pewien, że nie.

- Chyba masz rację - powiedział Colin wymijająco. Trochę się odprężył, ponieważ nie miał najmniejszego zamiaru mówić czegoś takiego przed sądem.

- Masz dość ikry, żeby to zrobić, prawda?

- Pewnie - powiedział Colin. By poznać strategię przeciwnika spytał”

- Co jeszcze musielibyśmy zrobić?

- No cóż, musielibyśmy udowodnić, że nie jest dobrą matką.
- Ale przecież tak nie jest.
- No, nie wiem. Wydaje mi się, że moglibyśmy oskarżyć ją o niemoralność.
- Że co?
- Ten cały artystyczny tłumek - powiedział ponuro Frank. - Ci ludzie, z którymi się zadaje.
- Co z nimi?
- Oni wyznają inne wartości niż większość ludzi. Przechwalają się tym.
- Nie rozumiem.
- No... pochrzanione poglądy polityczne, ateizm, narkotyki... orgie. Pieprzą się na okrągło.
- Myślisz, że mama...
- Naprawdę trudno mi o tym mówić.
- To nie mów.
- Nie mogę wykluczyć, właśnie ze względu na ciebie, że matka bierze w tym wszystkim udział.
- Ona nie... prowadzi takiego życia - powiedział Colin, choć nie był o tym do końca przekonany.
- Musisz uświadomić sobie przykre fakty, junior.
- Ona tego nie robi.
- Jest tylko człowiekiem. Jej postępowanie nieraz mogłoby cię zadziwić. Święta to ona nie jest.
- Nie mogę uwierzyć, że rozmawiamy w ten sposób.
- Warto się nad tym wszystkim zastanowić, warto przyjrzeć się wszystkiemu bliżej,



jeśli dzięki temu mógłbyś do mnie wrócić. Chłopak, kiedy dorasta, potrzebuje ojca.

Potrzebuje prawdziwego mężczyzny, który byłby dla niego wzorem.

- Ale jak, u licha, udowodnisz, że matka... robiła takie rzeczy?

- Prywatni detektywi.

- Naprawdę nająłbyś bandę tajniaków, żeby węszyli za nią, gdziekolwiek by się ruszyła?

- Nie chcę tego. Ale to może być konieczne. To byłby najszybszy i najlepszy sposób, żeby się czegoś dowiedzieć.

- Nie rób tego.

- Chodzi mi tylko o ciebie.

- Więc daj sobie z tym spokój.

- Chcę, żebyś był szczęśliwy.

- Jestem szczęśliwy.

- Byłbyś szczęśliwszy w Westwood.

- Nie byłbym, gdybyś nasłał na nią stado hien, tato.

Ojciec skrzywił się.

- Hien? Kto mówi o hienach? Słuchaj, ci detektywi to zawodowcy. Nie są bandytami.

Nie zrobią jej krzywdy. Nawet się nie zorientuje, że jest śledzona.

- Proszę, nie rób tego.

Jedyną odpowiedzią ojca było stwierdzenie: mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

Colin myślał o powrocie do Westwood, o życiu przy boku ojca, i wydało mu się, że śni koszmar.

Roy zjawił się w niedzielę rano, o jedenastej, trzymając w ręku kąpielówki zawinięte w ręcznik.

- Gdzie twoja matka?

- W galerii.

- W niedzielę?

- Pracuje codziennie.

- Myślałem, że może uda mi się zobaczyć ją w bikini.

- Obawiam się, że nie.

Dom stanowił, jak to nazywają ludzie od handlu nieruchomościami, własność dzierżawną wyższej klasy. Mieścił, między innymi, salon z ogromnym kominkiem, znajdujący się w suterenie, trzy duże sypialnie, kuchnię, która zadowoliłaby każdego kulinarnego pasjonata, i basen o długości czterdziestu stóp.

Od czasu przeprowadzki korzystali z salonu przez niecałe dwie godziny w tygodniu, ponieważ nikt ich nie odwiedzał; nie miewali też gości, którzy zostawaliby na noc, nie było więc powodu, by używać dodatkowej łazienki, a jeśli chodzi o całe to bajeczne wyposażenie kuchni, to potrzebowali tylko lodówki i dwóch palników na kuchence. Jedynie basen wart był czynszu.

Colin i Roy urządzili sobie zawody pływackie, bawili się dętkami i dmuchanymi materacami, grali w wyławianie monet z dna, chlapali się, pryskali i wreszcie wypełzli z basenu na betonowe obrzeże, by posmażyć się trochę na słońcu. Colin po raz pierwszy kąpał się z Royem i po raz pierwszy widział go bez koszuli i po raz pierwszy zobaczył okropne blizny szpecące jego plecy - biegły na ukos od prawego ramienia chłopca do jego lewego biodra. Colin próbował je policzyć - sześć, siedem, osiem, może nawet dziesięć. Trudno było

powiedzieć, ile ich naprawdę było, ponieważ łączyły się w kilku miejscach. Tam gdzie między szramami zachowały się fragmenty zdrowej skóry, widać było ładną opaleniznę, ale wypukłe blizny były odporne na słońce - miejscami blade i gładkie, a miejscami zaczerwienione i pomarszczone.

- Co ci się stało? - spytał Colin.

- He?

- Co się stało z twoimi plecami?

- Nic.

- A te blizny?

- To nic.

- Przecież się z tym nie urodziłeś.

- To był tylko wypadek.

- Jaki wypadek?

- To było dawno temu.

- Kraksa samochodowa czy coś podobnego?

- Nie chcę o tym mówić.

- Dlaczego nie?

Roy spojrzał na niego ze złością.

- Powiedziałem, że nie mam ochoty na pieprzoną rozmowę o pieprzonych bliznach!

- OK, jasne. Nie ma sprawy.

- I nie muszę się przed tobą tłumaczyć dlaczego.

- Nie chciałem być wścibski.

- Ale byłeś.

- Przepraszam.

- No dobra. - Roy westchnął. - Ja też.

Wstał i odszedł na drugi koniec basenu. Stał tam przez chwilę, odwrócony do Colina plecami, wpatrując się w ziemię.

Czując się głupio i niezręcznie, Colin szybko wśliznął się do basenu, jakby chciał ukryć się w chłodnej wodzie. Zaczął gwałtownie pływać, próbując rozładować nagły przyływ energii.

Pięć minut później, gdy Colin znów wyszedł z basenu, Roy był w tym samym miejscu, ale teraz klęczał. Grzebał w trawie.

- Co znalazłeś? - spytał Colin.

Roy był tak zajęty tym, co robił, że nie usłyszał pytania. Colin zbliżył się i przykucnął obok Roya.

- Mrówki - powiedział Roy.

Przy krawędzi betonu wznosił się kopczyk spulchnionej ziemi, wielkości filiżanki.

Małeńkie czerwone mrówki dreptały po wzgórku i wokół niego.

Uśmiechając się szeroko, Roy wgniatał owady w beton. Tuzin. Dwa tuziny. Z

kopczyka wybiegły natychmiast inne mrówki i pędziły do cienia, który rzucał Roy, jakby nagle sobie uświadomiły, że ich przeznaczeniem jest nie bezmyślna praca w mrowisku, ale śmierć na ofiarnym ołtarzu, z rąk monstrualnego boga, milion razy większego od nich.

Roy przerwał swe dzieło i popatrzył na wilgotne, rdzawe resztki, które plamiły mu palce.

- Żadnych kości - powiedział. - Nic z nich nie pozostaje, tylko mała kropelka soku, ponieważ nie mają w ogóle kości.

Colin przyglądał się.

Gdy Roy dokonał już swego morderczego dzieła, chłopcy postanowili zagrać w waterpolo niebieskozieloną piłką plażową. Roy wygrał.

Zanim wybiła trzecia, byli już zmęczeni basenem. Przebrali się i usiedli w kuchni, racząc się herbatnikami i lemoniadą.

Colin opróżnił swoją szklankę, zgryzł kawałek lodu i spytał”

- Ufasz mi?

- Pewnie.

- Przeszedłem próbę zwycięsko?

- Jesteśmy braćmi krwi, czyż nie?

- Więc mi go zdradź.

- Co ci mam zdradzić?

- No wiesz. Ten wielki sekret.

- Już ci go zdradziłem - powiedział Roy.

- Naprawdę?

- W piątek wieczorem, po wyjściu z salonu gier, zanim pojechaliśmy do Fairmont obejrzeć to porno.

Colin potrząsnął głową.

- Jeśli coś wtedy mówiłeś, to ja nie słyszałem.

- Słyszałeś, ale nie chciałeś słyszeć.

- Co to za mętna gadka?

Roy wzruszył ramionami. Potrząsnął szklanką, w której grzechotał lód.

- Powiedz jeszcze raz - poprosił Colin. - Tym razem chcę usłyszeć.

- Zabijam ludzi.

- Rany. To jest naprawdę ten twój wielki sekret?
- Dla mnie to całkiem niezły sekret.
- Ale nieprawdziwy.
- Czy jestem twoim bratem krwi?
- Tak.
- Czy bracia krwi okłamują się nawzajem?
- Raczej nie - przyznał Colin. - No dobra. Jeśli zabijałeś ludzi, to musieli nosić jakieś imiona. Jak się nazywali?
- Stephen Rose i Phil Pacino.
- Kim byli?
- Zwykłymi chłopakami.
- Twoimi przyjaciółmi?
- Mogliby nimi być, gdyby tylko tego zapragnęli.
- Dlaczego ich zabiłeś?
- Nie chcieli zostać moimi braćmi krwi. Po tym, jak mi odmówili, nie mogłem już im ufać.
- To znaczy, że mnie też byś zabił, gdybym nie chciał być twoim bratem krwi?
- Może.
- Bzdura.
- Myśl sobie, co chcesz.
- Gdzie ich zabiłeś?
- Tu, w Santa Leona.
- Kiedy?
- Phila załatwiłem zeszłego lata, pierwszego sierpnia, nazajutrz po jego urodzinach, a

Steve'a Rose'a wykończyłem rok wcześniej, też latem.

- Jak?

Roy uśmiechnął się sennie i zmrużył oczy, jakby przeżywał to jeszcze raz w myślach.

- Steve'a zepchnąłem z urwiska morskiego przy Sandman's Cove. Roztrzaskał się o skały, które były na dole. Szkoda, że nie widziałeś, jak się o nie obijał. Kiedy go znaleźli następnego dnia, był tak zmasakrowany, że nawet jego stary nie mógł go poznać.

- A ten drugi - ten Phil Pacino?

- Byliśmy u niego w domu i składaliśmy model samolotu - powiedział Roy. - Jego rodziców nie było. Nie miał żadnego rodzeństwa. Nikt nie wiedział, że do niego poszedłem. Miałem znakomitą okazję, więc spryskałem mu głowę płynem do zapalniczek i podpaliłem go.

- Rany.

- Jak tylko się upewniłem, że jest martwy, wyniosłem się stamtąd. Cały dom się spalił. To był prawdziwy trzask. Szef straży pożarnej ustalił potem, że Phil sam rozniecił ogień, bawiąc się zapalkami.

- Ale nawijasz - powiedział Colin.

Roy otworzył oczy, ale się nie odezwał.

Colin zaniósł talerze i szklanki do zlewu, umył i postawił na suszarce.

- Wiesz, Roy, masz taką wyobraźnię, że powinieneś pisać horrory, gdy już dorośniesz.

Zrobiłbyś na tym majątek.

Roy nie ruszył się, żeby pomóc przyjacielowi w zmywaniu.

- Wciąż więc uważasz, że prowadzę z tobą jakąś grę?

- No cóż, wymyśliłeś dwa nazwiska...

- Steve Rose i Phil Pacino żyli naprawdę. Możesz to dość łatwo sprawdzić. Idź do

biblioteki i przejrzyj stare numery *News Register*. Tam sobie wszystko przeczytasz.

- Może to zrobię.

- Może powinieneś.

- Ale nawet gdyby ten Steve Rose naprawdę spadł z urwiska w Sandman's Cove, a Phil Pacino spłonął we własnym domu, to i tak nie jest to żaden dowód. Absolutnie żaden. To mogły być najzwyczajniejsze wypadki.

- Więc po co miałbym obarczać się za nie odpowiedzialnością?

- Żeby ta twoja opowieść wyglądała jeszcze bardziej realistycznie. Żebym w nią uwierzył. Żebym stał się ofiarą jakiegoś żartu.

- Potrafisz być uparty.

- Tak jak ty.

- Kiedy wreszcie spojrzysz prawdzie w oczy?

- Już ją znam - powiedział Colin. Skończył myć naczynia i wytarł ręce w ścierkę w czerwono - białą kratę.

Roy wstał i podszedł do okna. Wpatrywał się w basen, którego woda migotała słonecznym blaskiem.

- Sądzę, że mogę cię przekonać tylko w jeden sposób - muszę kogoś zabić.

- No pewnie - powiedział Colin. - Dlaczego by nie.

- Myślisz, że tego nie zrobię?

- Wiem, że nie zrobisz.

Roy odwrócił się. Światło sączące się przez szybę oświetlało jedną stronę jego twarzy, drugą pozostawiając w cieniu, i sprawiało, że jedno jego oko wydawało się jeszcze bardziej niebieskie niż drugie.

- Namawiasz mnie do zabicia kogoś?



- Owszem.
- Więc jeśli to zrobię - powiedział Roy - połowa odpowiedzialności spadnie na ciebie.
- W porządku.
- Tak po prostu?
- Tak po prostu.
- Nie martwi cię to, że możesz skończyć w więzieniu? - spytał Roy.
- Nie. Ponieważ tego nie zrobisz.
- Czy mam się zająć kimś konkretnym, kimś, komu życzysz śmierci?

Colin uśmiechnął się szeroko, ponieważ nabrał już pewności, że to tylko gra.

- Nikim szczególnym. Kim tylko chcesz. A może byś wybrał nazwisko z książki telefonicznej?

Roy ponownie odwrócił się w stronę okna.

Colin oparł się o szafkę i czekał.

Po chwili Roy spojrzął na zegarek i powiedział”

- Muszę wracać do domu. Moi rodzice idą na obiad do wujka Marlona. To najzwyklejszy dupek. Ale muszę z nimi iść.
- Zaraz, zaraz - powiedział Colin. - Nie uda ci się zmienić tak szybko tematu. Nie możesz się od tego wykręcić. Mówmy o tym, kogo masz zabić.
- Nie miałem zamiaru się wykręcać.
- No więc?
- Muszę o tym pomyśleć przez jakiś czas.
- Pewnie - stwierdził Colin. - Przez pięćdziesiąt najbliższych lat.
- Nie. Tylko do jutra. Powiem ci, kto to będzie.
- Przypomnę ci.

Roy przytaknął z powagą.

- Kiedy już zacznę działać, nie zdołasz mnie zatrzymać.

Weezy Jacobs była umówiona na bardzo ważną kolację w niedzielę wieczorem. Dała Colinowi pieniądze, żeby zjadł coś u Charly'ego, a przy okazji uraczyła go krótkim wykładem o konieczności odpowiedniego odżywiania się - nie tylko tłustym hamburgerem i frytkami.

Po drodze wstąpił do Rhineharta, dużego domu towarowego, oddalonego od restauracji o jedną przecznicę. Był tu duży dział z paperbackami. Colin przeglądał tytuły książek w stojakach, szukając ciekawych pozycji sf i powieści o zjawiskach nadprzyrodzonych.

Po chwili zorientował się, że do stoiska podeszła ładna dziewczyna, mniej więcej w jego wieku, i stanęła kilka stóp dalej. Nad stojakami znajdowały się jeszcze dwie półki, na których książki ustawiono rzędem, a nie jedna obok drugiej, żeby było widać okładki.

Dziewczyna oglądała je, z głową przechyloną na bok, by móc odczytać z grzbietów tytuły.

Była ubrana w szorty i Colin przez chwilę wpatrywał się w jej ładne, szczupłe nogi. Włosy dziewczyny były złote.

Uświadomiła sobie, że patrzy na nią, podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Cześć.

On także się uśmiechnął.

- Cześć.

- Jesteś jednym z przyjaciół Roya Bordena, prawda?

- Skąd wiesz?

Znów przekrzywiła głowę, jak gdyby Colin był jeszcze jedną książką na półce, a ona odczytywała tytuł.

- Wy dwaj przypominacie bliźnięta syjamskie. Rzadko kiedy widuje się was osobno.

- Teraz jestem sam - powiedział.
- Mieszkasz tu od niedawna.
- Tak. Od pierwszego czerwca.
- Jak się nazywasz?
- Colin Jacobs. A ty?
- Heather.
- Ładnie.
- Dziękuję.
- Heather jak?
- Obiecuj, że nie będziesz się śmiał.
- He?
- Przrzeknij, że nie będziesz śmiał się z mojego nazwiska.
- A dlaczego miałbym się śmiać?
- Bo nazywam się Heather Lipshitz.
- Nie wierzę.
- Owszem. Brzmiałoby okropnie, gdybym nazywała się Zelda Lipshitz. Albo Sadie Lipshitz. Ale Heather brzmi jeszcze gorzej, bo imię i nazwisko nie pasują do siebie, a imię jeszcze bardziej podkreśla to straszne nazwisko. Ale ty się nie śmiałeś.
- Oczywiście, że nie.
- Większość dzieciaków wybucha śmiechem.
- Bo większość dzieciaków jest głupia.
- Lubisz czytać? - spytała Heather.
- Tak.
- Co czytasz?

- Sf. A ty?
- Prawie wszystko. Czytałam trochę sf. Obcy na obcej ziemi.
- To wspaniała książka.
- Oglądałeś *Gwiezdne wojny*? - spytała.
- Cztery razy. A *Bliskie spotkania sześc.*
- Widziałeś *Obcego*?
- Owszem. Podobają ci się takie filmy?
- Pewnie. Jak w TV leci jakiś stary film z Christopherem Lee, nie można mnie odciągnąć od telewizora - powiedziała.
- Naprawdę lubisz horrory? - Był zaskoczony.
- Im straszniejsze, tym lepsze. - Popatrzyła na zegarek. - Muszę już wracać do domu na obiad. Miło się z tobą rozmawiało, Colin.
- Gdy zwróciła się w stronę wyjścia, powiedział”
- Ee... poczekaj jeszcze chwilę. - Znów na niego spojrzała i Colin zaczął przestępować niezgrabnie z nogi na nogę. - Ee... u Baroneta będzie w tym tygodniu nowy horror.
- Widziałam zwiastun.
- Podobał ci się?
- Może być - powiedziała.
- Czy chciałabyś... no... to znaczy... to znaczy, czy myślisz, że...
- Chciałabym. - Uśmiechnęła się.
- Naprawdę?
- Pewnie.
- No więc... mam do ciebie zadzwonić, czy skontaktujemy się jakoś inaczej?
- Zadzwoń.

- Jaki masz numer?

- Jest w książce. Możesz mi wierzyć lub nie, ale jesteśmy w mieście jedyną rodziną o nazwisku Lipshitz.

- Zadzwoń jutro. - Uśmiechnął się.

- OK.

- Jeśli ci to odpowiada.

- Jak najbardziej.

- Na razie.

- Do widzenia, Colin.

Patrzył, jak wychodzi ze sklepu. Serce waliło mu jak oszalałe.

Rany.

Działo się z nim coś dziwnego. Nie miał wątpliwości. Nigdy przedtem nie umiał rozmawiać w ten sposób z dziewczyną - albo rozmawiać z dziewczyną taką jak ta. Zazwyczaj już na samym początku nie mógł wykrztusić ani słowa. Ale nie tym razem. Poszło mu tak gładko. Na Boga, umówił się z nią nawet na randkę! Pierwszą randkę w życiu. Naprawdę coś się z nim działo, coś bardzo dziwnego.

Ale co?

Dlaczego?

Kilka godzin później leżał już w łóżku i słuchał jednej ze stacji radiowych w Los Angeles. Rozmyślał o tych wszystkich doniosłych zmianach w swoim życiu. Miał tak wspaniałego przyjaciela, dostąpił zaszczytu bycia menedżerem drużyny i właśnie umówił się z tak ładną i miłą dziewczyną jak Heather - czego więcej mógł pragnąć?

Nigdy przedtem nie był tak zadowolony. Najważniejszą rolę w jego życiu odgrywał oczywiście Roy. Bez jego pomocy nigdy nie zainteresowałby się nim trener Malinoff i nigdy

nie zostałyby menedżerem reprezentacji juniorów. I bez zbawczego wpływu Roya z pewnością nigdy nie zdobyłby się na odwagę, by zaproponować Heather randkę. Co więcej - gdyby nie był jego przyjacielem, nawet by się do niego nie odezwała. Czyż nie była to pierwsza rzecz, jaką mu powiedziała? „Jesteś przyjacielem Roya Bordena, prawda?” Gdyby nie był jego przyjacielem, nawet by na niego nie spojrzała.

Ale spojrzała, i to dwa razy.

No i zgodziła się na randkę.

Życie było piękne.

Pomyślał o dziwnych opowieściach Roya. Mordowany kot w klatce. Chłopiec obłany płynem do zapalniczki i podpalony. Wiedział, że to tylko zmyślane historyjki. Testy. Roy sprawdzał go z jakiegoś powodu. Wyrzucił z myśli kota i spalonego chłopca. Nie chciał, by te głupie historie zniszczyły jego dobry nastrój.

Zamknął oczy i wyobraził sobie, że tańczy z Heather w wielkiej sali balowej. On był ubrany we frak. Ona miała czerwoną suknię wieczorową. Nad ich głowami płonął kryształowy żyrandol. Tak dobrze im się tańczyło, że zdawali się płynąć nad ziemią.

Było wczesne poniedziałkowe popołudnie i Colin siedział przy stole w swojej sypialni, sklejjąc plastikowy model, przedstawiający Lona Chaneya w roli upiora nawiedzającego operę. Kiedy zadzwonił telefon, musiał pobiec do pokoju matki; u siebie nie miał aparatu.

Był to Roy.

- Colin, musisz natychmiast przyjść.

- Dokąd?

- Do mnie.

Colin spojrział na zegarek elektroniczny, stojący na nocnym stoliku: pięć po pierwszej.

- Mieliśmy spotkać się o drugiej.

- Wiem. Ale musisz przyjść już teraz.

- Po co?

- Moich starych nie ma w domu, a jest tu coś, co koniecznie musisz zobaczyć. Nie mogę ci powiedzieć przez telefon. Musisz przyjść teraz, od razu, jak najszybciej. Pospiesz się!

Roy odłożył słuchawkę.

Dalszy ciąg gry - pomyślał Colin.

Dziesięć minut później dzwonił do drzwi Bordenów.

Otworzył Roy. Był zarumieniony i podniecony.

- Co się dzieje? - spytał Colin.

Roy pociągnął go do środka i zatrzaskał drzwi. Stali w holu. Za nimi znajdował się nieskazitelnie czysty salon. Sączące się przez szmaragdowozielone zasłony światło sprawiało, że Colin czuł się, jakby nurkował głęboko pod powierzchnią morza.

- Chcę, żebyś rzucił okiem na Sarę.



- Na kogo?

- Na Sarę. Mówiłem ci o niej w piątek wieczorem, zanim się rozstaliśmy. Ta dziewczyna jest tak dobra, że mogłaby występować w pornosach, i myślę, że znalazłby się sposób, by ją wypieprzyć.

Colin otworzył oczy ze zdumienia.

- Jest tutaj?

- No... niezupełnie. Chodź na górę. Zobaczysz.

Colin nigdy dotąd nie był w sypialni Roya i jej widok wprowił go w zdumienie. Nie przypominała pokoju nastolatka; właściwie nie przypominała miejsca, w którym ktokolwiek naprawdę mieszka, dziecko czy dorosły. Dywan wyglądał tak, jakby go przed chwilą odkurzano. Ciemne sosnowe meble były wypolerowane do połysku. Colin nie mógł dostrzec ani jednego wgniecenia czy rysy, za to widział swoje odbicie jak w lustrze. Ani śladu kurzu. Ani śladu brudu. Żadnych odcisków palców przy kontakcie. Łóżko było starannie pościelone, pościel dokładnie wyrównana, a rogi pozawijane - jak w koszarach. Na półce ustawiono w równym rzędzie duży czerwony słownik i rząd identycznych tomów encyklopedii. Ale nic więcej. Absolutnie nic. Nie było ozdób, modeli samolotów, komiksów, sprzętu sportowego, niczego, co wskazywałoby, że Roy ma jakieś hobby czy choćby zwykłe, ludzkie zainteresowania. Było oczywiste, że pokój odzwierciedla osobowość pani Borden, a nie jej syna.

Najbardziej zdumiewały puste, nieskazitelnie białe ściany. Nie było tu obrazów. Nie było fotografii ani plakatów. W holu na dole, a także w salonie i na ścianach wzdłuż schodów wisiało parę obrazów olejnych, jakaś akwarela i kilka tanich kopii, ale tutaj wszystko było nagie i białe. Colin miał wrażenie, że wszedł do celi mnicha.

Roy poprowadził go do okna.

W odległości nie większej niż pięćdziesiąt stóp, na tyłach sąsiedniego domu, opalała się kobieta. Miała na sobie białe bikini i leżała na czerwonym prześcieradle kąpielowym, rozłożonym na składanym łóżku. Oczy przysłoniła maleńkimi białymi poduszczkami, chroniącymi przed słońcem.

- To naprawdę wspaniała dupa - powiedział Roy.

Ręce kobiety spoczywały wzdłuż boków, dłońmi do góry, ułożone jakby w błagalnym geście. Była opalona, szczupła i zgrabna.

- To jest Sara? - spytał Colin.

- Sara Callahan. Mieszka obok. - Roy podniósł lornetkę, która leżała na podłodze pod oknem. - Masz. Przyjrzyj się bliżej.

- A jak mnie zauważy?

- Nie zauważy.

Colin podniósł lornetkę do oczu, nastawił ostrość i odszukał kobietę. Gdyby naprawdę była tak blisko, jak ujrzał ją przez lornetkę, to poczułaby jego oddech na skórze.

Sara była piękna. Nawet gdy leżała bez ruchu, jej ciało promieniowało zmysłową obietnicą. Miała pełne, dojrzałe usta; raz nawet je oblizła, gdy na nią patrzył.

Colina ogarnęło szczególne poczucie siły. W myślach dotykał Sarę Callahan, lecz ona o tym nie mogła wiedzieć. Lornetka stała się jego ustami, językiem i palcami, które badały tę kobietę i poznawały jej smak, badały ją, podstępnie naruszając nietykalność jej ciała.

Doświadczył łagodnej synestezji: zdawało mu się, że w jakiś magiczny sposób jego oczy, oprócz zdolności widzenia, mają także zdolność czucia. Oczami wąchał jej zdrowe, gęste i płowe włosy. Oczami wyczuwał nierówność jej skóry, giętkość ciała, miękką krągłość piersi i wilgotne ciepło wonnego zakątka, w którym zbiegały się uda. Oczami całował jej wklęsły brzuch i smakował kropelki potu, które otaczały ją niby drogocenny pas klejnotów. Czuł

przez chwilę, że mógłby zrobić z nią to, czego pragnie cieszyć się całkowitą bezkarnością. Był niewidzialny.

- Chcesz wleźć w jej majtki? - spytał zniecierpliwiony Roy.

W końcu Colin opuścił lornetkę.

- Miałbyś na nią ochotę? - spytał Roy.

- A kto by nie miał?

- Możemy się z nią zabawić.

- Żyjesz w świecie fantazji.

- Jej mąż jest cały dzień w pracy.

- Więc?

- Jest prawie sama.

- Co znaczy - prawie?

- Ma pięcioletniego dzieciaka.

- Więc nie jest sama.

- Ten dzieciak nie jest żadnym problemem.

Colin wiedział, że Roy znów prowadzi swoją grę, ale tym razem postanowił wziąć w niej udział.

- Jaki masz plan?

- Pójdziemy tam i zapukamy do drzwi. Zna mnie. Otworzy.

- A potem?

- We dwójkę damy sobie z nią radę. Wepchniemy ją do mieszkania i przewrócimy na podłogę. Przyłożę jej nóż do gardła.

- Będzie krzyczeć.

- Nie z nożem na gardle.

- Pomyśli, że blefujesz.
- W takim razie - powiedział Roy - zranię ją lekko, żeby wiedziała, że to nie żarty.
- A co z dzieciakiem?
- Ja będę pilnował Sary, ty będziesz mógł w tym czasie złapać szczeniaka i związać.
- Czym go związę?
- Weźmiemy ze sobą sznur do bielizny.
- A potem... co się stanie?

Roy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wtedy ją rozbierzemy, przywiązany do łóżka i zgwałcimy.
- I myślisz, że nikomu nie powie, co zrobiliśmy?
- Kiedy z nią skończymy, to trzeba ją będzie oczywiście zabić.
- I dzieciaka też? - spytał Colin.
- To wredny, mały szczeniak. Jego przede wszystkim chciałbym sprzątnąć.
- To zły pomysł. Zapomnij o tym.
- Jeszcze wczoraj zachęcałeś mnie, bym kogoś zabił - powiedział Roy. - A teraz to cię przeraża.
- I kto to mówi.
- Co masz na myśli?

Colin westchnął.

- Żeby mnie przekonać, wymyśliłeś cały ten plan. A to przecież w żaden sposób nie może się powieść. Przewidziałeś, że mi się nie spodoba, a wtedy będziesz mógł powiedzieć: no cóż, chciałem udowodnić, że potrafię kogoś zabić, ale Colin stchórzył.
- Co jest złego w moim planie?
- Przede wszystkim mieszkasz tuż obok.

- No i co z tego?

- Gliny będą cię od razu podejrzewać.

- Mnie? Mam dopiero czternaście lat.

- Wystarczająco dużo, by być podejrzany.

- Naprawdę tak uważasz?

- Pewnie.

- Cóż... mógłbyś zapewnić mi alibi. Mógłbyś przysiąc, że byłem u ciebie, kiedy ją zamordowano.

- Wówczas podejrzewaliby nas obu.

Roy przez dłuższą chwilę patrzył na Sarę Callahan. Odwrócił się wreszcie od okna i zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Najważniejsze, żeby zostawić ślady, które odwrócą od nas uwagę. Zmyłka dla gliniarzy.

- Czy chociaż wiesz, jaki oni mają sprzęt? Mogą cię wytropić badając pojedynczy włos, nitkę, cokolwiek.

- Ale gdybyśmy mogli sprzątnąć ją w taki sposób... żeby nawet za milion lat nie przyszło im do głowy, że zrobiły to dzieciaki...

- Jak?

Roy wciąż krążył po pokoju.

- Moglibyśmy zrobić to tak, by wyglądało na robotę jakiegoś szaleńca, maniaka seksualnego. Gdyby tak uderzyć ją nożem ze sto razy. Obciąć jej uszy. Szczeniaka też nieźle posiekać, a na ścianach wypisać krwią różne zwariowane rzeczy.

- Jesteś naprawdę obrzydliwy.

Roy przystanął na chwilę.

- O co chodzi? Krew tak na ciebie działa?

Colin czuł lekkie mdłości, ale próbował nie okazywać tego po sobie.

- Nawet gdyby udało ci się zmylić gliny, to i tak pozostaje jeszcze wiele słabych punktów w twoim planie.

- Na przykład?

- Ktoś może nas zobaczyć, jak będziemy wchodzić do jej domu.

- Kto?

- Na przykład śmieciarz. Albo ktoś, kto myje okna. Albo po prostu ktoś przejeżdżający samochodem.

- Więc wejdziemy tylnymi drzwiami.

Colin zerknął w okno.

- Wydaje mi się, że ten mur otacza całą posesję. Musielibyśmy więc wejść od frontu i obejść cały dom, żeby dostać się do tylnych drzwi.

- Wcale nie. Równie dobrze możemy przeleźć przez mur w ciągu minuty.

- Jeśliby ktoś nas wtedy zobaczył, to na pewno nas zapamięta. A poza tym, co z odciskami palców, kiedy już wejdziemy do środka?

- Będziemy mieli rękawiczki, oczywiście.

- To znaczy, że podejdziemy do drzwi w rękawiczkach, choć jest trzydzieści stopni upału, ze zwojem sznura i nożem, a ona nas wpuści bez chwili wahania?

Roy zaczął się niecierpliwić.

- Kiedy już otworzy drzwi, będziemy poruszać się tak szybko, że nie zdąży się zorientować, że coś jest nie tak.

- A jeśli się zorientuje? Jeśli będzie szybsza od nas?

- Nie będzie.

- Ale przynajmniej powinniśmy brać taką możliwość pod uwagę - upierał się Colin.
- W porządku. Wziąłem to, o czym mówisz, pod uwagę i uznałem, że nie ma się czym przejmować.
- Jeszcze jedno. Co będzie, jeśli otworzy drzwi wewnętrzne, ale nie zewnętrzne?
- To my je otworzymy. W czym problem?
- A jeśli będą zamknięte na klucz?
- Chryste!
- Cóż, trzeba się spodziewać najgorszego.
- Dobra, dobra. To nie był najlepszy pomysł.
- O to mi właśnie chodziło.
- Ale nie dałem jeszcze za wygraną.
- Nie chcę, byś dawał za wygraną - powiedział Colin. - Podoba mi się ta gra.
- Prędzej czy później wymyślę dobry plan. Znajdę kogoś, kogo moglibyśmy zabić.

Radzę ci, uwierz mi.

Przez jakiś czas obserwowali Sarę Callahan, patrząc na zmianę przez lornetkę.

Już wcześniej Colin pragnął powiedzieć Royowi o Heather. Ale teraz, z powodów, których nie potrafił do końca określić, czuł, że właściwa chwila jeszcze nie nadeszła. Przez jakiś czas Heather powinna pozostać jego małą tajemnicą.

Gdy Sara zeszła z tarasu, Colin i Roy udali się do garażu, gdzie spędzili resztę popołudnia, bawiąc się kolejką. Roy prowokował skomplikowane katastrofy kolejowe i śmiał się podniecony, gdy wagony wyskakiwały z szyn.

Tego wieczoru Colin zadzwonił do Heather. Dziewczyna zgodziła się pójść z nim do kina w najbliższą środę. Rozmawiali prawie piętnaście minut. Gdy Colin wreszcie odłożył słuchawkę, wiedział, że jego radość jest dostrzegalna dla wszystkich wokół, i że cały

promieniuje złotym obłokiem szczęścia.



Colin i Roy spędzili część wtorku na plaży, opalając się i obserwując dziewczęta.

Zdawało się, że Roy stracił zapał do swej makabrycznej gry; nie wspomniał ani słowem o zabiciu kogokolwiek.

O pół do trzeciej wstał. Otrzeptał z piachu gołe nogi i dzinsy z obciętymi nogawkami.

Zdecydował, że czas wracać do miasta.

- Chcę wstąpić do galerii twojej matki.

Colin otworzył oczy ze zdumienia.

- Po co?

- Żeby obejrzyć obrazy, oczywiście.

- Dlaczego chcesz je oglądać?

- Ponieważ interesuję się malarstwem, ty baranie.

- Od kiedy?

- Od zawsze.

- Nigdy o tym nie wspominałeś.

- Nigdy nie pytałeś - powiedział Roy.

Wrócili na rowerach do miasta i zatrzymali się przed galerią.

W środku było kilka osób. Przechodzili powoli od obrazu do obrazu.

Wspólniczka Weezy, Paula, siedziała przy ogromnym starym biurku w prawym kącie sali, gdzie podpisywano akty kupna. Była szczupłą, piegowatą kobietą o błyszczących, rudawych włosach i nosiła ogromne okulary.

Weezy krążyła wśród oglądających, gotowa odpowiedzieć na każde pytanie dotyczące obrazów. Gdy dostrzegła Colina i Roya, ruszyła w ich kierunku, uśmiechając się sztywno. Dla Colina było jasne, że pojawili się nie w porę.

Zanim Weezy zdążyła zapytać, czego chcą, Roy wskazał na duży obraz Marka

Thornberga i powiedział”

- Ten artysta jest niesamowity, pani Jacobs. Naprawdę. Jego dzieło ma więcej głębi niż te wszystkie dwuwymiarowe obrazy, które produkuje większość współczesnych malarzy. Szczegóły są oddane po mistrzowsku. Chodzi mi o to, że te obrazy wyglądają tak, jakby artysta starał się dostosować styl starych flamandzkich mistrzów do bardziej nowoczesnego sposobu widzenia.

Weezy była zdumiona, słysząc uwagi Roya.

Colin też był zdumiony. Więcej niż zdumiony. Był wręcz ogłuszony. Głębia?

Dwuwymiarowy? Mistrzowie flamandzcy? Zaskoczony, gapił się na Roya.

- Interesujesz się sztuką? - spytała Weezy.

- O, tak - powiedział Roy. - Myślę o tym, żeby wybrać sztuki piękne jako główny przedmiot, kiedy pójdę do college'u. Ale to będzie dopiero za parę lat.

- Malujesz?

- Trochę. Głównie akwarele. Nie jestem w tym zbyt dobry.

- Założę się, że teraz przemawia przez ciebie skromność - powiedziała Weezy. -

Widać, że znasz się na sztuce i masz dobre oko. Bezbłędnie określiłeś to, co chce osiągnąć Mark Thornberg.

- Naprawdę?

- Tak. To niezwykle. Zwłaszcza w przypadku kogoś w twoim wieku. Mark stara się wykorzystywać niezwykle dbałość o szczegół i trójwymiarowe techniki mistrzów flamandzkich, i łączy te jakości ze współczesną wrażliwością i tematyką.

Roy spojrział na inne płótna Thornberga, wiszące na tej samej ścianie, i powiedział”

- Chyba odnajdę tu ślad... Jacoba De Witta.

- Zgadza się! - zawołała Weezy zdumiona. - Mark jest wielbicielem De Witta.

Naprawdę masz dużą wiedzę o sztuce. Jesteś niezwykle.

Roy i Weezy przechodzili od jednego obrazu Thornberga do drugiego, spędzając przed każdym parę minut i dyskutując o zaletach artysty. Colin szedł za nimi krok w krok, zapomniany, zawstydzony swą ignorancją - i oszołomiony niespodziewaną wiedzą i wrażliwością Roya. Już wcześniej, przy pierwszym spotkaniu Roy zrobił na Weezy dobre wrażenie. Powiedziała o tym Colinowi i dała mu do zrozumienia, że tak wspaniały chłopiec jak Roy Borden będzie miał na niego o wiele lepszy wpływ niż tych kilku moli książkowych i społecznych wyrzutków, z którymi wcześniej nawiązywał nietrwale znajomości. Zdawała się nie dostrzegać, że Colin był właśnie takim wyobcowanym molem książkowym i że jej słowa mogą go urazić. Teraz była zaintrygowana Royem i jego zainteresowaniem sztukami pięknymi. Colin dostrzegał zachwyt w jej oczach. Roy potrafił być czarujący. Umiał zdobyć przychylność i uznanie dosłownie każdego dorosłego, nawet tego, którym w skrytości ducha gardził.

Colin pomyślał w przebłysku zazdrości: Ona go woli ode mnie. Jak ona na niego patrzy! Czy kiedykolwiek tak patrzyła na mnie? Nie, do diabła. Suka!

Ten nagły trudny do opanowania wybuch gniewu zaskoczył go i wprawił w zażenowanie. Gdy Roy i Weezy oglądali ostatni z obrazów Thornberga, Colin starał się zapanować nad sobą.

Kilka minut później, już na ulicy, gdy wsiadali na rowery, Colin spytał”

- Dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś, że interesujesz się sztuką?

Roy uśmiechnął się.

- Bo się nie interesuję. To kupa gówna. Cholernie nudne.

- Ale to wszystko, co mówiłeś w galerii...

- Wiedziałem, że twoja stara spotyka się z tym Thornbergiem i wystawia jego obrazy.

Poszedłem do biblioteki, żeby sprawdzić, czy nie ma tam czegoś na jego temat. Prenumerują kilka czasopism o sztuce, a *California Artist* zamieścił artykuł na jego temat prawie rok temu.

Przeczytałem go, żeby mieć jako takie pojęcie o jego malarstwie.

- Dlaczego? - spytał Colin, zdumiony.

- Żeby zrobić wrażenie na twojej matce.

- Po co?

- Bo chcę, żeby mnie lubiła.

- Zadałeś sobie tyle trudu tylko po to, żeby cię polubiła? Czy to dla ciebie takie ważne?

- Pewnie - powiedział Roy. - Nie chcemy przecież, by nabrała przekonania, że mam na ciebie zły wpływ. Mogłaby ci zabronić widywać się ze mną.

- Dlaczego miałyby myśleć, że masz na mnie zły wpływ?

- Dorosłym przychodzą do głowy różne rzeczy - powiedział Roy.

- Cóż, nigdy mi nie powiedziała, żebym się z tobą nie zadawał. Całkiem odwrotnie - myśli, że masz na mnie dobry wpływ.

- Tak?

- Tak.

- W takim razie moje małe oszustwo tylko ją utwierdzi w tym przekonaniu.

Roy szybko ruszył naprzód.

Colin zawahał się, a następnie podążył za nim. Był pewien, że za „małym oszustwem”

Roya kryło się coś znacznie więcej. Ale co? Co Roy knuł tak naprawdę?

Weezy nie mogła być we wtorek wieczorem w domu; umówiła się na kolację ze współnikami. Dała synowi pieniądze, żeby zjadł u Charly'ego, i Colin zabrał ze sobą Roya.

Po cheeseburgerach i koktajlu mlecznym Colin spytał”

- Chcesz zobaczyć film?

- Gdzie?

- W telewizji.

- Jaki?

- *Cień Draculi*.

- Dlaczego chcesz oglądać taką bzdurę?

- To nie bzdura. Ma dobre recenzje.

- Nie ma żadnych wampirów.

- Może nie ma. A może są.

- Jakże może? To oczywiste. Wampiry... to nonsens.

- Ale pasują do filmów grozy.

- Nudziarstwo - powiedział Roy.

- A może byś przynajmniej spróbował obejrzeć ten film?

Roy westchnął i pokręcił głową.

- Jak można bać się czegoś, co nie istnieje?

- Po prostu trzeba sobie wyobrazić.

- Dlaczego miałbym wyobrażać sobie straszne rzeczy, skoro istnieje tyle rzeczy

prawdziwych, których należy się bać?

Colin wzruszył ramionami.

- W porządku. Więc nie chcesz oglądać tego filmu.

- Poza tym zaplanowałem coś na później.

- Co? - spytał Colin.

- Zobaczysz. - Roy posłał mu chytre spojrzenie.

- Nie bądź taki tajemniczy. Powiedz.

- W swoim czasie.

- Kiedy?

- Och... o ósmej - powiedział Roy.

- A co będziemy robić do tego czasu?

Pojechali w dół Central Avenue, do małej przystani, zostawili na parkingu rowery,

które zabezpieczyli łańcuchami i zaczęli zgłębiać labirynt nabrzeżnych sklepików i lokali rozrywkowych. Spacerowali w gwarnym tłumie turystów, szukając ładnych dziewczyn.

Nad zatoką unosiły się i nurkowały mewy. Krzycząc przeraźliwie i melancholijnie, rzucały się w górę i w dół, tam i z powrotem, zszywając swym lotem niebo, ziemię i wodę.

Colin pomyślał, że przystań jest piękna. Blask zmierzającego ku zachodowi słońca sączył się przez białe chmury i zostawiał na wodzie połyskliwe plamy koloru spizu. Siedem małych żaglówek płynęło w równym szyku, posuwając się zygzakiem po spokojnych wodach przystani ku otwartemu morzu. Wieczór tonął w charakterystycznym kalifornijskim świetle, doskonale czystym, choć wydawało się zamglonym - jakby patrzyło się na świat przez nieskończoność cennych kryształowych tafli.

Przystań wydawała się w tej chwili najbezpieczniejszym i najbardziej przyjaznym miejscem na ziemi, ale Colin, na swoje nieszczęście, wiedział, jak będzie wyglądała za godzinę lub dwie. Umiał odmalować sobie jej obraz nocą: tłumy zniknęły, sklepy zamknięte, a światła wygaszone z wyjątkiem kilku latarni na nabrzeżu. O tak późnej godzinie jedynym słyszalnym dźwiękiem jest głos nocy: bezustanny plusk morza uderzającego o ciemne pale,

skrzywienie zacumowanych łodzi, złowieszczy szelest skrzydeł mew układających się do snu i ten wciąż obecny, podskórny strumień demonicznych szeptów, których większość ludzi nie może usłyszeć. Wiedział, że wraz ze śmiercią słonecznego blasku przypętnie zło. Coś straszego wynurzy się z wody pogrążonej w mroku i schwyci nieuważnego przechodnia; coś śliskiego i pokrytego łuską; coś zzeranego nie nasyconym nigdy głodem; coś o ostrych jak brzytwa zębach i potężnych szczękach, które mogą rozerwać człowieka na strzępy.

Niezdolny, by odrzucić tę wizję, Colin stwierdził nagle, że nie potrafi już cieszyć się pięknem, które roztaczało się wokół niego. Było tak, jakby patrzył na cudowną dziewczynę i, wbrew sobie, zamiast niej widział jej gnijące ciało, którym będzie musiała się stać.

Czasem zastanawiał się, czy nie jest szalony.

Czasem nienawidził samego siebie.

- Ósma - powiedział Roy.

- Dokąd idziemy?

- Trzymaj się blisko mnie.

Ruszyli - Roy prowadził. Zatoczyli krąg, po czym powrócili do wschodniego wylotu

Central Avenue, a następnie skręcili w Santa Leona Road, posuwając się na wschód. Gdy dotarli do wzgórz za miastem, skręcili w wąską, polną drogę, i podążyli nią, przecinając małą dolinkę. Po obu stronach zakurzonego traktu rosły polne kwiaty, połyskując w wysokiej suchej trawie niczym niebieskie i czerwone płomienie.

Zachodzące słońce wisiało tuż nad ich głowami - przy tej bliskości morza godzina zmierzchu zdawała się bardzo bliska. Ziemią miała wkrótce zawładnąć noc. Gdziekolwiek by się udali, musieliby wracać w ciemności. Colin nie był z tego powodu zadowolony.

Dotarli na wyższą partię wzgórz i pokonali zakręt, który tonął w cieniu drzew eukaliptusowych. Droga kończyła się pięćdziesiąt jardów dalej, w samym środku

cmentarzyska samochodów.

- Dom Pustelnika Hobsona - powiedział Roy.

- Kto to jest?

- Mieszkał tu.

Parterowy drewniany budynek, bardziej przypominający prymitywną chatę niż dom mieszkalny, górował nad kilkoma akrami trawiastego wzniesienia, na którym niszczało ponad dwieście samochodowych wraków.

Postawili swoje rowery przed chatą.

- Dlaczego nazywają go Pustelnikiem? - spytał Colin.

- Bo nim był. Mieszkał tu zupełnie sam i nie lubił ludzi.

Czterocalowa niebieskozielona jaszczurka wypełzła na zapadnięty stopień ganku, zatrzymała się, po czym zastygła, zezując mlecznym okiem w stronę chłopców.

- Skąd się wzięły te wszystkie samochody? - spytał Colin.

- Kiedy tu mieszkał, żył z nich. Skupował samochody po ciężkich wypadkach i sprzedawał części.

- Można się z tego utrzymać?

- No cóż, wiele nie potrzebował.

- Właśnie widzę.

Jaszczurka zeszła ze stopnia na twardą, suchą ziemię. Wciąż była czujna.

- Później - powiedział Roy - stary Pustelnik Hobson odziedziczył trochę pieniędzy.

- Był bogaty?

- Nie. Dostał akurat tyle, żeby żyć spokojnie, nie trudniąc się więcej handlem

częściami zamiennymi. Widywał wtedy ludzi tylko raz w miesiącu, kiedy wyprawiał się do miasta po sprawunki.



Jaszczurka wbiegła z powrotem na stopień i znów zastygła, tym razem odwrócona do chłopców tyłem.

Roy był szybki. Jaszczurka dostrzegła zbliżające się niebezpieczeństwo. Zdążył ją jednak złapać za ogon, przytrzymał i zmiażdżył jej głowę stopą.

Colin odwrócił się pełen obrzydzenia.

- Po coś, u licha, to zrobił?
- Słyszałeś, jak zachrząściło?
- Co chciałeś osiągnąć?
- To był trzask.
- Rany.

Roy wytarł but o trawę. Colin odchrząknął i spytał”

- A gdzie teraz jest Pustelnik Hobson?
- Nie żyje.

Colin spojrzał podejrzliwie na Roya.

- Chyba będziesz próbował mnie przekonać, że jego też zabiłeś.
- Nie. Umarł z przyczyn naturalnych. Cztery miesiące temu.
- Więc po co tu przyszliśmy?
- Żeby wykoleić pociąg.
- Co?
- Chodź, zobaczysz, co zrobiłem.

Roy poszedł w stronę przeżartych rdzą samochodów.

Po chwili Colin ruszył jego śladem.

- Niedługo się ściemni.
- To dobrze. Będzie łatwiej uciec.

- Skąd uciekniemy?
- Z miejsca zbrodni.
- Jakiej zbrodni?
- Powiedziałem ci.
- O czym ty mówisz?

Roy nie odpowiedział.

Szli przez sięgającą kolan trawę. Tuż przy porzuconych wrakach, w miejscach gdzie kosiarka nie mogła dotrzeć (a Pustelnik Hobson nigdy nie przycinał trawy ręcznie), była ona gęstsza i wyższa niż na terenie okalającym chatę.

Wzniesienie kończyło się zaokrąglonym cyplem, przypominającym dziób statku. Roy stanął na krawędzi zbocza i spojrzał w dół.

- To się stanie właśnie tutaj.

Osiemdziesiąt stóp niżej były tory kolejowe, które otaczały podnóże wzniesienia.

- Wykoleimy go na zakręcie - powiedział Roy. Wskazał dwie równoległe wstęgi ciężkiej, falistej blachy, które ciągnęły się od samych torów, wspinały na zbocze i wychodziły poza krawędź wzniesienia. - Hobson był prawdziwym rupieciarzem. Znalazłem pięćdziesiąt kawałków takiej blachy w wielkiej stercie śmieci za jego chatą. Miałem cholerne szczęście. Bez tego sprzętu nie dałbym rady wszystkiego tak dobrze przygotować.

- Na co ci one?
- Chodzi o furgon.
- Jaki furgon?
- Spójrz tam.

W odległości czterdziestu stóp od krawędzi wzniesienia stał czteroletni, rozbity pick-up marki Ford. Faliste wstęgi biegły do samochodu i ginęły pod karoserią. Ford nie miał opon

- pokryte rdzą obręcze kół spoczywały na metalu.

Colin przyklęknął obok furgonu.

- Jak udało ci się wsunąć blachę pod samochód?

- Podnosiłem koła za pomocą lewarka, który znalazłem w jednym z tych wraków.

- Po co zadałeś sobie tyle trudu?

- Nie możemy tak po prostu przepchnąć tego grata po gołej ziemi - powiedział Roy. -

Koła zakopałyby się i utknęlibyśmy w miejscu.

Colin odwrócił wzrok od pick - upa i spojrzał w stronę krawędzi wzniesienia.

- Powiem wprost. Nie wiem, czy rozumiem, o co ci chodzi. Chcesz pchnąć ten samochód po torze z blachy, by potem stoczył się w dół i wbił w bok pociągu?

- Tak.

Colin westchnął.

- Co znowu? - spytał Roy.

- Następna cholerna gra.

- Żadna gra.

- Przypuszczam, że mam się zachować tak jak wtedy, gdy planowaliśmy tę całą historię z Sara Callahan. Chcesz, żebym wykazał słabe punkty twojego planu, żebyś miał wymówkę i mógł się ze wszystkiego wycofać.

- Jakie słabe punkty?

- Po pierwsze, pociąg jest o wiele za duży i za ciężki, żeby można go było wykoleić takim małym wozem.

- Wcale nie, jeśli zrobimy to właściwie - powiedział Roy. - Jeśli zrobimy to w odpowiedniej chwili. Furgon zjedzie w dół akurat wtedy, gdy pociąg będzie pokonywał zakręt. Maszynista będzie wtedy próbował zatrzymać wagony i pociąg, na tak ostrym łuku,

zacznie się kołysać jak szalony. I wówczas, uderzony przez furgon, wyskoczy z szyn.

- Nie wydaje mi się.

- Mylisz się - powiedział Roy. - Jest duża szansa, że stanie się tak, jak mówię.

- Nie.

- Warto spróbować. Nawet jeśli ten grat nie wykolei pociągu, to przynajmniej wystraszy cholernych pasażerów. Tak, czy owak, to będzie trzask.

- Jest jeszcze coś, o czym nie pomyślałeś. Ten wóz tkwi tu od kilku lat. Koła zardzewiały. Żebyśmy nie wiem jak mocno pchali - nie drgną.

- Znow się mylisz - powiedział Roy wesoło. - Pomyślałem o tym. W ciągu paru ostatnich sezonów rzadko padało. Koła nie zardzewiały aż tak bardzo. Wprawdzie musiałem przy tym trochę popracować, ale koła będą się obracać.

Dopiero teraz Colin zauważył ciemne, tłuste plamy na obręczach kół pick - upa.

Wsunął za nią rękę i stwierdził, że została świeżo i dokładnie nasmarowana. Kiedy wyjął dłoń spod karoserii, miał na niej grudki smaru.

- Czy dostrzegasz jeszcze jakieś słabe punkty w moim planie? - Roy uśmiechnął się.

Colin wytarł ręce o trawę i podniósł się.

- No? - Roy też się wyprostował.

Słońce właśnie zaszło. Niebo na zachodzie było złote.

- Kiedy chcesz to zrobić?

Roy spojrzał na zegarek.

- Za jakieś sześć lub siedem minut.

- Będzie wtedy jechał pociąg?

- Sześć razy w tygodniu, właśnie o tej porze, przejeżdża tędy pociąg osobowy.

Wszystko sprawdziłem. Wyrusza z San Diego, zatrzymuje się w Los Angeles i jedzie dalej do

San Francisco, a potem do Seattle. I znowu z powrotem. Spędziłem wiele nocy, siedząc na wzgórzu i obserwując go. Naprawdę zasuwa. To express.

- Powiedziałeś, że trzeba wszystko zgrać w czasie.
- Zgramy. Albo prawie zgramy.
- Ale bez względu na to, jak starannie to zaplanowałeś, nie możesz oczekiwać, że kolej pójdzie ci na rękę. Chodzi o to, że pociągi nie zawsze jeżdżą według rozkładu.
- Ten zazwyczaj jeździ - powiedział Roy z pewnością w głosie. - Poza tym to niezbyt ważne. Wszystko, co musimy zrobić, to przepchnąć furgon na samą krawędź wzgórza i poczekać na pociąg. Kiedy zobaczymy nadjeżdżającą lokomotywę, pchniemy go lekko w dół, a dalej sam się potoczy.

Colin zagryzł wargi, marszcząc brwi.

- Wiem, że tak to ułożyłeś, żeby nie mogło się udać.
- Mylisz się. Chcę, by się udało.
- To gra. Jest w tym planie jakaś głęboka szczelina i oczekujesz, że ją znajdę.
- Żadnych szczelin.
- Coś musiałem pominąć.
- Niczego nie pomiñałeś.

Pod każdym z przednich kół tkwił drewniany klin. Roy odsunął je i rzucił na bok.

- Co się za tym kryje?
- Trzeba ruszyć go z miejsca.
- Musi w tym być jakiś żart.
- Nie mamy zbyt dużo czasu.

Drzwi pick - upa były wyrwane - albo w wyniku wypadku, albo przez Pustelnika

Hobsona. Roy podszedł do samochodu od strony kierowcy, sięgnął do środka i położył prawą

dłoń na kierownicy, lewą oparł o przedni słupek.

- Roy, dlaczego nie zrezygnujesz? Wiem, że jest w tym jakiś haczyk.

- Stań z drugiej strony i pomagaj.

Colin obszedł pick - upa i stanął po stronie pasażera. Wciąż starał się znaleźć jakąś szczelinę, wciąż się zastanawiał, co przeoczył, i wciąż był pewien, że Roy prowadzi z nim jakąś wyrafinowaną grę.

Roy wydał kolejne polecenie”

- Połóż obie dłonie na przednim słupku i pchaj.

Colin zrobił, jak mu powiedziano, a Roy pchał z drugiej strony.

Wóz nie drgnął.

Jaki krył się za tym żart?

- Stał tu dosyć długo - powiedział Roy. - Trochę się zapadł.

- Ahaaa - powiedział Colin. - A my oczywiście nie będziemy mieć dość sił, by ruszyć go z miejsca.

- Pewnie, że będziemy - powiedział Roy. - Oprzyj się o niego plecami.

Colin naprężył się.

- Mocniej - powiedział Roy.

Nie damy rady - pomyślał Colin. - On o tym wie. Dlatego to zaplanował.

- Pchaj!

Teren opadał stopniowo w dół w kierunku krawędzi.

- Mocniej!

Twarda, spalona słońcem ziemia nie stawiała oporu; pomocne się też okazały wstęgi falistej blachy i śliskie, pokryte smarem koła. Najbardziej jednak ułatwiło zadanie spadziste zbocze i siła grawitacji.

- Mocniej! Mocniej!

Pick - up wreszcie ruszył z miejsca.

Kiedy Colin poczuł, że samochód rusza, odskoczył zdumiony do tyłu.

Pick - up zatrzymał się gwałtownie.

- Po co to zrobiłeś? - spytał Roy. - Już go ruszyliśmy, na litość boską. Dlaczego się zatrzymałeś?

Colin spojrział na niego przez otwartą kabinę wozu.

- No dobra. Powiedz mi. Na czym polega ten żart?

Roy był zły. Mówił głosem twardym i zimnym, cedząc każdy wyraz.

- Wbij... to... sobie... do... łba. To... nie... jest... w ogóle... żart!

Znów zaczęli pchać, każdy ze swej strony, w szybko gasnącym, mglistym świetle zmierzchu.

- Jesteś moim bratem krwi? - spytał Roy.

- Pewnie.

- Czyż nie stoimy, my dwaj, wobec całego świata?

- Tak.

- Czy bracia krwi nie zrobią dla siebie wszystkiego?

- Prawie wszystko.

- Wszystko! Absolutnie wszystko! Żadnych „jeżeli”, „także” czy „ale”. Nie w przypadku braci krwi. Jesteś moim bratem krwi?

- Powiedziałem ci, że jestem, czy nie?

- Więc pchaj, do cholery!

- Roy, już wystarczy.

- Wystarczy dopiero wtedy, gdy spadnie z krawędzi.

- Takie wygłupy mogą być niebezpieczne.



- Masz beton zamiast mózgu?
- Możemy niechcący spowodować katastrofę kolejową.
- Nie będzie żadnej katastrofy. Pchaj!
- Wygrałeś. Poddaję się. Ani ty, ani ja, nie pchniemy dalej tego wozu. Zwyciężyłeś w tej grze, Roy.
- Co ty mi, do cholery, zrobisz?
- Chcę już stąd pójść.

W głosie Roya brzmiało napięcie, niemal histeria. W jego oczach czaiła się dzikość.

Patrzył z wściekłością na Colina.

- Odwracasz się do mnie plecami?
- Oczywiście, że nie.
- Zdradzasz mnie?
- Słuchaj, ja...
- Ty też jesteś fałszywy? Jesteś taki sam, jak ci wszyscy cholerni oszuści, zdrajcy i kłamcy?
- Roy...
- Czy w tym, co mi mówiłeś, było choć jedno słowo prawdy?

Ciszę zmierzchu przeciął dobiegający z oddali gwizd pociągu.

- Jedzie! - powiedział rozgorączkowany Roy. - Maszynista zawsze gwizdże, gdy przejeżdża przez Ranch Road. Mamy tylko trzy minuty. Pomóż mi.

Nawet w tym przyćmionym, pomarańczowopurpurowym świetle Colin dostrzegł na twarzy Roya furję, a w jego niebieskich, bardzo niebieskich oczach - szaleństwo. To go zaszokowało. Zrobił jeszcze jeden krok do tyłu, oddalając się od pick - upa.

- Sukinsyn! - powiedział Roy. Próbował sam przepchnąć forda.

Colin przypomniał sobie zachowanie Roya w garażu, gdy bawili się pociągami pana Bordena. Z jaką okrutną radością wywoływał katastrofy. Z jakim podnieceniem zaglądał do okien wykolejonych wagonów, szukając prawdziwych trupów i prawdziwej krwi - i jaką znajdował przyjemność w tych chorych fantazjach.

To nie była gra.

To nigdy nie była gra.

Pchając i odpoczywając na zmianę, wciąż pchając i odpoczywając - w nieustępliwym, obłądnym rytmie, Roy huśtał pick - upem, aż nagle przewyciężył bezwład maszyny. Ford ruszył.

- Nie! - krzyknął Colin.

Grawitacja znów pomogła. Koła wozu obracały się powoli i niechętnie. Piszczwały i skrzypiały. Ich stalowe krawędzie gniotły z trzaskiem ciężkie wstęgi falistej blachy. Ale się obracały.

Colin okrążył biegiem pick - upa, chwycił Roya i odciągnął go od samochodu.

- Ty nieszczęsny głupku!

- Roy, nie możesz!

- Zostaw mnie!

Roy wyrwał się, odepchnął Colina i wrócił do wraka.

Pick - up utknął w chwili, gdy chłopcy szarpali się przy samochodzie. Teren nie był na tyle pochyły, by auto samo się potoczyło w stronę krawędzi.

Roy znów je rozhuśtał.

- Nie możesz zabić tych wszystkich ludzi.

- Popatrz tylko.

Wóz potrzebował teraz znacznie słabszego bodźca. A może to Roy odnalazł w swym

oblędzie jeszcze więcej siły. Po kilku sekundach ford zaczął się toczyć.

Colin skoczył na Roya i siłą odciągnął go od pick - upa.

Oszalały z wściekłości Roy odwrócił się i uderzył go dwa razy w żołądek.

Colin cofnął się gwałtownie. Puścił Roya, zakrztusił się, zgiął w pół, pochylił do ziemi, zatoczył do tyłu i upadł. Miał wrażenie, że pięści Roya przebiły go na wylot, zostawiając w jego ciele dwie wielkie dziury. Nie mógł złapać tchu.

Spadły mu okulary. Widział tylko zamazane kontury złomowiska. Kaszląc, dławiąc się i wciąż próbując złapać oddech, szukał po omacku zagubionych szkieł.

Roy stękał i mamrotał do siebie, starając się poruszyć pick - upa.

Nagle do uszu Colina dotarł jeszcze jeden dźwięk: rytmiczne czuk - czuk - czuk - czuk - czuk - czuk.

Pociąg.

W pewnej odległości. Ale niezbyt daleko.

Coraz bliżej.

Colin znalazł okulary i założył je. Zobaczył przez łyzy, że pick - up jest wciąż ponad dwadzieścia stóp od krawędzi wzniesienia i że Roy zaczął go dopiero pchać.

Colin spróbował wstać. Uniósł się na wysokość kolan, ale jego wnętrzości przeszła fala porażającego, paralizującego bólu.

Wóz, który dzieliło od krawędzi nie więcej niż dwadzieścia stóp, pokonywał powoli kolejne cale, powoli, ale nieubłaganie.

Sądząc po natężeniu hałasu, pociąg dotarł do zakrętu w dolince.

Wóz dzieliło od krawędzi osiemnaście stóp.

Szesnaście.

Czternaście.

Dwanaście.

I wtedy zjechał ze swego metalowego toru; obręcze kół wbiły się w suchą ziemię.

Samochód zatrzymał się. Gdyby pchali z obu stron, a ich siły były równo rozłożone, wóz nie mógłby zjechać. Ale ponieważ był pchany tylko z lewej strony, musiał skręcić w prawo, tym bardziej że Roy nie obrócił dostatecznie mocno kierownicą, by skorygować tor jazdy.

Colin uczepił się klamki zdezelowanego dodge'a, przy którym leżał i podciągnął się do góry. Nogi mu drżały.

Noc wypełniła się ogłuszającym hukiem pędzącego pociągu: kakofoniczny grzmot przypominający mechaniczną orkiestrę, która właśnie stroi instrumenty.

Roy podbiegł do krawędzi wzgórza. Spojrzał w dół, na pociąg, którego Colin nie mógł widzieć.

Po niecałej minucie hałas osłabł. Ostatni wagon pokonywał właśnie zakręt - pociąg pędził w dal, w kierunku San Francisco.

Na szczyt wzniesienia zaczęły z wolna docierać odgłosy nadchodzącej nocy. Colin był przez chwilę zbyt ogłuszony, by słyszeć cokolwiek. Stopniowo do jego świadomości powrócił śpiew świerszczy, rechotanie ropuch, szum bryzy w koronach drzew i łomot własnego serca.

Roy krzyknął. Spojrzał w dół, na tory, które teraz były puste, wznosił w górę pięści i zawył jak konające zwierzę. Odwrócił się i ruszył w stronę Colina.

Dzieliło ich jedynie trzydzieści stóp odkrytego terenu.

- Roy, musiałem to zrobić.

- Nienawidzę cię.

- Nie mówisz poważnie.

- Jesteś taki, jak cała reszta.

- Roy, poszedłbyś do więzienia.

- Zabiję cię.

- Ale Roy...

- Ty pieprzony zdrajco!

Colin rzucił się do ucieczki.

Wiedział jednak, że nigdy nie prześcignie przyjaciela. Miał chude nogi - Roy muskularne. Zapas jego sił był żałośnie mały - energia i siły Roya wydawały się niespożyte. Colin nie miał odwagi spojrzeć za siebie.

Cmentarzysko samochodów było rozległym labiryntem. Biegł nisko pochylony po wijących się, krzyżujących ze sobą ścieżkach, korzystając z osłony, jaką dawały wraki. Skręcił w prawo, pomiędzy wypatroszone karoserie dwóch buicków. Mijał ogromne stosy opon, powyginane i zardzewiałe plymouthy, rozbite i skorodowane fordys, dodge, toyoty, oldsmobile, volkswageny. Przeskoczył rozmontowany wał napędowy, ominął zygzakami rozrzucone bezładnie opony i popędził w stronę chaty Pustelnika Hobsona, która znajdowała się nieprawdopodobnie daleko, w odległości przynajmniej sześciuset stóp, i w końcu skręcił ostro w wąską uliczkę, zawaloną tłumikami i reflektorami, przypominającymi miny lądowe umieszczone w wysokiej trawie. Dziesięć jardów dalej skręcił na zachód, spodziewając się w każdej chwili ataku od tyłu, niemniej jednak zdecydowany odgrodzić się od Roya ścianą żelastwa.

Colinowi zdawało się, że minęła godzina, choć prawdopodobnie upłynęły nie więcej niż dwie minuty, gdy uświadomił sobie, że nie może tak biec bez końca, i że szybko zgubi właściwy kierunek i wpadnie prosto w objęcia Roya na którymś z zakrętów lub u zbiegu ścieżek. Właściwie nie był już pewien, czy przybliży się, czy też oddala od punktu, w którym rozpoczął swoją ucieczkę.

Zaryzykował spojrzenie przez ramię i stwierdził ze zdumieniem, że jest sam.

Zatrzymał się przy jakimś zmiażdżonym cadillacu i przycisnął się w ciemności do jego boku.

Ponury, miedziany blask słońca, który za chwilę miał zgasnąć, nie mógł oświetlić otwartej przestrzeni między samochodami. Wokół zalegały liliowoczarne, puszyste cienie;

rozrastały się na jego oczach z niewiarygodną prędkością, jak koszmarny grzyb pokrywający całą planetę. Colina przerażało to, że jest razem z Royem uwięziony w tej ciemności. Ale w takim samym stopniu bał się groźnych stworów, które mogły nocą czaić się na złomowisku: przedziwnych bestii, chimer, może nawet duchów ludzi, którzy zginęli w tych rozbitych samochodach.

Przestań! - myślał ze złością. - To głupie. To dziecinne. Musiał się skoncentrować na niebezpieczeństwie, o którego istnieniu wiedział na pewno. Roy. Musi się ratować się przed Royem. Wtedy będzie mógł martwić się o inne rzeczy.

Myśl, do diabła.

Uświadomił sobie, że oddycha za głośno. Było prawdopodobne, że Roy usłyszy podejrzaną odgłosy i kierując się nimi dotrze do jego kryjówki. Colinowi trudno było zachować całkowitą ciszę w tej niebezpiecznej sytuacji, ale przy odrobinie wysiłku mógł oddychać spokojniej.

Z napięciem nasłuchiwał kroków Roya.

Nic.

Do Colina zaczęły powoli docierać szczegóły tego małego świata, w którym znalazł schronienie. Czuł pod plecami twardą i ciepłą karoserię cadillaca. Trawa była sucha, sztywna i pachniała sianem. Ziemia promieniowała ciepłem, oddając chłodnej nocy zgromadzony w ciągu dnia żar słoneczny. Gdy z nieba sączyły się ostatnie promienie światła, cienie zalegające cmentarzysko zaczęły się kołysać i drzeć jak wodorosty na dnie morza. Słysząc było różne odgłosy: przeraźliwe krzyki ptaka, szelest uciekającej polnej myszy, rechot wszechobecnych ropuch, szum wiatru w koronach eukaliptusów, otaczających z trzech stron teren złomowiska.

Ale Roya nie było słysząc.

Czy wciąż tam był?

Czy poszedł wściekły do domu?

Colin, zbyt zdenerwowany, by długo tkwić nieruchomo, uniósł się na tyle, by móc wyrzeć przez brudne szyby cadillaca. Niewiele widział. Samochody szybko znikwały w rozlewającej się plamie nocy.

Coś działo się za jego plecami, Colin bardziej to wyczuł, niż usłyszał. Odwrócił się na pięcie, czując jak wali mu serce. Zobaczył przed sobą Roya, który uśmiechał się szeroko i wyglądał jak demon. Trzymał w ręku łyżkę do opon, jakby szykował się do rozgrywki baseballa.

Przez chwilę obaj stali nieruchomo. Byli skrępowani niewidoczną pajęczyną pamięci, opleceni miłymi wspomnieniami, niby siecią nitek utkaną przez pająka. Jeszcze przed chwilą byli przyjaciółmi, nagle stali się wrogami. Zmiana nastąpiła zbyt gwałtownie, a przyczyna była zbyt dziwaczna, by któryś z nich zdołał dociec jej znaczenia. Tak to przynajmniej odczuwał Colin. I gdy patrzyli na siebie, zaczął mieć nadzieję, że Roy dostrzeże bezsens tej sytuacji i odzyska rozsądek.

- Jestem twoim bratem krwi - powiedział cicho.

Roy zamachnął się łyżką do opon. Colin rzucił się na ziemię, by uniknąć ciosu, i stalowy pręt przebił bok cadillaca.

Jednym płynnym ruchem, cały czas krzycząc złowieszczo, Roy wyrwał łyżkę z karoserii, zamierzył się, jakby rąbał drzewo i uderzył z całych sił. Colin uskoczył w bok i potoczył się po ziemi gniotąc z trzaskiem trawę, gdy pałka opadła. Słyszał, z jak nieprawdopodobną siłą uderzyła o ziemię, w miejscu, gdzie jeszcze przed sekundą leżał, i wiedział, że roztrzaskałaby mu czaszkę, gdyby w porę nie umknął.

- Su - kin - syn! - powiedział Roy.



Colin potoczył się jeszcze jakieś pięć czy sześć stóp i podniósł się na nogi. Gdy wstawał, Roy ruszył w jego stronę wymachując stalową łyżką. Przecięła powietrze - fiuuuuu! - i minęła go o kilka cali. Colin zatoczył się do tyłu, próbując wydostać się poza zasięg rąk przeciwnika, i natknął się na inny samochód, który zagroził mu drogę.

- Mam cię - powiedział Roy. - Mam cię, ty mały draniu.

Roy zamachnął się tak szybko, że Colin prawie nie dojrzał pałki.

W ostatniej chwili przykucnął i stalowy pręt przeciął powietrze nad jego głową; odbił się z brzękiem od samochodu, stojącego za plecami Colina. Głośny, ostry dźwięk zabrzmiał jak strzał karabinowy, który trafił w ogromny stalowy dzwon o pozbawionym melodii tonie, i przetoczył się głuchym echem przez złomowisko. Pręt uderzył w samochód tak mocno, że wypadł z ręki Roya, poleciał w ciemność i upadł w trawę kilka jardów dalej.

Roy zawył z bólu. Siła uderzenia dotarła, poprzez stal, do jego ręki. Chwycił się za obolałą dłoń i zaklął głośno.

Colin skorzystał z chwilowej niedyspozycji przeciwnika i uciekł najszybciej, jak mógł.

Wnętrze chevroleta cuchnęło. Colin rozróżniał kilka nieprzyjemnych zapachów i był w stanie wyobrazić sobie źródła niektórych z nich - choć nie wszystkich. Zjełczały smar pokryty pleśnią. Wilgotna tapicerka przesiąknięta stęchlizną. Gnijący dywanik. Ale jeden był najsilniejszy - dziwny odór, przypominający zapach gotującej się szynki, na przemian słodki i mdły. Zastanawiał się, czy w samochodzie nie ma zdechłego zwierzęcia - rozkładającej się wiewiórki albo myszy czy szczura, czegoś pokrytego kłębówiskiem robaków, zaledwie kilka cali od niego, niewidocznego w tej nieprzeniknionej ciemności. Chwilami obraz rozmiękłego ciała stawał się w jego umyśle tak wyraźny, że krztusił się z obrzydzenia, choć wiedział, że ten odgłos, nawet najcichszy, może przyciągnąć uwagę Roya.

Colin leżał skulony na tylnym, zbutwiałym siedzeniu chevroleta, na prawym boku, twarzą do maski, z podciągniętymi kolanami, z ramionami przy klatce piersiowej - spocony i drżący z przerażenia, szukający w głębokim cieniu ratunku, ale boleśnie świadomy, że w tym miejscu nie znajdzie bezpiecznego schronienia. Tylne szyby, a także boczne były całe, ale przednia została całkowicie wybita. Do wnętrza napływała od czasu do czasu bryza, ale nie mogła odświeżyć powietrza wewnątrz wraku - mieszała tylko zapachy, które stawały się coraz bardziej intensywne. Nasłuchiwał bacznie, czy wiatr nie przyniesie jakichś odgłosów świadczących o bliskości Roya, ale na złomowisku od dłuższego czasu panowała cisza.

Wreszcie nastąpiła noc. Wszystkie ślady słońca na zachodnim horyzoncie przykryła ciemność. Na wschodzie zwieszał się nisko kawałek księżyca, ale jego światło nie docierało do wnętrza chevroleta.

Leżąc w ciemności, Colin nie miał nic do roboty, więc rozmyślał, a nie umiał myśleć o niczym innym jak tylko o Royu. Nie mógł już dłużej opierać się prawdzie - to nie była gra. Roy był mordercą. Zepchnąłby pick - upa w dół zbocza. Nie było wątpliwości. Wykoleiłby

pociąg. Zgwałciłby i zabił Sarę Callahan, gdyby Colin nie znalazł w jego planie słabych punktów.

Wreszcie - myślał Colin - rozwaliliby mi głowę tą łyżką do opon, gdybym mu się nie wymknął. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Ich przysięga nie miała żadnego znaczenia. Być może nigdy nie była nic warta. Możliwe nawet, że Roy zabił tych dwóch chłopców, tak jak twierdził: jednego zepchnął z urwiska w Sandman's Cove, a drugiego oblał płynem do zapalniczek i podpalił.

Ale dlaczego?

Prawda była oczywista, ale jej źródła niejasne. Colin nie widział w tym wszystkim żadnego sensu i dlatego było to takie przerażające. Fakty, które poznał, były końcowym produktem długiego, twórczego procesu, lecz to, co uruchomiło całą tę lawinę, było okryte tajemnicą.

W jego głowie kłębiły się pytania. Dlaczego Roy chce zabijać ludzi? Czy czerpie z tego przyjemność? Jaką przyjemność, na litość boską? Czy jest szaleńcem? Dlaczego nie wygląda na szaleńca, jeśli nim jest? Dlaczego wygląda jak zwyczajny czternastoletni chłopak? Zadawał sobie te pytania i setkę innych, ale nie znał odpowiedzi.

Colin oczekiwał, że świat będzie prosty i oczywisty. Lubił dzielić go na dwie połowy - siły dobra i siły zła. W ten sposób każde wydarzenie, każdy problem i jego rozwiązanie miały swoją jasną stronę i stronę ciemną, i człowiek zawsze wiedział, na czym stoi. Colin prawie wierzył, że realny świat przypomina krainę z *Władcy pierścieni*, gdzie błogosławionych i przeklętych uformowano w dwie różne armie. Lecz bez względu na to, jak bardzo wnikliwie analizował zachowania Roya w ciągu ostatniego miesiąca, nie umiał ich zaklasyfikować, nie mógł go nazwać ani świętym, ani łajdakiem. Roy miał wiele cech, których Colin mu zazdrościł, i które podziwiał, ale Roy był również bezlitosnym mordercą. Roy nie był czarny.

Nie był też biały. Nie był nawet szary. Przybierał setki, nie, tysiące odcieni szarości, które wirowały i zlewały się ze sobą jak słupy dymu. Colin nie umiał pogodzić swego poglądu na świat z nagłym odkryciem istoty takiej jak Roy. Nie kończące się rozgałęzienia nieuchwytnej jak rtęć moralności Roya były przerażające. Oznaczało to, że Colin musiałby poddać rewizji całą swą bezpieczną filozofię. Powinien powymyślać wszystkich znanych mu ludzi z szufladek, do których ich wcześniej upychał. Musiałby na nowo ocenić każdego z nich, dokładniej niż przedtem, a następnie włożyć ich... tylko gdzie? Jeśli nie istniał czarno - biały system wartości, to i nie istniały też żadne szufladki. Jeśli nie zawsze można było dokonać wyraźnego rozróżnienia między tym, co słuszne, a tym, co naganne, to nie można było również, bez obawy o pomyłkę, poklasyfikować ludzi, poszufladkować ich i zapomnieć. Życie stałoby się wówczas nieznośnie trudne.

Oczywiście, Roy mógł być opętany.

Gdy tylko przemknęło mu to przez głowę, wiedział, że znalazł właściwą odpowiedź i uczepił się jej gorączkowo. Jeśli Roy był opętany przez złego ducha, to znaczyło, że nie jest odpowiedzialny za przerażające czyny, których się dopuszczał. Roy był dobry, lecz ten demon, który w nim mieszkał, był zły. Tak! To było to! Jak dziewczynka w *Egzorcystie*. Albo chłopczyk w *Omenie*. A może Roy był opętany przez obcego - stwora z innej planety, istotę, która przybyła na Ziemię z gwiazd. Pewnie. Tak właśnie musiało być. To było lepsze, bardziej naukowe, mniej prostackie wytłumaczenie niż to pierwsze. Nie demon, ale zła, obca istota. Może podobna do złoczyńców ze starego filmu Dona Siegela *Inwazja porywaczy ciał*. Albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, tym czymś, co opętało Roya, był pasożyt z obcej galaktyki, podobny do opisanego w wielkiej powieści Heinleina *Władca lalek*. Jeśli miał do czynienia właśnie z takim przypadkiem, to musiał przedsięwziąć pewne kroki od razu, bezzwłocznie, gdy wciąż istniała szansa, co prawda niewielka, uratowania świata. Przede

wszystkim musi znaleźć niewątpliwy dowód na istnienie inwazji obcych zagrażających stworzeń. Następnie powinien przekonać innych ludzi, że grozi im oczywiste niebezpieczeństwo. I w końcu musi...

- Colin!

Drgnął i usiadł, przerażony i roztrzęsiony. Przez chwilę był tak zaszokowany, że nie mógł złapać tchu.

- Hej, Colin!

Głos Roya, wołającego jego imię, sprowadził go z powrotem na ziemię.

- Colin, słyszysz mnie?

Roya nie było w pobliżu. Stał przynajmniej sto jardów dalej. Musiał krzyczeć.

Colin wychylił się w stronę przedniego siedzenia i wpatrywał się w ciemność przez pozbawione szyby okno, ale nie mógł niczego dostrzec.

- Popełniłem błąd, Colin.

Colin czekał.

- Słyszysz mnie?

Colin nie odpowiedział.

- Zrobiłem bardzo głupią rzecz - powiedział Roy.

Colin potrząsnął głową. Spodziewał się tego, ale dziwił się, że Roy ucieka się do tak prymitywnych sztuczek.

- Ta gra zaszła za daleko - powiedział Roy.

Nic z tego - myślał Colin. - Nie przekonasz mnie. Nie po tym, co się stało. Nigdy więcej.

- Chyba wystraszyłem cię bardziej, niż zamierzałem - powiedział Roy. - Przykro mi.

Naprawdę.

- Rany - powiedział cicho Colin.

- Tak naprawdę nie chciałem wykoleić tego pociągu.

Colin ponownie wyciągnął się na siedzeniu, ułożył na boku z podkurczonymi nogami, chowając się głęboko w ciemności, która cuchnęła rozkładem.

Roy przez następne parę minut ciągnął swój syreni śpiew, ale zorientował się w

końcu, że nie zdoła oczarować Colina. Nie był w stanie ukryć złości. Za każdym razem, gdy występował z nową, bez wątpienia nieszczerą perswazją, w jego głosie słyhać było większe napięcie. W końcu wybuchnął: ty mały, zgniły palancie! Znajdę cię. Rozwalę ci twój pieprzony łeb, ty mały sukinsynu! Ty zdrajco!

Cisza.

Wiatr, oczywiście.

I świerszcze, i ropuchy.

Ale ani słowa, które wykrzyczałby Roy.

Ta martwota była denerwująca. Colin wolałby słyszeć, jak Roy przeklina, wyje i tłucze się po złomowisku szukając go, ponieważ wtedy wiedziałby, gdzie znajduje się jego przeciwnik.

Gdy tak nasłuchiwał, ten mdło - słodki odór stawał się coraz silniejszy i Colin znalazł wreszcie makabryczne wyjaśnienie. Chevrolet został rozbity w koszmarnym wypadku; siła uderzenia wgniotła przednie drzwi jedno do środka, drugie na zewnątrz; kierownica pękła na dwie części, pozostało jedynie półkole o zastrzonych końcach. Być może (teoretyzował Colin) kierowca stracił w wypadku dłoń. Być może ta obcięta dłoń spadła na podłogę. Być może dostała się w jakiś sposób pod siedzenie, w jakiś ciemny kąt, skąd nie można jej było wydobyć, czy nawet zauważyć. Może załoga karetki szukała obciętej kończyny, ale nie znalazła jej. Wrak samochodu zaciągnięto na złomowisko Pustelnika Hobsona i dłoń zaczęła

usychać i gnić. I wtedy... wtedy... o Boże, i wtedy stało się tak jak w opowiadaniu Henry'ego, w którym skrwawiona szmata wpadła za kaloryfer i dzięki wyjątkowym warunkom chemicznym i temperaturze zaczęła żyć własnym życiem. Colinem wstrząsnął dreszcz. Tak właśnie było. Czuł to. Wiedział to. Dłoń zaczęła się rozkładać, ale wówczas połączenie gorącego i wyjątkowego składu chemicznego brudu pod siedzeniem wywołało niewiarygodną, złośliwą zmianę w martwej tkance. Proces rozkładu został wstrzymany, choć nie odwrócony, i dłoń została obdarzona swoistą formą życia, złośliwego półżycia. A teraz, właśnie w tej chwili, Colin leżał w tym samochodzie, w ciemności, sam z tą przeklętą dłonią. Ona wiedziała, że on tu jest. Nie mogła widzieć czy czuć, ale wiedziała. Upstrzona brązowymi, zielonymi i czarnymi plamami, oślizła, pokryta ropiejącymi wrzodami, musiała właśnie wydostać się spod siedzenia i pełzła po podłodze. Gdyby sięgnął ręką niżej, znalazłby ją, a ona chwyciłaby jego. Jej zimne palce zacisnęłyby się na jego dłoni jak stalowe szczypce i...

Nie, nie, nie! Muszę z tym skończyć - powiedział sobie Colin. - Co się ze mną dzieje?

Gdzieś na zewnątrz czaił się Roy, polując na niego. Musi nasłuchiwać i musi być gotowy. Musi się skoncentrować. To Roy był realnym zagrożeniem, a nie jakaś obcięta ręka. Jak gdyby na potwierdzenie tej rady, jaką Colin dał samemu sobie, dobiegły go jakieś odgłosy. To był Roy. Niezbyt daleko trzasnęły drzwi jakiegoś samochodu. W chwilę później skrzypnęły następne. Po kilku sekundach - szcęk zardzewiałego metalu zatraskiwanych drzwi.

Roy przeszukiwał samochody.

Colin wyprostował się i przekrzywił głowę.

Otworzyły się kolejne drzwi z głośnym protestem.

Colin nic nie widział przez otwór po wybitej szybie.

Czuł się jak w klatce.

Uwięziony.

Trzask następnych drzwi.

Ogarnięty paniką, Colin przesunął się w lewo, ześliznął się z tylnego siedzenia, wychylił poza przednie i wystawił głowę przez okno po stronie kierowcy. Świeże powietrze, które poczuł na twarzy, było chłodne i nawet tu, w głębi lądu, pachniało morzem. Jego oczy przywykły do ciemności, a częściowo przesłonięty księżyc pozwalał widzieć na odległość osiemdziesięciu czy stu stóp.

Roy był cieniem wśród cieni, ledwie widocznym, oddalonym o cztery wraki od chevroleta, w którym schował się Colin. Otworzył drzwi następnego samochodu, wsadził do środka głowę, po chwili wysunął ją i zatrzasnął drzwi. Ruszył w stronę następnego wozu, coraz bliżej chevroleta.

Colin wrócił na tylne siedzenie i szybko przesunął się w prawo, ku drzwiom. Z lewej strony nadchodził Roy.

Kolejne drzwi zamknęły się z trzaskiem: brzdęk!

Roy był tylko dwa wozy dalej.

Colin chwycił klamkę i uświadomił sobie, że nie wie, czy drzwi po prawej stronie można otworzyć. Dotychczas korzystał tylko z tych po lewej. Co się stanie, jeśli okażą się zakleszczone i zamiast się otworzyć, narobią mnóstwo hałasu? Roy zjawi się w oka mgnieniu i uwięzi go na dobre.

Colin zawahał się, oblizał wargi.

Czuł się tak, jakby za chwilę miał się zsiusiać.

Ścisnął nogi.

To uczucie nasilało się: ciepły ból w lędźwiach.



Proszę, Boże, nie każ mi siusiac - myślał. - Nie tutaj. Nie teraz. To nie jest właściwe miejsce na takie rzeczy.

Brzdęk.

Roy był w sąsiednim wozie.

Nie było czasu martwić się tym, czy drzwi po prawej stronie otworzą się, czy też nie.

Nie miał wyboru. Musiał spróbować i liczyć na szczęście. Pociągnął za klamkę. Poruszyła się.

Wziął głęboki oddech, niemal zakrztusił się stęchłym powietrzem i otworzył drzwi jednym gwałtownym pchnięciem. Skrzywił się, słysząc głośny zgrzyt, ale dziękował Bogu, że drzwi się otworzyły.

W szaleńczym pośpiechu, niezgrabnie, wydostał się z chevroleta, nie dbając już o to, czy Colin go usłyszy, skoro wcześniej zdradziły go drzwi. Zrobił dwa kroki, potknął się o tłumik, upadł na kolana, znów się podniósł, i dał nura w ciemność.

- Hej! - krzyknął Roy z drugiej strony samochodu. Niespodziewany, gwałtowny ruch zaskoczył go. - Hej, poczekaj chwilę!

Biegając na ile starczyło mu sił, Colin w ostatniej chwili dostrzegł oponę na swej drodze. Przeskoczył ją, ominął stertę zderzaków i gnał dalej przez wysoką trawę. Skręcił w lewo, okrążając rozbitą furgonetkę dodge'a ustawioną na kołkach. Po krótkim wahaniu i szybkim spojrzeniu za siebie, rzucił się na ziemię i wczołgał pod samochód.

Gdy Colin zniknął z pola widzenia, Roy obszedł maskę furgonetki i zatrzymał się, rozglądając na boki. Gdy się zorientował, że uliczka labiryntu jest pusta, splunął na ziemię.

- Cholera.

Noc była bardzo ciemna, ale Colin widział ze swej kryjówki białe tenisówki Roya.

Leżał na brzuchu, z głową zwróconą w lewo, z prawym policzkiem przyciśniętym do ziemi; Roy znajdował się w odległości nie większej niż jard. Colin mógłby go chwycić za kostkę i przewrócić, ale co potem?

Po chwili zastanowienia Roy otworzył drzwi po stronie kierowcy. Gdy zobaczył, że nikogo tam nie ma, zatrzasnął je i przeszedł na tył samochodu.

Colin oddychał płytko przez usta i żałował, że nie może uciszyć łomotu serca. Gdyby zdradził go jakikolwiek hałas, oznaczałoby to śmierć. Roy otworzył jedno ze skrzydeł tylnych drzwi furgonetki. Gdy zajrzał do części bagażowej, uznał zapewne, że nie jest w stanie dostrzec każdego zakamarka, gdyż otworzył również drugie skrzydło i wdrapał się do środka. Colin słyszał, jak Roy penetruje zacienione miejsca w metalowej skrzyni. Zastanawiał się, czy nie wypełznąć spod samochodu i nie przeczołgać się cicho do innej kryjówki, ale podejrzewał, że nie ma dość czasu, by zrobić to niezauważenie.

Gdy Colin oceniał swe szansę, Roy wyszedł z samochodu i zamknął drzwi. Okazja do ucieczki, jeśli w ogóle istniała, została zaprzepaszczona.

Colin przekręcił się minimalnie i spojrzał przez ramię. Zobaczył białe tenisówki i

modlił się, by Royowi nie przyszło do głowy sprawdzić wąskiej przestrzeni pod wozem.

Wydawało się niewiarygodne, ale jego modlitwy zostały wysłuchane. Roy skierował się w stronę maski samochodu, przystanął, zdawał się rozglądać i zastanawiać: - gdzie, u licha...? - Stał tam przez chwilę, bębniąc palcami o karoserię, po czym zaczął oddalać się w kierunku północnym i Colin nie mógł już dojrzeć jego butów i usłyszeć kroków.

Leżał nieruchomo przez dłuższy czas. Odważył się oddychać normalnie, ale wciąż uważał, że najrozsądniej będzie zachowywać się jak najciszej.

Jego sytuacja poprawiła się przynajmniej pod jednym względem: powietrze krążące pod samochodem nie było tak cuchnące jak w chevrolecie. Czuł zapach polnych kwiatów, drażniącą woń nawłoci i duszący aromat wyschniętej trawy.

Drażniło go w nosie. Łaskotało.

Stwierdził ku swemu przerażeniu, że za chwilę kichnie. Przyłożył rękę do twarzy, ścisnął nos palcami, ale nie mógł zapobiec nieuniknionemu. Stłumił odgłos kichnięcia, jak tylko potrafił, i przerażony czekał, aż zostanie odkryty.

Ale Roy nie wrócił. Najwidoczniej był na tyle daleko, by nie słyszeć niczego.

Colin spędził pod wrakiem kilka następnych minut, po prostu dla spokoju sumienia.

Chciał się upewnić, że naprawdę nic mu nie grozi, po czym wypełznął spod samochodu. Roya nigdzie nie było widać, ale mógł czekać przyczajony w którymś z tysięcy zakamarków, gotów do ataku.

Colin przekradał się ostrożnie przez metalowe cmentarzysko. Pokonywał otwartą przestrzeń na przygiętych kolanach, po czym przystawał w cieniu wraków, by sprawdzić, czy następny odcinek odsłoniętego terenu jest bezpieczny, i znów ruszał do przodu. Gdy od wozu, przy którym po raz ostatni widział Roya, dzieliło go pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt jardów, skręcił na północ, w stronę chaty Pustelnika Hobsona.

Jeśli udałooby mu się dotrzeć do rowerów, a Roy szukałby go w innym miejscu, to miałby szansę uciec. Uszkodziłby rower Roya - zgiął koło czy coś w tym rodzaju - po czym uciekłby na swoim, pewny, że nikt go nie ściga.

Dotarł do granicy złomowiska i przycisnął się do rozbitego kombi, wpatrując się w głębokie połacie cienia na tyłach chaty Pustelnika Hobsona. Zobaczył rowery u stóp zapadniętych schodów ganku, leżące obok siebie, w miejscu, gdzie trawa była krótka i wciąż trochę zielona, ale nie ruszył tam od razu. Roy mógł się spodziewać, że Colin wróci właśnie tutaj; mógł już ukrywać się w tych cieniach, sprężony, gotów do uderzenia. Colin wpatrywał się intensywnie w każde podejrzenie wyglądające miejsce, szukając wzrokiem jakiegoś niepokojącego ruchu czy kształtu, które rozjaśniała księżycowa poświata. Z czasem zdołał sprawdzić wszystkie ciemne zakątki i doszedł do wniosku, że w okolicy nie ma żywej duszy. Ale w kilku miejscach noc zdawała się wzbierać jak muł rzeczny - ludzkie oko nie mogło przeniknąć tej czerni.

W końcu powziął decyzję. Wstał, otarł pot z czoła i wkroczył na odsłonięty pas ziemi o szerokości dwudziestu jardów, ciągnący się od złomowiska do chaty. Nic nie poruszyło się w ciemności. Najpierw posuwał się powoli, potem coraz śmielej, a ostatnie dziesięć jardów pokonał biegiem.

Roy spiął rowery ze sobą. Łańcuchem zamykanym na kłódkę połączył koło swojego roweru z kołem roweru Colina.

Colin ciągnął za łańcuch i szarpał wściekle kłódkę, ale jego wysiłek nie zdał się na nic, zamek był solidny. Nie znał szyfru, jakim otwierało się kłódkę; rozdzielenie rowerów wydawało się więc niemożliwe. Nie mógł użyć ich jako tandemu, nawet gdyby łańcuch był dostatecznie luźny, by mógł je postawić na kołach i wprawić jednocześnie w ruch.

Zawiedziony, pomknął z powrotem w stronę kombi, by obmyśleć inne warianty

działania. W zasadzie miał tylko dwie możliwości.

Mógł spróbować dostać się do domu na piechotę - albo dalej bawić się z Royem w kotka i myszkę w nie kończących się zakamarkach złomowiska.

Wolał pozostać tam, gdzie był. Argumentem było głównie to, że dotąd zdołał przeżyć.

Jeśli będzie siedział tu dostatecznie długo, matka zgłosi jego zaginięcie. Mogła nie pojawić się w domu przed pierwszą czy drugą, a teraz musiało być już po północy. Wyświetlił godzinę na swoim zegarku elektronicznym i ze zdumieniem stwierdził, że jest wcześniej - za kwadrans dziesiąta. Mógłby przysiąc, że jest tu od przynajmniej trzech czy czterech godzin. A może Weezy wróci do domu wcześniej. I kiedy Colin nie pojawi się do północy, zadzwoni do rodziców Roya i dowie się, że ich syna też nie ma. Najpóźniej o pierwszej zawiadomi gliny. Policjanci ruszą na poszukiwania od razu - zgoda, ale gdzie zaczną? Przecież nie na złomowisku. W mieście. I na plaży. Potem na pobliskich wzgórzach. Dotrą na złomowisko Pustelnika Hobsona następnego dnia późnym popołudniem, może nawet w czwartek albo w piątek. Bez względu na to, jak bardzo pragnął tu pozostać i znaleźć kryjówkę na tym pełnym złomu wzgórzu, wiedział jednak, że nie zdoła uciekać przed Royem czterdzieści osiem, trzydzieści sześć czy nawet dwadzieścia cztery godziny. Miałby cholerne szczęście, gdyby udało mu się doczekać świtu.

Będzie musiał wrócić do domu na piechotę. Nie tą trasą, naturalnie, którą tu dotarli, jeśli Roy się zorientuje, że Colin zdołał opuścić złomowisko - wyruszy na jego poszukiwania. Istniałoby więc niebezpieczeństwo, że spotkają się na jakimś pustym odcinku drogi. Rower, jadący po utwardzonej nawierzchni, był prawie bezgłośny, i Colin bał się, że w porę nie usłyszy Roya i nie zdoła się ukryć. Będzie musiał zejść w dół, do toru kolejowego, a następnie, posuwając się wzdłuż szyn, dotrzeć do wyschniętego koryta odnogi rzecznej, niedaleko Ranch Road, a stamtąd do Santa Leona. Taka trasa byłaby znacznie trudniejsza niż

ta uczęszczana, zwłaszcza w ciemności, ale dystans dzielący go od miasta skracał się w ten sposób z ośmiu mil do siedmiu czy nawet sześciu.

Colin uświadamiał sobie z bólem, że jego postępowaniem kieruje wyłącznie tchórzostwo. Chować się. Uciekać. Chować się. Uciekać. Zdawało mu się, że nie potrafi znaleźć żadnej strategii, by działać skutecznie. Czuł się żałośnie bezradny.

*Więc pozostań tu. Spróbuj stawić Royowi czoło.*

*Marne szanse.*

*Nie uciekaj. Atakuj.*

*To przyjemna fantazja, ale to niemożliwe.*

*Wcale nie. Bądź napastnikiem. Zaskocz go.*

*Jest szybszy i silniejszy ode mnie.*

*Więc działaj przebiegle. Zastaw pułapkę.*

*Jest zbyt sprytny, by się nabrać.*

*Skąd wiesz, skoro nie próbowałeś?*

*Wiem.*

*Skąd?*

*Bo ja to ja. A on to Roy.*

Colin szybko przerwał ten wewnętrzny monolog, bo wiedział, że to tylko strata czasu.

Aż za dobrze rozumiał samego siebie. Po prostu nie miał w sobie siły czy woli, by przejść wewnętrzną przemianę. Zanim spróbowałby się zamienić w kota, musiałby być absolutnie przekonany, że dalsze występowanie w roli myszy nie przyniesie żadnych korzyści.

Była to jedna z tych ponurych i zbyt częstych chwil, gdy sam sobą pogardzał.

Zatrzymując się co kilka jardów, by zbadać teren, na który zamierzał wkroczyć, Colin posuwał się od jednego wozu do drugiego. Zmierzał uparcie w stronę miejsca, w którym Roy

próbował zepchnąć pick - upa, stamtąd mógł bowiem najłatwiej dotrzeć do toru kolejowego.

Noc była zbyt cicha. Szelest jego butów w sterczącej trawie przypominał grzmot i Colinowi zdawało się, że w nieunikniony sposób ściąga na siebie uwagę Roya. W końcu zdołał jednak dotrzeć do drugiego krańca złomowiska.

Miał przed sobą otwartą przestrzeń między ostatnimi wrakami a krawędzią wzgórza, o szerokości mniej więcej czterdziestu stóp. Choć teraz wydawało mu się, że ten odcinek ciągnie się przez całą milę. Księżyc świecił bezlitośnie i połać trawy była skąpana w mlecznym blasku, jakby oświetlały ją reflektory. Jeśli Roy obserwuje ten obszar, zauważy Colina, zanim ten zdołała pokonać jedną czwartą dystansu. Na szczęście, w ciągu ostatniej godziny, od strony oceanu napłynęły rozproszone, ale gęste masy chmur. Gdy ich zbite kłęby przykrywały swym całunem księżyc, ziemię ogarniała ciemność, która stanowiła doskonałą osłonę. Colin czekał na jedną z owych krótkich chwil zaćmienia. Gdy szeroki pas trawy zniknął pod płaszczem cienia, ruszył do przodu najciszej, jak było to możliwe - biegnąc na palcach i wstrzymując oddech, w stronę krawędzi i jeszcze dalej. Zbocze było pochyłe, ale nie na tyle, by nie dało się z niego zejść. Posuwał się w dół bardzo szybko, ponieważ nie było innego sposobu; siła grawitacji okazała się nie do pokonania. Przeskakiwał z jednej nogi na drugą, nie panując nad swoim ciałem, sadząc ogromnymi, niezgrabnymi susami, i gdy dotarł do połowy zbocza, stwierdził, że zaczyna zjeżdżać w dół. Sucha, piaszczysta gleba usuwała się spod nóg. Przez chwilę jechał niby na fali, ale potem stracił równowagę, upadł i ostatnie dwadzieścia stóp po prostu się przetoczył. Zatrzymał się w chmurze pyłu, leżąc płasko na plecach, z ręką przerzuconą przez szyny.

Głupi. Głupi i niezgrabny. Głupi i niezgrabny idiota.

Rany.

Leżał nieruchomo przez kilka sekund, trochę oszołomiony, ale i zdziwiony, że nic go

nie boli. Jego duma była oczywiście zraniona, ale nic więcej.

Kurz zaczął opadać.

Gdy Colin już siadał, do jego uszu dotarło wołanie Roya”

- Bracie krwi?

Potrząsnął z niedowierzaniem głową i spojrzał w lewo, potem w prawo, wreszcie w górę.

- Bracie krwi, to ty?

Za chmur wypłynął księżyc.

Colin ujrzał Roya, który stał na szczycie wysokiego wzgórza, na tle nieba, w bladym świetle, i spoglądał w dół.

Nie widzi mnie - powiedział sobie Colin. - A przynajmniej nie widzi mnie tak wyraźnie, jak ja jego. Stoi tam, w górze, mając za plecami niebo; a ja chowam się tu, w ciemności.

- To jesteś ty - stwierdził Roy. Runął pędem w dół zbocza.

Colin wstał, potknął się o szyny i popędził w stronę nieużytków, które ciągnęły się za torem kolejowym.



Gdy biegł przez pole, czuł się zupełnie bezbronny. Tam gdzie docierał blask księżyca, nie było dla niego żadnej osłony, żadnego miejsca, w którym mógłby się schować. Przyszła mu do głowy szalona myśl, że w każdej chwili może go przykryć gigantyczna stopa, gniotąc jak karalucha, który przemierza rozległą przestrzeń kuchennej podłogi.

W czasie sztormowej pogody deszcze nawadniały wzgórza, a potem strugi wody spływały ze zboczy do naturalnych kanałów odpływowych, które przecinały płaski teren na zachód od torów kolejowych. Przynajmniej raz w ciągu zimy potoki wylewały i równina zamieniała się w jezioro, które stanowiło część systemu retencyjnego opracowanego w ramach krajowego projektu antypowodziowego. Ponieważ ziemia znajdowała się pod wodą przeciętnie przez dwa miesiące każdej zimy, nawet latem nie była bogata w roślinność. Rosły tam połacie trawy słabo zakorzenionej w mule rzecznym, zagony kwiatów polnych, które kwitły niemal w każdym zakątku Kalifornii i kolczaste krzewy, jesienią odrywające się od podłoża i unoszone przez wiatr. Nie było w ogóle drzew, poszycia czy zarośli, w których Colin mógłby się ukryć.

Opuścił ten nagi teren, zeskakując do niedużego rowu. Miał od piętnastu do dwudziestu stóp szerokości i ponad siedem głębokości, a jego ściany były niemal pionowe. W czasie zimowych burz zamieniał się w rwącą rzekę - dziką, błotnistą i niebezpieczną, ale teraz nie było w nim kropli wody. Colin ruszył natychmiast biegiem, czując, jak jego łydki i bok przeszywa ból, a płuca płoną. Gdy dotarł do szerokiego zakrętu, spojrzął za siebie, pierwszy raz od chwili przejścia przez tory. O ile się zdołał zorientować, Roy nie zszedł jeszcze do rowu, by go ścigać. Był zaskoczony, że ma tak znaczną przewagę i zastanawiał się, czy to możliwe, by Roy nie widział, w którą stronę uciekł.

Szukając schronienia, wbiegł do mniejszej odnogi, która wychodziła z głównego

kanalu. U wylotu miała dziesięć stóp szerokości, ale potem ściany zbliżały się do siebie coraz bardziej, w miarę jak Colin posuwał się do przodu. Dno podnosiło się coraz wyżej, aż głębokość tej odnogi zmniejszyła się z siedmiu stóp do pięciu. Gdy pokonał niecałe sto jardów, korytarz zwęził się do szerokości sześciu stóp. Gdyby Colin się wyprostował, jego głowa wystawałaby ponad poziom terenu. W tym miejscu kanał dzielił się na dwa krótkie, ślepe korytarze, które wcinały się w grunt na głębokość czterech stóp. Wszedł do jednej z tych uliczek - pułapek, wcisnął się w nią, wbijając się ramionami w piaszczyste ściany. Usiadł, podciągnął kolana do brody, otoczył nogi rękoma i starał się być niewidoczny.

*Grzechotniki.*

*O rany.*

*Lepiej o tym pomyśl.*

*Nie.*

*To kraina grzechotników.*

*Zamknij się.*

*Naprawdę.*

*Nie wychodzą w nocy.*

*Najgorsze stwory zawsze wychodzą w nocy.*

*Nie grzechotniki.*

*Skąd wiesz?*

*Czytałem w książce.*

*Jakiej książki?*

*Nie mogę przypomnieć sobie tytułu.*

*Nie było żadnej książki.*

*Zamknij się.*

*Grzechotniki są wszędzie.*

*Rany!*

Przykucnął w kurzu, nasłuchując grzechotników i czekając na Roya. Upłynęło sporo czasu i nikt go nie zaatakował. Co kilka minut patrzył na swój zegarek i po półgodzinie zdecydował, że powinien wydostać się z rowu. Gdyby Roy przez cały ten czas przeszukiwał kanały, to w końcu zbliżyłby się na tyle blisko, że Colin wyczułby jego obecność - lecz panowała niezmacona cisza. Najwidoczniej Roy zrezygnował z pościgu, może dlatego, że zgubił w ciemności trop Colina i teraz nie wiedział, w którym kierunku udał się jego przeciwnik i nie był pewien, gdzie go szukać. Jeśli w istocie tak było, to znaczyło niewiarygodne wprost szczęście. Lecz Colin czuł, że wyzywałby Los, gdyby został na dłużej w tej jaskini jadowitych węży, licząc na ich łaskawość.

Wyczołgał się z rowu, wstał i rozejrzał się wokół. Nie dostrzegł jednak Roya.

Z największą ostrożnością, zatrzymując się co chwilę, by nasłuchiwać odgłosów nocy, Colin skierował się na południowy wschód. Co pewien czas, kątem oka, dostrzegał jakiś ruch - ale zawsze okazywało się, że to tylko kłęb wyschniętych krzewów, pędzonych przez wiatr.

W końcu pokonał płaski teren i ponownie dotarł do torów kolejowych. Znajdował się ćwierć mili na południe od złomowiska i szybko zwiększał odległość dzielącą go od siedziby Pustelnika Hobsona.

Godzinę później, gdy dotarł do skrzyżowania torów z Santa Leona Road, był straszliwie zmęczony. Zaszło mu w ustach. Bolały go plecy. Mięśnie nóg były nadwerężone i pulsowały.

Zastanawiał się, czy nie dojść do miasta szosą. To była kusząca perspektywa: prosta i bezpośrednia droga, bez dziur, rowów czy pułapek ukrytych w cieniach. Już i tak udało mu się maksymalnie skrócić trasę, posuwając się polami. Od tej chwili unikanie uczęszczanych

dróg przedłużyłoby tylko wędrówkę.

Zrobił kilka kroków po asfaltowej nawierzchni, gdy znów sobie uświadomił, że nie ma odwagi iść dalej. Roy dopadnie go tutaj, zanim zdoła dotrzeć do granic miasta, gdzie w obecności ludzi i przy dobrym oświetleniu trudniej dokonać zbrodni niż w opustoszałej okolicy.

*Autostop.*

*Nic nie jeździ o tej porze.*

*Ktoś będzie przejeżdżał.*

*Tak. Może Roy.*

Porzucił Santa Leona Road. Skierował się na południowy zachód od linii kolejowej, przemierzając obszar porośnięty niską, suchą roślinnością.

Nie przeszedł nawet pół mili, gdy dotarł do suchego kanału, który biegł wzdłuż Ranch Road. Był głęboki i szeroki, a jego ściany nie były ziemne, lecz betonowe. Zszedł na dół po jednej z drabinek, porozwieszanych w równych odstępach, i gdy stanął na dnie kanału, krawędź znajdowała się dwadzieścia stóp nad jego głową.

Dwie mile dalej, w samym sercu miasta, wspiął się po następnej drabince na górę i przeszedł przez balustradę. Znalazł się na chodniku przy Broadway.

Choć zbliżała się pierwsza w nocy, na ulicy było wciąż widać ludzi - w przejeżdżających samochodach; w czynnej całą noc restauracji; na stacji benzynowej. Jakiś starszy człowiek szedł pod rękę z siwowłosą kobietą o dziecięcej twarzy, a młoda para spacerowała wzdłuż sklepów, oglądając wystawy.

Colin pragnął podbiec do najbliższego człowieka i jednym tchem zdradzić swój sekret, historię obłądu Roya. Ale wiedział, że wzięliby go za wariata. Nie znali go, nie znali też Roya. A ta opowieść była przecież bezsensowna... Nawet gdyby zrozumieli i uwierzyli, to i

tak nie mogliby mu pomóc.

Jego pierwszym sprzymierzeńcem powinna być matka. Gdy dowie się o wszystkim, zadzwoni na policję, a ta na jej wezwanie zareaguje szybciej i pewniej niż na wezwanie czternastoletniego chłopca. Musi więc dostać się do domu i opowiedzieć o wszystkim Weezy. Pobiegnął wzdłuż Broadway w stronę Adams Avenue, ale po kilku zaledwie krokach przystanął, ponieważ uświadomił sobie nagle, że ten ostatni odcinek swej wędrówki musi pokonać z taką samą ostrożnością jak poprzednie. Roy mógł zastawić na niego pułapkę pod samymi drzwiami domu. Był niemal pewien, że tak się właśnie stanie. Najprawdopodobniej gdzieś się zaczął i teraz na niego czeka. Kawałek dalej znajdował się niewielki park pełen dogodnych miejsc, z których Roy mógł obserwować całą ulicę. Gdy ujrzy Colina zbliżającego się do domu, ruszy do ataku, i to bardzo szybko. Przez mgnienie oka, jakby obdarzony zdolnością jasnowidzenia, Colin ujrział samego siebie, jak leży na ziemi, porzucony w kałuży krwi i objęciach bólu, konający o krok od schronienia, na progu sanktuarium.

Stał na środku chodnika, trzęsąc się.

Stał tak przez dłuższą chwilę.

*Musisz się ruszyć, dzieciaku.*

*Dokąd?*

*Zadzwoń do Weezy. Poproś ją, żeby po ciebie przyszła.*

*Powie mi, żebym sam przyszedł. To tylko kilka przecznic.*

*Więc powiedz jej, dlaczego nie możesz iść.*

*Nie przez telefon.*

*Powiedz jej, że tam jest Roy, który czeka na okazję, by cię zabić.*

*Nie potrafię tego powiedzieć przez telefon.*

*Potrafisz.*

*Nie. Muszę tam być, kiedy będę jej to mówił. W przeciwnym razie to nie zabrzmi dobrze i ona pomyśli, że to żart. Będzie wściekła.*

*Musisz spróbować powiedzieć to przez telefon, żeby mogła cię stąd zabrać. Wtedy dotrzesz bezpiecznie do domu.*

*Nie mogę zrobić tego przez telefon.*

*Jaki masz wybór?*

Wrócił w końcu na stację benzynową obok wyschniętego kanału. Była tam budka telefoniczna. Wykręcił numer i słuchał sygnału, który rozległ się kilkanaście razy.

Nie było jej jeszcze w domu.

Colin trzasnął słuchawką i wyszedł z budki, zapominając o nie wykorzystanej monecie.

Stał na chodniku, z pięściami przy bokach, zgarbiony. Pragnął rozgnieść coś na miazgę.

*Suka.*

*Jest twoją matką.*

*Gdzie ona się, do cholery, podziewa?*

*Interesy.*

*Co robi?*

*Interesy.*

*Z kim jest?*

*To tylko interesy.*

*Akurat.*

Pracownik stacji kończył pracę. Rząd migoczących neonówek powoli gasł.

Colin posuwał się na zachód, przez centrum handlowe, po prostu zabijając czas.

Zaglądał w okna wystawowe, ale niczego nie widział.

Wrócił do budki dziesięć po pierwszej. Wykręcił numer domowy, odczekał piętnaście sygnałów i odłożył słuchawkę.

*Interesy to jej dupa.*

*Ciężko pracuje.*

*Nad czym?*

Stał przez kilka minut, z ręką na słuchawce, jakby czekając na telefon.

*Pieprzy się na okrągło.*

*To interesy. Kolacja w interesach.*

*O tej porze?*

*Późna, bardzo późna kolacja.*

Spróbował jeszcze raz.

Nikt nie podniósł słuchawki.

Usiadł na podłodze budki, w ciemności, i objął się ramionami.

*Pieprzy się, kiedy jej potrzebuję.*

*Nie wiesz na pewno.*

*Wiem.*

*Nie możesz wiedzieć.*

*Spójrz prawdzie w oczy. Pieprzy się jak wszyscy.*

*Teraz mówisz jak Roy.*

*Czasem Roy ma rację.*

*Jest szalony.*

*Może nie pod każdym względem.*

O wpół do drugiej wstał, wsunął monetę do automatu i znów zadzwonił do domu.

Sygnał odezwał się dwadzieścia dwa razy, zanim Colin odłożył słuchawkę.

Może teraz powrót do domu będzie bezpieczniejszy? Czyż nie było już zbyt późno, by Roy ciągle stał na czatach? Był mordercą, ale był także czternastolatkiem, nie mógł przebywać poza domem całą noc. Jego starzy chyba zaczęliby się niepokoić. Może nawet wezwaliby policję. Roy narobiłby sobie niezłych kłopotów, gdyby nie wrócił na noc do domu. Może tak. A może nie.

Colin wcale nie był pewien, czy Bordenów tak naprawdę obchodzi, co dzieje się z Royem. O ile się orientował, rodzice niczego od syna nie żądali, z wyjątkiem tego, by trzymał się z dala od kolejki elektrycznej. Roy robił to, co chciał i kiedy chciał. Było coś nie w porządku z tą rodziną. Ich wzajemne stosunki były dziwnie nieokreślone. Nie istniała tam tradycyjna relacja rodzice - dziecko. Colin widział panią i pana Bordenów tylko dwa razy. Ale to wystarczyło, by wyczuł w nich jakąś wzajemną obcość. Matka, ojciec i syn wydawali się nieznajomymi. Ich rozmowy naznaczone były dziwną sztywnością, jak gdyby recytowali zdania ze scenariusza, którego nie nauczyli się zbyt dobrze. Byli tacy oficjalni. Wydawało się niemal, że... boją się siebie nawzajem. Colin nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał, lecz teraz zdał sobie sprawę, że Bordenowie przypominali ludzi, którzy zatrzymali się na jakiś czas w pensjonacie - uśmiechają się i pozdrawiają na korytarzu czy w kuchni, gdy spotkają się przypadkowo, ale poza tym wiodą całkiem osobne życie. Nie wiedział, dlaczego taka była prawda o tej rodzinie. Coś musiało się stać, coś, co odsunęło tych ludzi od siebie. Nie potrafił powiedzieć, co to było. Ale był przekonany, że państwo Bordenowie nie przejęliby się zbyt, gdyby Roy pozostał poza domem aż do świtu, czy nawet zniknął na zawsze.

A zatem powrót do domu wcale nie był taki bezpieczny. Roy mógł jednak czekać na niego.



Colin znów wykręcił numer i ze zdziwieniem stwierdził, że matka podniosła

słuchawkę już po drugim sygnale.

- Mamo, musisz po mnie przyjechać.

- Kapitanie?

- Będę czekał przy...

- Myślałam, że jesteś na górze i śpisz.

- Nie. Jestem przy...

- Dopiero co wróciłam. Myślałam, że jesteś w domu. Co robisz o tej godzinie na dworze?

- To nie moja wina. Ja tylko...

- O mój Boże, czy miałeś wypadek?

- Nie, mam tylko kilka zadrapań i sińców. Potrzebuję...

- Co ci się stało? Czy coś ci się przytrafiło?

- Gdybyś się przymknęła i posłuchała, tobyś się dowiedziała - powiedział

niecierpliwie Colin.

Zatkało ją.

- Nie pyskuj. Żebyś mi się nie ważył.

- Potrzebuję pomocy.

- Co?

- Musisz mi pomóc.

- Masz kłopoty?

- I to poważne.

- Coś ty, u diabła, zrobił?

- Nie chodzi o to, co zrobiłem. Chodzi o...

- Gdzie jesteś?
- Jestem przy...
- Aresztowano cię?
- Co?
- Czy chodzi o takie kłopoty?
- Nie, nie. Ja...
- Jesteś na policji?
- Nic z tych rzeczy. Ja...
- Gdzie jesteś?
- Obok restauracji, na Broadway.
- Coś ty nabroił w tej restauracji?
- To nie to. Ja...
- Poproś kogoś do telefonu.
- Kogo? O co ci chodzi?
- Poproś kelnerkę albo kogokolwiek.
- Nie jestem w restauracji.
- Gdzie, u diabła, jesteś?
- W budce telefonicznej.
- Colin, co się z tobą dzieje?
- Czekam, aż po mnie przyjedziesz.
- Jesteś tylko kilka przecznic od domu.
- Nie mogę wracać. On gdzieś na mnie czeka.
- Kto?
- Chce mnie zabić.

Chwila ciszy.

- Colin, wracaj prosto do domu.
- Nie mogę.
- Natychmiast. Mówię poważnie.
- Nie mogę.
- Zaczynam tracić cierpliwość, młody człowieku.
- Roy próbował mnie zabić dziś wieczór. Chowa się gdzieś i czeka na mnie.
- To nie jest śmieszne.
- Nie żartuję!

Znów cisza.

- Colin, zażywałeś coś?
- Co?
- Czy zażywałeś jakieś pigułki czy coś w tym rodzaju?
- Narkotyki?
- Zażywałeś?
- Rany.
- Zażywałeś?
- Skąd bym wziął narkotyki?
- Wiem, że wy, dzieciaki, potraficie je zdobyć. Równie łatwo jak aspirynę.
- Rany.
- To teraz ogromny problem. Czy o to chodzi? Czy jesteś na haju i masz problemy z powrotem na ziemię?
- Ja? Naprawdę uważasz, że ten problem dotyczy mnie?
- Jeśli połykałeś jakieś prochy...

- Jeśli tak naprawdę uważasz...

- ...albo jeśli piłeś...

- ...to w ogóle mnie nie znasz.

- ...mieszając wodę z prochami...

- Jeśli chcesz się o tym dowiedzieć - powiedział ostro Colin - to musisz wsiąść w samochód i zabrać mnie stąd.

- Nie mów do mnie takim tonem.

- Jeśli nie przyjedziesz - powiedział - to chyba tu zdechnę.

Walnął słuchawką o widełki i wyszedł z budki.

- Cholera!

Kopnął pustą puszkę, która leżała przy krawężniku. Potoczyła się z brzękiem na drugą stronę ulicy.

Poszedł w stronę restauracji, stanął tuż przy jezdni, patrząc w kierunku wschodnim, gdzie zza rogu powinna wyłonić się Weezy, gdyby zadała sobie trud i przyjechała po niego.

Trząśł się bezwiednie ze złości i strachu.

Czuł jeszcze coś, coś ciemnego i niszczącego, coś bardziej niepokojącego niż gniew i bardziej obezwładniającego niż strach. Przypominało straszliwą samotność, lecz było od niej o wiele gorsze. Było to podejrzenie - nie, raczej przekonanie - że go porzucono, zapomniano, i że nigdy nikomu na nim nie zależało i już nigdy nie będzie zależeć, i że nikt nigdy nie dowie się, jaki był naprawdę i jakie były jego marzenia. Nie należał do nikogo i był istotą zupełnie inną niż wszyscy ludzie, był obiektem pogardy i szyderstwa, outsiderem, znieawidzonym i wyśmiewanym w skrytości ducha przez wszystkich, którzy go spotykali na swej drodze, nawet przez tych nielicznych, którzy go rzekomo kochali.

Czuł się tak, jakby miał za chwilę zwymiotować.

W pięć minut później podjechała niebieskim cadillakiem. Przechyliła się w bok i otworzyła drzwi po stronie pasażera.

Kiedy ją zobaczył, przestał nad sobą panować. Po twarzy popłynęły mu łzy. Zanim wsiadł do samochodu i zamknął za sobą drzwi, płakał jak dziecko.

Nie uwierzyła mu. Nie chciała wezwać policji i nie miała zamiaru niepokoić Bordenów, dzwoniąc o tak późnej porze.

Następnego ranka, o pół do dziesiątej, rozmawiała z Royem przez telefon. Potem z jego matką. Zależało jej na dyskrecji, więc Colin nie słyszał nawet, o czym mówiła.

Po rozmowie z Bordenami próbowała zmusić Colina do odwołania wszystkiego.

Kiedy nie chciał ustąpić, wpadła we wściekłość.

O jedenastej, po dość długiej kłótni, pojechali na złomowisko. Żadne z nich nie odzywało się podczas jazdy.

Zaparkowała przy końcu polnej drogi, obok chaty. Wyszli z samochodu.

Colin był niespokojny. Echa nocnego koszmaru wciąż powracały do jego pamięci.

Jego rower leżał obok schodów prowadzących na ganek. Roweru Roya oczywiście nie było.

- Widzisz - powiedział. - Byłem tu.

Nie odpowiedziała. Poprowadziła rower w stronę bagażnika. Colin poszedł za nią.

- Było dokładnie tak, jak mówiłem.

Otworzyła bagażnik.

- Pomóż mi.

Podnieśli rower i próbowali wepchnąć go do samochodu, ale był zbyt duży, by można było zamknąć bagażnik. Znalazła w pudełku z narzędziami zwój sznurka i przymocowała klapę do zamka.

- Czy rower nie świadczy o czymś?

Odwróciła się w jego stronę.

- Dowodzi tylko tego, że tu byłeś.

- Tak, jak mówiłem.
- Ale nie z Royem.
- Próbował mnie zabić!
- Twierdzi, że siedział wczoraj w domu od pół do dziesiątej.
- No tak, oczywiście, tak ci powiedział! Ale...
- Tak również powiedziała jego matka.
- Ale to nieprawda.
- Chcesz powiedzieć, że pani Borden kłamie?
- No, ona prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że kłamie.
- Co masz na myśli?
- Roy pewnie jej powiedział, że był w domu, w swoim pokoju, a ona mu uwierzyła.
- Wie, że był w domu nie dlatego, że jej powiedział, ale dlatego, że ona też była w domu zeszłej nocy.
- Ale czy z nim rozmawiała?
- Co?
- Zeszłej nocy? Czy rozmawiała z nim? Czy tylko myśli, że był w swoim pokoju?
- Nie wypytywałam jej tak dokładnie, jeśli chodzi o...
- Czy widziała go zeszłej nocy?
- Colin...
- Jeśli go nie widziała - powiedział podniecony - to nie może być pewna, że był w swoim pokoju na górze.
- To śmieszne.
- Nie. Wcale nie. Ludzie w tym domu rzadko ze sobą rozmawiają. Nie zwracają na siebie uwagi. Nie szukają okazji, by zacząć rozmowę.

- Widziała go, kiedy poszła na górę, żeby mu powiedzieć dobranoc.
- Właśnie o tym staram ci się powiedzieć. Ona nigdy tego nie robi. Nigdy nie zadała sobie trudu, by mu powiedzieć dobranoc. Wiem o tym. Jestem pewien. Oni nie są tacy jak inni ludzie. Jest w nich coś dziwnego. Z tym domem jest coś nie tak.
- To znaczy co? - spytała gniewnie. - Czy to najeźdźcy z obcej planety?
- Oczywiście, że nie.
- Jak w którejś z tych cholernych ksiązek, które ciągle czytasz?
- Nie.
- Mamy wezwać supermana, żeby nas uratował?.
- Ja tylko... próbowałem powiedzieć, że oni chyba nie kochają Roya.
- To wstrętne mówić coś takiego.
- Jestem przekonany, że to prawda.

Potrząsnęła głową zdumiona.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że jesteś jeszcze dzieckiem i nie możesz w pełni zrozumieć uczuć tak złożonych jak miłość, nie mówiąc już o wszelkich formach, jakie przybierają? Mój Boże, jesteś niedoświadczonym czternastolatkiem! Za kogo się uważasz, żeby oceniać pod tym względem Bordenów?
- Gdybyś tylko mogła zobaczyć, jak oni się zachowują. Gdybyś mogła usłyszeć, jak do siebie mówią. I nigdy niczego nie robią razem. Nawet my robimy więcej rzeczy razem niż Bordenowie.
- Nawet my? Co chcesz przez to powiedzieć?

W jej oczach pojawiło się coś, czego wolałby nie widzieć. Odwrócił wzrok.

- Gdybyś przypadkiem zapomniał - powiedziała - to ci przypominam, że jestem rozwiedziona z twoim ojcem. I gdyby przypadkiem umknęło to twojej uwadze, to chcę ci



przypomnieć, że był to okropny rozwód. Koszmar. Więc czego się, do cholery, spodziewasz?

Że cała nasza trójka zacznie razem jeździć na pikniki?

Colin grzebał stopą w trawie.

- A chociażby ty i ja. My dwoje. Nie widzujemy się zbyt często, a Bordenowie widują

Roya jeszcze rzadziej.

- Kiedy ja mam czas, na litość boską?

Wzruszył ramionami.

- Ciężko pracuję - powiedziała.

- Wiem.

- Czy sądzisz, że mnie się to podoba?

- Wydaje mi się, że tak.

- Nie bardzo.

- Więc dlaczego...

- Próbuję zapewnić nam przyszłość. Czy potrafisz to zrozumieć? Chcę mieć pewność, że nigdy nie będziemy martwić się o pieniądze. Chcę czuć się bezpieczna. Bardzo bezpieczna.

Ale ty tego nie doceniasz.

- Doceniam. Wiem, że ciężko pracujesz.

- Gdybyś doceniał to, co robię dla nas... dla ciebie, tobyś nie denerwował mnie tym całym gównem o Royu, który rzekomo próbował cię zabić i...

- To nie gówno.

- Nie używaj takich słów.

- Jakich słów?

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

- O gówno?

Uderzyła go w twarz.

Zdumiony, przyłożył rękę do policzka.

- Przestań się tak głupio uśmiechać - powiedziała.

- Nie uśmiecham się.

Odwróciła się w drugą stronę. Odeszła kilka kroków dalej i wpatrywała się przez chwilę w złomowisko.

Niemal się rozplakał. Ale nie chciał, by widziała jego załamanie, więc zagryzł wargi i powstrzymał łzy. Po chwili ból i poniżenie minęły, zastąpił je gniew. Nie musiał już zaciskać warg.

Kiedy odzyskała równowagę, podeszła do niego.

- Przepraszam.

- W porządku.

- Straciłam panowanie nad sobą, a to nie jest najlepszy przykład do naśladowania.

- Nie bolało mnie.

- Tak mnie zdenerwowałeś.

- Nie chciałem.

- Zdenerwowałeś mnie, ponieważ wiem, o co tu chodzi.

Czekał.

- Przyjechałeś tu zeszłej nocy na rowerze - powiedziała. - Ale nie z Royem. Wiem z kim.

Nie odezwał się.

- Och - powiedziała - nie wiem, jak się nazywają, ale wiem, kim oni są.

Otworzył szeroko oczy.

- O kim ty mówisz?

- Wiesz o kim. Mówię o tych cwaniakach, którzy wystają na rogach, o punkach na tych swoich deskorolkach, co próbują zepchnąć cię do rynsztoka, kiedy przechodzisz obok.

- Myślisz, że tacy faceci chcieliby się ze mną zadawać? Jestem właśnie jednym z tych, których wpycha się do rynsztoka.

- Próbujesz się wykręcić.

- Mówię prawdę. Roy był jedynym przyjacielem, jakiego miałem.

- Bzdura.

- Nie nawiązuję tak łatwo przyjaźni.

- Nie kłam.

Zamilkł.

- Od kiedy sprowadziliśmy się do Santa Leona - powiedziała - zadajesz się z niewłaściwymi ludźmi.

- Nie.

- A zeszłej nocy przyjechałeś tu z nimi, bo jest to prawdopodobnie ich miejsce - idealne miejsce - w którym można się schować i popalić sobie trawkę i robić... całą masę innych rzeczy.

- Nie.

- Przyjechałeś tu z nimi zeszłej nocy, zażyłeś kilka prochów - Bóg wie, co to było - i odpłynąłeś.

- Nie.

- Przyznaj się.

- To nieprawda.

- Colin; wiem, że w gruncie rzeczy jesteś dobrym chłopcem. Nigdy przedtem nie miałeś żadnych kłopotów. Teraz popełniłeś błąd. Dałeś się namówić.

- Nie.
- Jeśli się przyznasz, jeśli zachowasz się po męsku, to nie będę się na ciebie wściekać. Docenię to, że potrafisz przyjąć karę z honorem. Pomogę ci, Colin, jeśli dasz mi szansę.
- To ty mnie daj szansę.
- Zażyłeś kilka pigułek...
- Nie.
- ...i przez kilka godzin byłeś gdzieś daleko, naprawdę odpłynąłeś.
- Nie.
- Kiedy wreszcie oprzytomniałeś, stwierdziłeś, że jesteś już w mieście, i to bez roweru.
- Rany.
- Nie bardzo wiedziałeś, jak tu wrócić i znaleźć rower. Miałeś podarte, brudne ubranie, i była pierwsza w nocy. Wpadłeś w panikę. Nie wiedziałeś, jak się z tego wszystkiego wytłumaczyć, więc wymyśliłeś tę idiotyczną historyjkę o Royu Bordenie.
- Czy zechcesz mnie wysłuchać? - z trudem się powstrzymywał od tego, by na nią nie krzyknąć.
- Słucham.
- Roy Borden jest zabójcą. On...
- Rozczarowujesz mnie.
- Przyjrzyj mi się, na litość boską!
- Nie mów do mnie takim tonem.
- Widzisz mnie?
- Nie krzycz na mnie.
- Czy ty nie widzisz, czym jestem?

- Jesteś chłopcem, który ma kłopoty i pogrąża się coraz bardziej.

Colin czuł wściekłość, ponieważ matka zmuszała go, by odkrył się tak jak nigdy dotąd.

- Czy wyglądam jak jeden z nich? Czy wyglądam jak facet, do którego raczą w ogóle powiedzieć „cześć”? Nawet nie zadaliby sobie trudu, żeby na mnie splunąć. Jestem dla nich chudym, nieśmiałym, krótkowzrocznym dziwolągiem. - W kącikach jego oczu zaświeciły łzy. Nienawidził samego siebie za to, że nie potrafi się opanować. - Roy był najlepszym przyjacielem, jakiego miałem. Był moim jedynym przyjacielem. Po co miałbym wymyślać taką zwariowaną historię, która mogłaby tylko narazić go na kłopoty?

- Byłeś zagubiony i zrozpaczony. - Wpatrywała się w niego, jakby to spojrzenie miało pomóc w ujawnieniu całej prawdy, tej której oczekiwała. - A Roy mówił, że byłeś na niego wściekły, ponieważ nie chciał tu przyjechać z tobą i innymi.

Colin gapił się na nią.

- Chcesz powiedzieć, że całą tę teorię wzięłaś od Roya? Że te idiotyczne podejrzenia... że to wszystko pochodzi od Roya?

- Właśnie o czymś takim myślałam ostatniej nocy. Kiedy wspomniałam o tym Royowi, powiedział, że się nie mylę. Powiedział mi, że byłeś na niego wściekły, bo nie chciał iść na tę imprezę...

- Próbował mnie zabić!

- ...i ponieważ nie chciał złożyć się na prochy.

- Nie było żadnych prochów.

- Roy mówił, że były, a to wyjaśnia mnóstwo rzeczy.

- Czy wymienił choć jednego z tych stukniętych ćpunów, z którymi się rzekomo zadaje?

- Oni mnie nie obchodzą. Martwię się o ciebie.
- Rany.
- Martwię się o ciebie.
- Ale z niewłaściwych powodów.
- Igranie z narkotykami jest głupie i niebezpieczne.
- Nic nie zrobiłem.
- Jeśli chcesz być traktowany jak dorosły, to musisz się zachowywać jak dorosły - powiedziała tonem, który go uraził. - Dorośli przyznają się do błędów. I zawsze akceptują konsekwencje własnych czynów.
- Nie ci, których znam.
- Jeśli będziesz dalej uparty...
- Jak możesz wierzyć jemu, a nie mnie?
- To bardzo miły chłopiec. On...
- Rozmawiałaś z nim tylko kilka razy!
- Dostatecznie często, by wiedzieć, że jest dobrze wychowanym i jak na swój wiek bardzo dojrzałym chłopcem.
- Nieprawda! On w ogóle taki nie jest. On kłamie!
- Jego wersja wydaje się wiarygodniejsza niż twoja - powiedziała Weezy. - Poza tym Roy robi na mnie wrażenie bardzo rozsądnego chłopca.
- Sądzisz, że ja nie jestem rozsądny?
- Colin, ileż to razy wyciągałeś mnie po nocy z łóżka, ponieważ byłeś przekonany, że coś się pałęta po strychu?
- Nie tak znów często - wymamrotał.
- Owszem. Często. Bardzo często. A czy chociaż raz znaleźliśmy cokolwiek czy

kogokolwiek?

Westchnął.

- Znaleźliśmy?

- Nie.

- A ileż to razy byłeś absolutnie pewien, że coś skrada się nocą koło domu i próbuje dostać się do środka przez okno?

Nie odpowiedział.

Jej przewaga rosła z każdym pytaniem.

- I czy rozsądny chłopiec spędza cały swój wolny czas, składając plastikowe modele filmowych potworów?

- Czy dlatego mi nie wierzysz? Bo oglądam mnóstwo horrorów? Bo czytam sf?

- Przestań. Nie traktuj mnie jak idiotki.

- Cholera.

- I w dodatku uczysz się wulgarnego języka od tej bandy, z którą się włączysz, a ja na to nie pozwolę.

Ruszył w stronę złomowiska.

- Dokąd idziesz?

- Pokażę ci dowód.

- Jedziemy do domu - stwierdziła.

- Chodź, zobacz.

- Powinam być w galerii godzinę temu.

- Mogę pokazać ci dowód, jeśli tylko zechcesz spojrzeć.

Ruszył przez złomowisko w stronę miejsca, w którym wzgórze opadało aż do torów.

Nie był pewien, czy matka za nim idzie, ale starał zachowywać się tak, jakby nie miał co do

tego żadnych wątpliwości. Uważał, że spojrzenie za siebie byłoby oznaką słabości, a czuł, że był słaby już dostatecznie długo.

Zbiorowisko wraków Pustelnika Hobsona wydawało się w nocy ponurym labiryntem.

Teraz, w blasku dnia, było tylko smutnym, bardzo smutnym i bardzo opuszczonym miejscem.

Wystarczyło nieznacznie zmrużyć oczy, by przebić wzrokiem martwą i żalosną zasłonę - pełną winy terażniejszość i ujrzeć blask przeszłości, wyczerniony z każdego zakątka. Kiedyś te wszystkie samochody były lśniące i piękne. Ludzie włożyli w nie pracę, pieniądze i sny, a wszystko skończyło się tylko rdzą.

Gdy dotarł do zachodniego krańca złomowiska, nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Dowód, który zamierzał pokazać Weezy, zniknął.

Rozbity pick - up wciąż stał dziesięć stóp od krawędzi zbocza, w miejscu, w którym

Roy go pozostawił, ale wstęgi blachy falistej zniknęły. Choć wrak utknął przednimi kołami w brudnej ziemi, tylne tkwiły na stalowych szynach. Colin pamiętał to doskonale. Ale teraz wszystkie cztery obręcze spoczywały na gołej ziemi.

Colin zrozumiał, co się stało, i wiedział, że powinien był się tego spodziewać.

Ostatniej nocy, gdy uciekał kanałem leżącym na zachód od linii kolejowej, Roy nie ruszył od razu do miasta, by czekać na niego gdzieś koło domu, lecz porzucił zamiar pogoni i wrócił tu,

by usunąć wszelkie ślady planowanej zbrodni. Wywiózł gdzieś wszystkie części

prowizorycznego toru, jaki skonstruował dla pick - upa. Potem uniósł lewarkiem tylne koła

samochodu, by usunąć tkwiące pod nimi dwie ostatnie kompromitujące wstęgi metalu.

W miejscach, w których przejechał pick - up, trawa powinna być zgnieciona, ale teraz

sterczała w górę wysoko i równo, jak na całym złomowisku; falowała łagodnie w lekkiej

bryzie. Roy zadał sobie trud, by ją wygrabić, a tym samym usunąć odciski pozostawione

przez dwie obręcze kół. Przy bliższej inspekcji Colin zauważył, że giętkie źdźbła trawy



przechowały ledwie widoczny ślad zniszczenia. Kilka było złamanych. Parę wygiętych.

Niektóre zgniecione. Ale te słabe poszlaki nie były dostatecznym dowodem, który przekonałby Weezy o prawdziwości jego historii.

Choć pick - up stał o jakieś dwadzieścia stóp bliżej krawędzi zbocza niż inne wraki, wyglądał jednak tak, jakby tkwił w tym samym miejscu, nietknięty, przez całe lata.

Colin klęknął przy samochodzie i wsadził rękę za jedną z zardzewiałych obręczy. Po chwili wydobył grudkę smaru.

- Co robisz? - spytała Weezy.

Odwrócił się w jej stronę i wyciągnął zabrudzoną rękę.

- To wszystko, co mogę ci pokazać. Usunął całą resztę, wszystko.

- Co to jest?

- Smar.

- No i co z tego?

Sprawa była beznadziejna.

**CZEŚĆ DRUGA**

Colin nie mógł wychodzić z domu przez siedem dni.

I była to tylko część kary. Matka zadrezczała go telefonami - każdego dnia dzwoniła do domu sześć albo siedem razy, sprawdzając jego obecność. Czasem między telefonami upływały dwie lub trzy godziny, a czasem dzwoniła trzy razy w ciągu trzydziestu minut. Nie miał odwagi wymknąć się z domu.

Prawdę mówiąc, nie miał zamiaru nigdzie wychodzić. Był przyzwyczajony do samotności i własne towarzystwo całkowicie mu wystarczało. Przez całe życie jego pokój stanowił największą i najważniejszą część otaczającego go świata, a teraz, przynajmniej przez jakiś czas, musiał mu zastąpić cały wszechświat. Miał swoje książki, horrory, komiksy, modele potworów i radio. Miał co robić przez tydzień, miesiąc albo nawet dłużej. Poza tym bał się, że jeśli wystawi nogę za próg domu, to dopadnie go Roy Borden.

Weezy dała mu także jasno do zrozumienia, że po odbyciu wyroku będzie go przez dłuższy czas obowiązywał okres próbny. Do końca lata miał wracać do domu przed zmrokiem. Nie powiedział jej, co myśli, kiedy ustalała tę zasadę, ale w gruncie rzeczy nie traktował tego zakazu jako kary. I tak nie miał zamiaru wychodzić dokądkolwiek nocą.

Dopóki Roy kręcił się gdzieś w okolicy, Colin obawiał się każdego zachodu słońca, jakby był jednym z bohaterów *Draculi* Brania Stokera.

Oprócz ustanowienia godziny policyjnej Weezy pozbawiła go na miesiąc kieszonkowego. Tym również się nie przejął. Miał dużą metalową skarbonkę w kształcie latającego spodka pełną bilonu i banknotów, które gromadził przez ostatnie parę lat.

Martwiło go tylko to, że te wszystkie ograniczenia zakłócają jego adorację Heather Lipshitz. Nigdy przedtem nie miał sympatii.

Nigdy dotąd żadna dziewczyna nie obdarzyła go swym zainteresowaniem. Ani trochę.

Teraz, gdy nadarzyła się okazja nawiązania bliższej znajomości, nie chciał wszystkiego zepsuć.

Zadzwonił do Heather, wyjaśnił całą sytuację, i odwołał randkę. Nie podał jej prawdziwych przyczyn swego aresztu domowego; nie wspomniał, że Roy próbował go zabić. Nie znała go na tyle dobrze, by mogła uwierzyć w tak niesamowitą historię. A spośród wszystkich znanych Colinowi osób Heather była właśnie tą, której opinia liczyła się w tej chwili najbardziej; nie chciał, by pomyślała, że ma do czynienia z wariatem. Wykazała dużo zrozumienia i przełożyli spotkanie na następną środę, dzień, w którym Colin miał odzyskać wolność. Nie przejmowała się nawet tym, że będą musieli pójść na wcześniejszy seans, tak, by mógł wrócić do domu przed zmrokiem. Gawędzili przez dwadzieścia minut o filmach i książkach i Colinowi rozmawiało się z nią łatwiej niż z jakąkolwiek inną dziewczyną, którą miał okazję dotąd poznać.

Gdy odłożył słuchawkę, poczuł się lepiej. Udało mu się przynajmniej zapomnieć na pół godziny o Royu Bordenie.

Dzwonił do Heather przez cały tydzień, codziennie - i nigdy nie brakowało mu słów.

Dowiedział się o niej mnóstwa rzeczy, a im więcej się dowiadywał, tym bardziej mu się podobała. Miał nadzieję, że robi na niej równie korzystne wrażenie i nie mógł się doczekać, kiedy znów ją zobaczy.

Spodziewał się, że Roy pojawi się pod jego drzwiami któregoś popołudnia albo przynajmniej zadzwoni i będzie mu groził, ale dni mijały spokojnie. Zastanawiał się, czy nie zacząć działać z samej tylko ciekawości. Codziennie, raz czy dwa, podnosił słuchawkę telefonu, ale zawsze zatrzymywał się na trzeciej cyfrze numeru Bordenów. Dostawał wówczas dreszczy i odkładał słuchawkę.

Przeczytał z pół tuzina paperbacków: science fiction, opowieści typu miecz i

czarownik, historie okultystyczne, rzeczy o monstrualnych złoczyńcach, czyli to, co lubił najbardziej. Ale musiało być coś nie tak ze stylem autorów czy z akcją powieści, ponieważ nie budziły w nim już tych dawnych, gwałtownych emocji.

Ponownie przeczytał kilka pozycji, które podczas pierwszej lektury, kilka lat wcześniej, wydawały mu się naprawdę przerażające. Odkrył, że wciąż podoba mu się koloryt, tajemniczość i narastające napięcie powieści *Władca lalek* Heinleina, ale groza tej książki, która tak silnie niegdyś do niego przemawiała, gdzieś uleciała. *Kto tam* Johna Campbella i najstraszniejsze powieści Theodora Sturgeona - *To* i *Miś profesora* Kinga wciąż podsuwały wyobraźni makabryczne obrazy, ale Colin nie patrzył już lękliwie przez ramię, odwracając kartki.

Miał kłopoty z zasypianiem. Gdy zamykał oczy na dłużej niż na minutę, zaczynał słyszeć dziwne odgłosy: ukradkowy, ale uporczywy hałas, typowy dla kogoś, kto próbuje dostać się do sypialni przez zamknięte drzwi albo okno. Słyszał także jakiś hałas na strychu - coś ciężkiego, wlokącego olbrzymie cielsko tam i z powrotem, jakby w poszukiwaniu dogodnego miejsca do przebicia sufitu sypialni. Myślał o tym, o czym z taką pogardą mówiła jego matka, i przekonywał sam siebie, że na strychu nic się nie kryje; powtarzał sobie, że to tylko imaginacje, twory jego zbyt żywej wyobraźni. Wciąż jednak słyszał te dziwne, niepokojące odgłosy. Po dwóch koszmarnych nocach poddał się i czuwał, czytając aż do świtu. Zasnął dopiero przy świetle wczesnego poranka.

W środę rano, w osiem dni po wydarzeniach na złomowisku Pustelnika Hobsona, Colin był wolny. Ale nie miał ochoty wychodzić. Obserwował okolicę z okien parteru. Nie odkrył niczego niezwykłego, ale trawnik frontowy wydawał mu się bardziej niebezpieczny niż pole bitewne, choć nie wybuchały na nim bomby i nie świszczały kule.

*Roy nie będzie przecież próbował zrobić niczego w biały dzień.*

*Jest szalony. Skąd możesz wiedzieć, co robi?*

*Idź. Wyjdź z domu. Działaj.*

*Jeśli czeka...*

*Nie możesz przecież ukrywać się w domu przez resztę życia.*

Wybrał się do biblioteki. Jadąc na rowerze po słonecznych ulicach co chwila oglądał się za siebie. Był pewien, że Roy podąża za nim.

Choć Colin spał poprzedniej nocy tylko trzy godziny, czekał już przy drzwiach wejściowych do budynku, gdy bibliotekarka, pani Larkin, pojawiła się, by zacząć pracę. Chłopiec przychodził do biblioteki regularnie, dwa razy w tygodniu, i pani Larkin szybko się zorientowała, jakie lubi książki. Gdy go zobaczyła na stopniach biblioteki, powiedziała”

- Dostaliśmy w zeszły piątek nową powieść Arthura C Clarke’a.

- Świetnie.

- Cóż, nie odłożyłam jej od razu na półkę, bo pomyślałam, że przyjdiesz jeszcze tego samego dnia albo najpóźniej w sobotę.

Wszedł za nią do dużego, zimnego, otynkowanego budynku, a następnie do głównej sali, gdzie odgłos ich kroków ginął wśród wysokich półek z książkami i gdzie unosił się zapach kleju i żółknącego papieru.

- Kiedy nie pokazałeś się do poniedziałkowego popołudnia - powiedziała pani Larkin -

pomyślałam, że nie mogę dłużej odkładać tej książki. A tak dla twojej informacji - ktoś ją wczoraj wypożyczył parę minut przed piątą.

- Nic nie szkodzi - powiedział Colin. - Bardzo dziękuję, że pani o mnie pomyślała.

Pani Larkin była łagodną, rudowłosą kobietą o zbyt niskim czole, zbyt małych piersiach, zbyt dużym podbródku i zbyt dużym siedzeniu. Nosiła szkła tak grube jak Colin.

Kochała książki i moli książkowych, i Colin bardzo ją lubił.

- Właściwie przyszedłem, żeby skorzystać z czytelnika - powiedział.

- Och, tak mi przykro, ale nie mamy żadnych książek sf na mikrofilmach.

- Tym razem nie chodzi mi o sf. Chciałbym przejrzeć stare egzemplarze *News Register*.

- A po cóż to? - Zrobiła minę, jakby ugryzła cytrynę. - Być może to, co powiem, nie jest lojalne wobec rodzinnego miasta, ale *News Register* to chyba najnudniejsza lektura, jaką można tu znaleźć. Same informacje o wyprzedazach i zebraniach kościelnych, a także sprawozdania z posiedzeń rady miejskiej, na których głupi politycy kłócą się godzinami, czy załatać dziury na Broadway, czy też nie.

- No tak... właściwie to myślę już o początku roku szkolnego - powiedział Colin, zastanawiając się, czy to wyjaśnienie jej też wyda się śmieszne. - Wypracowania z angielskiego zawsze sprawiają mi trochę kłopotów, więc wolę przygotować coś wcześniej.

- Nie wierzę, by cokolwiek w szkole mogło ci sprawiać kłopot - powiedziała pani Larkin.

- W każdym razie... mam pewien pomysł na esej o lecie w Santa Leona, nie o tym, co mnie się przydarzyło, ale w ogóle, o tym jak ludzie spędzali tutaj lato. Chcę się trochę podkształcić.

Uśmiechnęła się z aprobatą.

- Jesteś ambitnym, młodym człowiekiem, co?

- Niezupełnie. - Wzruszył ramionami.

Potrząsnęła głową.

- W ciągu tych wszystkich lat, jakie tu przepracowałam, jesteś chyba pierwszym chłopcem, który zjawia się w bibliotece w czasie letnich wakacji, żeby przygotować się do pracy domowej zadanej na jesień. To bardzo ambitne. Na pewno. I pokrzepiające. Tak trzymaj, a wiele zdołasz osiągnąć.

Colin był zakłopotany. Po pierwsze - nie zasłużył na pochwałę, a po drugie - okłamał panią Larkin. Czuł, jak się czerwieni, i nagle uświadomił sobie, że jest to pierwszy rumieniec od tygodnia, a może od jeszcze dłuższego czasu, co w jego przypadku było niewątpliwym rekordem.

Udał się do stolika, na którym stał czytnik, a pani Larkin przyniosła mu szpule z filmem zawierającym wszystkie strony *News Register* z czerwca, lipca i sierpnia poprzedniego roku, a także z tych samych miesięcy sprzed dwóch lat. Pokazała mu, jak obsługiwać urządzenie i stała nad nim tak długo, aż upewniła się, że chłopiec nie ma już żadnych pytań. Potem odeszła zostawiając go sam na sam z lekturą.

Rose.

Jakiś Rose.

Jim Rose?

Arthur Rose?

Michael Rose?

Zapamiętał nazwisko przez skojarzenie z różą, ale nie mógł przypomnieć sobie imienia.

Phil Pacino.

Tego pamiętał, ponieważ kojarzył mu się z Alem Pacino, aktorem filmowym.

Postanowił zacząć od Phila. Wybrał więc numery z poprzedniego lata.

Zakładał, że oba śmiertelne wypadki opisano na pierwszych stronach, więc szybko przesuwał mikrofilm, szukając dużych tytułów.

Nie mógł przypomnieć sobie dat, które podał Roy. Zaczął od czerwca i dojechał do pierwszego sierpnia, zanim znalazł właściwą informację.

## ŚMIERĆ MIEJSCOWEGO CHŁOPCA W POŻARZE

Czytał ostatni akapit artykułu, gdy wyczuł nieuchwytną obecność Roya. Obrócił się gwałtownie - ale Roya nie było. Nikt nie siedział przy żadnym ze stołów. Nikt nie przeglądał rzędów książek. Pani Larkin nie było przy biurku. Znowu tylko wytwór wyobraźni.

Usiadł i jeszcze raz przeczytał artykuł. Było dokładnie tak, jak mówił Roy. Dom państwa Pacino spłonął do szczytu, nic nie zostało. Strażacy znaleźli w zgłiszczach zwęglone ciało Philipa Pacino. Wiek - czternaście lat.

Colin poczuł, jak na czoło występują mu kropelki potu. Przesunął ręką po twarzy, którą potem wytarł o dzinsy.

Zaczął przeglądać egzemplarze z następnego tygodnia, szukając komentarzy. Były trzy.

## RAPORT SZEFA STRAŻY POŻARNEJ.

### ZABAWA ZAPAŁKAMI

Według końcowego, oficjalnego oświadczenia pożar został spowodowany przez samego Phila Pacino. Chłopiec bawił się zapałkami w pobliżu biurka, na którym składał modele samolotów. Najwidoczniej znajdowało się tam sporo łatwopalnych substancji, w tym kilka tubek i miseczek z klejem, pojemnik z płynem do zapalniczek i otwarta butelka z rozpuszczalnikiem do farb.



Drugi komentarz był dwustronicowym sprawozdaniem z pogrzebu chłopca. Zawierał nekrolog od nauczycieli, łzawe wspomnienia przyjaciół i fragmenty mowy pożegnalnej. Nad trzykolumnowym artykułem widniała fotografia, przedstawiająca pogrążonych w rozpacz rodziców.

Colin przeczytał to dwukrotnie i z wielkim zainteresowaniem - wśród wymienionych przyjaciół Phila Pacino był Roy Borden.

Dwa dni później wydrukowano długi artykuł wstępny, bardzo ostry - jak na standardy *News Register*.

ZAPOBIEGANIE TRAGEDII.

KTO PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ?

W żadnym z tych czterech artykułów nie pojawiła się nawet najdrobniejsza wzmianka o tym, że policja czy straż pożarna podejrzewają morderstwo albo podpalenie. Nie podawano w wątpliwość, że był to wypadek, skutek nieuwagi czy chłopięcej bezmyślności.

A ja znam prawdę - pomyślał Colin.

Poczuł zmęczenie. Przesiedział tu już prawie dwie godziny. Wyłączył czytnik, wstał i przeciągnął się.

Czytelnia nie była już pusta. Jakaś kobieta w czerwonej sukience przeglądała magazyny. Przy jednym ze stołów, na środku sali, puciołowaty, łysiejący ksiądz czytał ogromną księgę i pracowicie sporządzał notatki.

Colin podszedł do jednego z dwóch dużych bibliotecznych okien i usiadł bokiem na szerokim parapecie. Rozmyślając, patrzył przez zakurzoną szybę. Za oknem rozciągał się widok na cmentarz katolicki, na jego przeciwległym końcu wznosił się kościół Matki Boskiej Frasnoblowej, sprawujący pieczę nad szczątkami swych powołanych przez Boga parafian.

- Cześć.

Colin uniósł głowę zaskoczony. Ujrzał przed sobą Heather.

- O, cześć - powiedział podnosząc się z parapetu.

- Nie musisz wstawać - ściszyła głos do szeptu. - Nie mogę tu długo siedzieć. Muszę załatwić parę spraw dla matki. Wstąpiłam tylko po książkę i zobaczyłam, że tu jesteś.

Miała na sobie ciemnoczerwoną koszulkę i białe szorty.

- Wyglądasz wspaniale - powiedział Colin równie cicho.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się.

- Mówię poważnie.

- Dziękuję.

- Bez dwóch zdań.

- Wprawiasz mnie w zakłopotanie.

- Dlaczego? Bo powiedziałem, że wyglądasz wspaniale?

- No... poniekąd, owszem.

- Chcesz powiedzieć, że czułabyś się lepiej, gdybym powiedział, że wyglądasz okropnie?

Roześmiała się speszona.

- Nie. Oczywiście, że nie. Chodzi tylko o to, że... nikt mi nigdy nie powiedział, że wyglądam wspaniale.

- Żartujesz chyba.

- Nie.

- Żaden chłopak ci tego nie mówił? Chyba są ślepi?

Zaczerwieniła się.

- No cóż, wiem dobrze, że nie jestem znowu taka wspaniała.

- Pewnie, że jesteś.

- Mam za duże usta.

- Nieprawda.

- Owszem. Są za duże.

- Mnie się podobają.

- Moje zęby też nie są idealne.

- Są bardzo białe.

- I krzywe.

- Nie aż tak, żebyś to zauważył - stwierdził Colin.

- Nie znoszę swoich rąk - powiedziała.

- Co? Dlaczego?

- Popatrz na moje palce. Krótkie i grube. Moja matka ma piękne dłonie. A moje palce wyglądają jak małe kiełbaski.

- To nonsens. Masz ładne palce.

- I mam sterczące kolana - powiedziała.

- Twoje kolana są doskonałe - stwierdził.

- Posłuchaj mnie - powiedziała nerwowo - kiedy chłopak nareszcie mi mówi, że jestem ładna, to staram się go przekonać, że tak nie jest.

Colin odkrył ze zdumieniem, że nawet taka ładna dziewczyna jak Heather może mieć wątpliwości co do samej siebie. Zawsze sądził, że ci, których podziwiał - opaleni na złoto, niebieskoocy, świetnie zbudowani kalifornijscy chłopcy i dziewczęta - byli rasą wybranych, górujących nad istotami niższego rzędu - pewni siebie i swoich celów bez przeszkód prześlizgiwali się przez życie, by zawsze osiągnąć sukces. Był zadowolony i jednocześnie rozczarowany, gdy odkrył rysę na tym micie. Zdał sobie nagle sprawę, że ci wyjątkowi, promienni młodzi ludzie tak naprawdę nie różnią się wiele od niego, że nie górują nad innymi

aż tak bardzo, jak sądził, i to odkrycie podniosło go na duchu. Z drugiej jednak strony czuł, że traci coś ważnego - miłe złudzenie, które chwilami ogrzewało go swym blaskiem.

- Czekasz na Roya?

Przesunął się niespokojnie na parapecie.

- Hm... nie. Zajmuję się pewnymi... materiałami.

- Sądziłam, że czekasz właśnie na niego.

- Po prostu odpoczywam. Zrobiłem sobie przerwę.

- Uważam, że to ładne, kiedy tak zjawia się tutaj każdego dnia - powiedziała.

- Kto?

- Roy.

- Gdzie się zjawia?

- Tam - wskazała na coś za szybą.

Colin spojrział przez okno, a potem znów na dziewczynę.

- Chcesz powiedzieć, że chodzi co dzień do kościoła?

- Nie. Na cmentarz. Nie wiedziałeś?

- Opowiedz mi o tym.

- No cóż... mieszkam naprzeciwko. W tym białym domu z niebieskim paskiem.

Widzisz?

- Tak.

- Mogę zauważyć Roya prawie za każdym razem, gdy przychodzi.

- Co on tam robi?

- Odwiedza siostrę.

- Ma siostrę?

- Miał. Ona nie żyje.

- Nigdy o tym nie wspominał.

Heather kiwnęła głową.

- Chyba nie lubi o tym mówić.

- Ani jednym słowem.

- Raz mu powiedziałam, że to naprawdę miłe, no wiesz, że tak często przychodzi na jej grób. Wściekł się na mnie.

- Naprawdę?

- Jak diabli.

- Dlaczego?

- Nie wiem - powiedziała Heather. - Z początku myślałam, że być może wciąż cierpi po jej śmierci. Myślałam, że może tak bardzo, że nie chce o tym mówić. Ale później wyszło na to, że jest wściekły, ponieważ, według niego, przyłapałam go na czymś niewłaściwym. Ale w tym nie ma niczego niewłaściwego. To po prostu trochę dziwne.

Colin zastanawiał się przez chwilę nad tym, co usłyszał od Heather. Wpatrywał się w zalany słońcem cmentarz.

- Jak umarła?

- Nie wiem. To nie wydarzyło się za moich czasów. To znaczy, przeprowadziliśmy się do Santa Leona dopiero trzy lata temu. A ona już od dawna nie żyła.

Siostra.

Martwa siostra.

Czuł, że tu kryje się rozwiązanie całej łamigłówki.

- Cóż - powiedziała Heather, nieświadoma wagi informacji, którą mu właśnie

przekazała - muszę iść. Matka dała mi listę zakupów. Spodziewa się, że za jakąś godzinę

wrócę ze wszystkim do domu. Nie lubi ludzi, którzy się spóźniają. Mówi, że niepunktualność

jest cechą roztrzepanej, egoistycznej osoby. Zobaczymy się o szóstej.

- Przykro mi, że musimy iść na wcześniejszy seans - powiedział Colin.

- Nie szkodzi - odrzekła. - To przecież ten sam film, bez względu na godzinę, o której jest wyświetlany.

- Jak ci mówiłem, muszę być w domu przed dwudziestą pierwszą, czy coś koło tego, zanim zupełnie się ściemni. To istna mordęga.

- Nie - powiedziała. - To nic takiego. Przecież ta kara nie będzie wieczna. Potrwa tylko miesiąc, prawda? Nie martw się tym. Spędzimy fajny wieczór. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia - powiedział.

Patrzył, jak idzie przez pogrążoną w ciszy bibliotekę. Kiedy wyszła, znów spojrzał na cmentarz. Martwa siostra.

Colin nie miał problemów ze znalezieniem nagrobka; przypominał latarnię morską.

Był większy, bardziej wypolerowany i bardziej ekstrawagancki niż jakikolwiek inny pomnik na cmentarzu. Składał się z segmentów, które wykonano z granitu i marmuru i połączono niemal idealnie. Odznaczał się przemyślnym kształtem i wysokim połyskiem. Szerokie, skantowane litery wcinały się głęboko w pokrytą siecią żyłek lustrzaną taflę marmuru. Widać było, że państwo Bordenowie nie szczędzili pieniędzy.

BELINDA JANE BORDEN - przeczytał napis.

Według daty na płycie nagrobnej umarła ponad sześć lat temu, ostatniego dnia kwietnia. Pomnik wznoszący się u wezłowania grobu był z pewnością kilka razy większy niż ciało, które upamiętniał, ponieważ Belinda Jane miała tylko pięć lat, gdy złożono ją do ziemi.

Wrócił do biblioteki i poprosił panią Larkin o mikrofilm zawierający wydanie *News Register* sprzed sześciu lat, z trzydziestego kwietnia.

Całą tę ponurą historię opisano na pierwszej stronie.

Roy zabił swoją siostrzyczkę.

To nie było morderstwo.

Po prostu wypadek. Straszny wypadek.

Nikt nie ponosił winy.

Ośmioletni chłopiec znajduje na kuchennej szafce kluczyki od samochodu ojca.

Przychodzi mu do głowy, by zrobić sobie przejażdżkę po sąsiednich uliczkach. Dzięki temu dowiedzie, że jest starszy i mądrzejszy, niż ktokolwiek przypuszcza. Udowodni nawet, że jest na tyle duży, by bawić się kolejką tatusia albo przynajmniej siedzieć obok niego i obserwować pociągi, czego nie wolno mu robić, a czego bardzo pragnie. Samochód stoi na podjeździe. Chłopiec kładzie na siedzeniu poduszkę, by móc patrzeć ponad kierownicę. Ale

wtedy odkrywa, że nie jest w stanie dosięgnąć stopą pedału hamulca albo gazu. Szuka jakiegoś przedmiotu i obok garażu znajduje kawałek drewna, długi na trzy stopy drąg sosnowy, który jest właśnie tym, czego potrzebuje. Ocenia, że może go użyć do wciśnięcia pedałów, których nie może dosięgnąć stopami. Jedną ręką trzyma drąg, drugą kierownicę. Siedząc już w samochodzie uruchamia silnik i manipuluje przy biegach. Słyszy to jego matka. Wychodzi przed dom. Widzi swoją małą córeczkę, która staje za samochodem. Matka krzyczy do chłopca i dziewczynki, a oni machają do niej. Gdy matka biegnie w stronę samochodu, chłopcu udaje się w końcu wrzucić wsteczny bieg i wcisnąć drewnianym drągiem pedał gazu. Pojazd rusza do tyłu. Szybko. Wystrzela jak z procy. Uderza dziecko. Dziewczynka upada. Urwany krzyk. Koło najeżdża na jej kruchą czaszkę. Mała główka pęka jak balon wypełniony krwią. I gdy przyjeżdża karetka, lekarz znajduje matkę, siedzącą na trawniku, z rozrzuconymi nogami i bezmyślną twarzą, powtarzającą w kółko to samo: po prostu pękła z trzaskiem. Pękła z trzaskiem i otworzyła się. Jej mała główka. Po prostu pękła z trzaskiem.

Pękła z trzaskiem.

Trzask.

Colin wyłączył czytnik.

Żałował, że nie może równie łatwo wyłączyć swego umysłu.



Wrócił do domu parę minut przed piątą. Weezy pojawiła się minutę później.

- Cześć, kapitanie.

- Cześć.

- Jak ci minął dzień?

- Może być.

- Co robiłeś?

- Nic ważnego.

- Chciałabym o tym usłyszeć.

Usiadł na sofie.

- Byłem w bibliotece - powiedział.

- O której wyszedłeś?

- O dziewiątej rano.

- Nie było cię, kiedy wstałam.

- Poszedłem prosto do biblioteki.

- A potem?

- Nigdzie.

- Kiedy wróciłeś do domu?

- Przed chwilą.

Zmarszczyła brwi.

- Byłeś w bibliotece cały dzień?

- Tak.

- Daj spokój.

- Byłem.

Zaczęła przemierzać salon. Wyciągnął się na sofie.

- Złościsz mnie, Colin.

- To prawda, co mówiłem. Lubię czytać.

- Znów będziesz musiał siedzieć w domu.

- Bo poszedłem do biblioteki?

- Nie pyskuj.

Zamknął oczy.

- Gdzie jeszcze byłeś?

- Chyba koniecznie chcesz usłyszeć jakąś smakowitą historyjkę - stwierdził.

- Chcę wiedzieć, gdzie dzisiaj byłeś.

- No cóż - powiedział - poszedłem na plażę.

- Czy trzymałeś się z daleka od tamtych dzieciaków, tak jak ci mówiłam?

- Musiałem spotkać się z kimś na plaży.

- Z kim?

- Ze znajomym dostawcą.

- Co?

- Sprzedaje towar prosto ze swego furgonu.

- O czym ty mówisz?

- Kupiłem słoik po majonezie pełen prochów.

- O mój Boże.

- A potem przyniosłem je tutaj.

- Tutaj? Gdzie? Gdzie one są?

- Porozsypywałem je do celofanowych torebek.

- Gdzie je schowałeś?

- Wziąłem je do miasta i sprzedałem po cenach detalicznych.
- O Jezu. O mój Boże. W coś ty się wpakował? Co się z tobą dzieje?
- Zapłaciłem za towar pięć tysięcy dolców, a sprzedałem za piętnaście.
- Co?
- Wychodzi dziesięć na czysto. Jeśli dam radę zarabiać tyle codziennie, przez cały miesiąc, to zbiorę wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić sobie statek piracki i szmuglować tony opium ze wschodu.

Matka była czerwona na twarzy.

- Co, u diabła, cię opętało? - nie ustępowała.
- Zadzwoń do pani Larkin - powiedział - prawdopodobnie jest jeszcze w pracy.
- Kto to jest pani Larkin?
- Bibliotekarka. Powie ci, gdzie byłem cały dzień.

Weezy wpatrywała się w niego przez chwilę, potem poszła do kuchni, by zadzwonić.

Nie mógł w to uwierzyć. Naprawdę dzwoniła do biblioteki. Czuł się poniżony.

Kiedy wróciła do salonu, powiedziała”

- Jednak byłeś cały dzień w bibliotece.
- Owszem.
- Dlaczego to zrobiłeś?
- Bo lubię siedzieć w bibliotece.
- Chodzi mi o tę wymyśloną historię z kupowaniem narkotyków na plaży.
- Sądziłem, że to właśnie chcesz usłyszeć.
- Pewnie ci się wydaje, że to zabawne.
- Trochę.
- Otóż nie.

Usiadła w fotelu.

- Jeśli chodzi o te wszystkie rozmowy, jakie przeprowadziliśmy w ciągu ostatniego tygodnia, to czy pamiętasz choć jedną?

- Każde słowo - odpowiedział.

- Powiedziałam ci, że jeśli chcesz, by ci ufać, to musisz sobie na to zasłużyć. Jeśli chcesz być traktowany jak dorosły, to musisz zachowywać się jak dorosły. Wydaje mi się, że zaczynasz rozumieć i kiedy zaczynam mieć już nadzieję, że gdzieś wreszcie wspólnie dotrzemy, ty wykręcasz taki głupi numer. Czy zdajesz sobie sprawę, jak to na mnie działa?

- Myślę, że tak.

- Te twoje wygłupy, ta twoja historyjka o kupowaniu prochów na plaży... odniosła taki skutek, że jeszcze mniej ci wierzę.

Przez chwilę milczeli. Colin odezwał się pierwszy.

- Jesz kolację w domu?

- Nie mogę, kapitanie. Mam...

- ...spotkanie w interesach.

- Zgadza się. Ale zrobię coś do jedzenia przed wyjściem.

- Nie rób sobie kłopotu.

- Nie chcę, żebyś jadł byle co.

- Zrobię sobie kanapkę z serem - powiedział. - To równie dobre jak wszystko inne.

- Wypij do tego szklankę mleka.

- W porządku.

- Jakie masz plany na wieczór?

- Chyba pójdę do kina - powiedział, celowo nie wspominając o Heather.

- Do którego?

- Do Baroneta.

- Co grają?

- Horror.

- Byłoby dobrze, gdybyś już wyrósł z tych bzdur.

Nie odezwał się.

- Pamiętaj, o której masz wrócić - przypomniała mu.

- Idę na wcześniejszy seans - powiedział Colin. - Kończy się przed dwudziestą, będę więc w domu, zanim zapadnie zmrok.

- Skontroluję cię.

- Wiem.

Westchnęła i wstała.

- Lepiej pójdę wziąć prysznic i przebiorę się. - Ruszyła w stronę korytarza, ale odwróciła się i znów na niego spojrzała. - Gdybyś przed chwilą zachował się trochę inaczej, to może nie uważałabym za konieczne cię sprawdzać.

- Przepraszam - powiedział.

A kiedy wyszła, stwierdził: gówno prawda.

Pierwsza randka Colina z Heather była wspaniała. Horror był co prawda gorszy, niż się spodziewał, ale przez ostatnie pół godziny naprawdę można się było wystraszyć. Heather bała się bardziej niż on. Nachyliła się jego stronę i wzięła w ciemnościach za rękę, szukając oparcia i opieki. Colin czuł się zaskakująco silny i odważny. Gdy tak siedział w chłodnym kinie, w przytulnej ciemności, rozjaśnionej bladym, migotliwym światłem padającym z ekranu i trzymał za rękę swoją dziewczynę, myślał, że już wie, jak wygląda niebo.

Po kinie, gdy słońce zanurzało się w Pacyfiku, Colin odprowadził ją do domu.

Powietrze napływające od strony oceanu było słodkie. Nad ich głowami kołysały się i szeptały palmy.

Dwie przecznice za kinem Heather potknęła się o wystający kawałek chodnika. Nie przewróciła się ani nawet nie straciła równowagi, ale powiedziała”

- Niech to diabli! - Zaczerwieniła się. - Jestem taka niezgrabna.

- Nie powinno się dopuszczać, żeby chodnik był w takim stanie - powiedział Colin. -

Ktoś może zrobić sobie krzywdę.

- Nawet gdyby był idealnie równy i gładki, to i tak bym się pewnie potknęła.

- Dlaczego tak twierdzisz?

- Jestem ofiara i niezdara.

- Ależ skąd.

- Owszem, jestem. - Znów ruszyli przed siebie i Heather powiedziała: - Wiele bym dała za to, żeby mieć choć w połowie tyle wdzięku, co moja matka.

- Masz go dużo.

- Jestem niezgrabna. Powinieneś zobaczyć moją matkę. Ona nie chodzi - ona płynie.

Gdybyś ją widział w długiej sukni, w czymś dostatecznie długim, co zakryłoby jej stopy, to

pomyślałbyś, że w ogóle nie porusza nogami. Pomyślałbyś, że unosi się na poduszce powietrznej.

Szli przez minutę w milczeniu.

Wreszcie Heather westchnęła i odezwała się”

- Jest mną rozczarowana.

- Kto?

- Moja matka.

- Dlaczego?

- Nie potrafię się podciągnąć.

- Do czego?

- Do niej - powiedziała Heather. - Wiesz, że moja matka była Miss Kalifornii?

- Chodzi ci o konkurs piękności?

- Tak. Wygrała. Wygrała też wiele innych konkursów.

- Kiedy to było?

- Siedemnaście lat temu, kiedy była dziewiętnastolatką.

- O rany - powiedział Colin. - To naprawdę coś.

- Kiedy byłam małą dziewczynką, posyłała mnie na różne dziecięce konkursy piękności.

- Tak? Jakie tytuły zdobyłaś?

- Żadnych.

- Trudno w to uwierzyć.

- To prawda.

- Nie zgrywaj się, Heather. Musiałaś coś wygrać.

- Nie, naprawdę. Nigdy nie zajęłam lepszego miejsca niż drugie. A zwykle

zajmowałam tylko trzecie.

- Zwykle? Chcesz powiedzieć, że w większości konkursów zajmowałaś albo drugie, albo trzecie miejsce?

- Drugie zajęłam cztery razy. Trzecie dziesięć razy. A pięć razy żadnego.

- Ależ to fantastyczne! - wykrzyknął Colin. - Doszłaś do trzech najwyższych miejsc w czternastu przypadkach na dziewiętnaście!

- W konkursach piękności liczy się tylko numer jeden, zdobycie tytułu - powiedziała Heather. - W konkursach dla dzieci prawie każdy raz na jakiś czas dochodzi do drugiego czy trzeciego miejsca.

- Matka musiała być z ciebie dumna - upierał się Colin.

- Zawsze twierdziła, że tak właśnie jest, za każdym razem, gdy zajmowałam drugie czy trzecie miejsce. Ale ja zawsze miałam wrażenie, że tak naprawdę jest bardzo rozczarowana. Gdy nie zajęłam pierwszego miejsca przed ukończeniem dziesiątego roku życia, przestała mnie już posyłać. Chyba doszła do wniosku, że jestem beznadziejnym przypadkiem.

- Miałaś wspaniałe wyniki!

- Nie zapominaj, że ona była numerem pierwszym - powiedziała Heather. - Była Miss Kalifornii. Nie była numerem drugim czy trzecim. Była numerem pierwszym.

Nie mógł się nadziwić tej uroczej dziewczynie, która zdawała się nie wiedzieć, że jest naprawdę urocza. Jej usta były zmysłowe, a ona myślała, że są za szerokie. Miała wspaniałe białe i równe zęby, a myślała, że są nieco krzywe. O swoich gęstych i lśniących włosach mówiła, że są szare i zwyczajne. Choć była zwinna jak kot, nazywała siebie ofiarą. Była dziewczyną, od której powinna bić pewność siebie, a ją dręczyły wątpliwości. Pod gładką powłoką kryła się istota niepewna i pełna obaw - tak jak Colin. Wszystko to sprawiło, że



nagle poczuł się wobec niej bardzo opiekuńczy.

- Gdybym to ja był jednym z sędziów - powiedział - tobyś wygrała wszystkie te konkursy.

Znów obląła się rumieńcem i uśmiechnęła się do niego.

- Jesteś słodki.

W chwilę później dotarli do jej domu i zatrzymali się przy końcu długiego frontowego chodnika.

- Czy wiesz, co mi się w tobie podoba? - spytała.

- Zachodziłem w głowę, próbując sobie wyobrazić, co to może być - powiedział.

- Po pierwsze, nie mówisz o tym, o czym w kółko mówią inni chłopcy. Im się wydaje, że facet powinien interesować się tylko futbolem, baseballlem i samochodami. Mnie to nudzi.

A poza tym ty nie tylko rozmawiasz - ty również słuchasz. Mało kto to umie.

- No cóż - powiedział - jedną z rzeczy, które w tobie lubię, jest to, że nie przeszkadza ci, że różnię się od innych chłopaków.

Patrzyli na siebie przez chwilę porozumiewawczo i w końcu Heather powiedziała”

- Zadzwoń jutro, dobrze?

- Zadzwonię.

- Lepiej już wracaj. Nie chcesz chyba, żeby twoja matka się rozgniewała.

Złożyła nieśmiały pocałunek w kąciku jego ust, odwróciła się i pobiegła do domu.

Przez jakiś czas Colin dryfował jak lunatyk, sunąc przed siebie w przyjemnym

otępieniu. Lecz nagle uświadomił sobie, że niebo pokrywa się czernią, cienie rozlewają się, a chłód staje się coraz dotkliwszy. Nie obawiał się przekroczenia ustalonej przez matkę godziny powrotu, nie obawiał się Weezy. Ale bał się spotkania z Royem po zmroku. Resztę drogi do domu pokonał biegiem.

Colin powrócił do biblioteki w czwartek rano i zabrał się do swojej pracy. W każdym numerze interesowały go teraz tylko dwie rzeczy: strona pierwsza oraz lista przyjęć i zwolnień ze szpitala. Potrzebował jednak sześciu godzin, by znaleźć to, czego szukał. Równy rok i jeden dzień po śmierci swej siostrzyczki Roy Borden został przyjęty do szpitala miejskiego w Santa Leona. W jednozdaniowej notatce z pierwszomajowego wydania *News Register* nie było wzmianki o naturze choroby; Colin był jednak pewien, że miało to związek z wypadkiem, o którym Roy nie chciał mówić, z jakimiś obrażeniami, które pozostawiły tak straszne blizny na jego plecach.

Kolejną osobą, widniejącą na liście przyjęć, była Helena Borden. Jego matka. Colin wpatrywał się w jej nazwisko przez dłuższą chwilę, zastanawiając się. Blizny na plecach Roya... było jasne, że prędzej czy później znajdzie jego nazwisko, ale obecność na liście jego matki zdumiała go. Czy oboje byli ranni w tym samym nieszczęśliwym wypadku?

Colin przesunął film do tyłu i uważnie przeglądał każdą stronę gazety z trzydziestego kwietnia i pierwszego maja. Szukał informacji o wypadku samochodowym, wybuchu czy pożarze, jakiejś katastrofie, w której uczestniczyliby Bordenowie. Nie znalazł niczego.

Znów przesunął film do przodu, skończył tę szpulę i parę innych, ale znalazł tylko dwie użyteczne informacje, z których pierwsza była raczej zagadkowa. W dwa dni po hospitalizacji w Santa Leona panią Borden przewieziono do większego szpitala, pod wezwaniem św. Józefa, który znajdował się w stolicy okręgu. Colin zastanawiał się, dlaczego ją przeniesiono, i przychodził mu do głowy tylko jeden powód. Była w tak ciężkim stanie, że wymagała specjalnej opieki, której miejscowy szpital nie mógł zapewnić.

Nie dowiedział się już niczego nowego o pani Borden, ale odkrył, że Roy był leczony w miejskim szpitalu dokładnie trzy tygodnie. Bez względu na przyczynę obrażenia na plecach

musiały być naprawdę poważne.

Colin skończył przeglądać mikrofilmy za piętnaście piąta i podszedł do biurka pani Larkin.

- Właśnie zwrócono tę nową powieść Arthura C. Clarke'a - powiedziała, zanim Colin zdążył się odezwać. - Już ją dla ciebie odłożyłam.

Nie miał wielkiej ochoty wypożyczać tej książki właśnie teraz, ale nie chciał wychodzić na niewdzięcznika. Wziął ją, spojrział na grzbiet, potem na obie okładki.

- Bardzo dziękuję, pani Larkin.

- Powiesz mi, jak ci się podobała.

- Zastanawiałem się, czy nie pomogłaby mi pani wyszukać kilku książek z dziedziny psychologii.

- Jakiej psychologii?

- Jest więcej niż jedna? - Otworzył oczy ze zdumienia.

- No tak - powiedziała - mamy książki dotyczące psychologii zwierząt, psychologii nauczania, psychologię dla każdego, psychologię pracy, polityczną, wieku podeszłego, rozwojową, ogólną, kliniczną freudowską, jungowską...

- Psychologia kliniczna - powiedział Colin. - Tak. Muszę to przeczytać. Ale przydałoby mi się też parę ogólnych opracowań, które wyjaśniłyby mi, jak działa umysł. To znaczy, chciałbym wiedzieć, dlaczego ludzie robią to, co robią. Potrzebuję czegoś, co dałoby mi ogólne pojęcie, coś prostego, coś dla początkujących.

- Sądzę, że znajdziemy coś odpowiedniego - powiedziała.

- Byłbym bardzo wdzięczny.

Kiedy szedł za nią w stronę półek z książkami, spytała

- Kolejna praca szkolna?

- Tak.

- Czy psychologia kliniczna nie jest zbyt trudnym przedmiotem jak na temat pracy domowej dla ucznia dziesiątej klasy?

- Z pewnością - odrzekł.

Colin zjadł kolację w samotności, siedząc w swoim pokoju.

Zadzwoił do Heather i ustalili, że spotkają się na plaży w sobotę. Chciał powiedzieć jej o szaleństwie Roya, ale bał się, że mu nie uwierzy. Poza tym nie był jeszcze na tyle pewien jej uczuć wobec siebie, żeby wyznać jej, że on i Roy są już wrogami. Początkowo zdawała się zafascynowana ich przyjaźnią. Może przestanie się nim interesować, gdy odkryje, że nie jest już kumplem Roya? Wolał więc nie ryzykować.

Później czytał książki z psychologii, które wybrała dla niego pani Larkin. Skończył obydwa tomy przed drugą w nocy. Siedział przez chwilę na łóżku, patrząc przed siebie i rozmyślając. Potem zasnął, wyczerpany pracą umysłową. Tym razem nie śnił koszmarów, a podejrzanych istot na strychu nie zaszczylił nawet jedną myślą.

W piątek rano, zanim Weezy zdążyła się obudzić, poszedł do biblioteki, zwrócił książki i wypożyczył trzy następne.

- Jak tam powieść sf? - spytała pani Larkin.

- Jeszcze nie zacząłem - odpowiedział Colin. - Może dziś wieczór.

Z biblioteki poszedł na przystań. Nie chciał wracać do domu, dopóki była tam Weezy; nie zniósłby następnego przesłuchania. Zjadł śniadanie przy barze w kawiarence na nabrzeżu.

Później przespacerował się na południowy koniec nadmorskiego deptaka, oparł się o balustradę i obserwował dziesiątki krabów wygrzewających się na skałach parę stóp niżej.

O jedenastej wrócił do domu. Dostał się do środka, używając zapasowego klucza schowanego w drewnianej donicy przy drzwiach frontowych. Weezy dawno już poszła. Kawa w dzbanku była zimna.

Wyjął z lodówki pepsi i poszedł na górę z trzema książkami z psychologii. Zaczął swoją lekturę, ale zdążył przeczytać tylko jeden paragraf, gdy wyczuł, że nie jest sam.

Posłyszał stłumiony odgłos skrobania.

*Coś było w garderobie.*

*Śmieszne.*

*Słyszałem to.*

*Zdawało ci się.*

Przeczytał już dwie książki z dziedziny psychologii i wiedział, że prawdopodobnie ulega - jak zdążył wyczytać - mechanizmowi przenoszenia. Tak właśnie to nazywali: przenoszenie. Nie umiał stawić czoła ludziom czy rzeczom, których bał się naprawdę, więc przenosił swój strach na coś innego, coś wymyślonego - wilkołaki, wampiry czy wyimaginowane potwory, kryjące się w garderobie. Tak właśnie postępował przez całe życie. Owszem, może to prawda - myślał. - Ale jestem pewien, że słyszałem, jak coś porusza się w garderobie.

Wyprostował się na łóżku. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał uważnie.

Nic. Cisza.

Drzwi garderoby były szczelnie zamknięte. Nie mógł sobie przypomnieć, czy takie je pozostawił, gdy wychodził z domu.

A jednak! Znowu ten sam ledwie słyszalny odgłos.

Zsunął się cicho z łóżka i zrobił kilka kroków w stronę korytarza.

Gałka przy drzwiach garderoby zaczęła się obracać, a ich skrzydła uchyliły się nieznacznie.

Colin zatrzymał się. Rozpaczliwie pragnął odzyskać władzę w nogach, ale tkwił w miejscu, jakby ktoś rzucił na niego urok. Czuł się jak mucha złapana w locie i wtłoczona za sprawą czarów w kawałek twardego bursztynu. Zza murów swojego magicznego więzienia oglądał narodziny koszmaru. Sparaliżowany strachem wpatrywał się w garderobę.

Nagle drzwi otworzyły się na oścież.

Między ubraniami nie krył się żaden potwór, żaden wilkołak, żaden wampir, żaden przerażający bożek z powieści H.P. Lovecrafta. To był Roy.

Wyglądał na zaskoczonego. Ruszył w stronę łóżka, przekonany, że tam znajdzie swoją ofiarę. Teraz zorientował się, że Colin go wyprzedził i stoi zaledwie kilka kroków od otwartych drzwi, prowadzących na pierwsze piętro. Roy zatrzymał się i przez chwilę obaj chłopcy patrzyli na siebie.

Wreszcie Roy uśmiechnął się szeroko i podniósł w górę obie dłonie, by Colin mógł zobaczyć, co w nich trzyma.

- Nie - powiedział cicho Colin.

W prawej ręce Roya była zapalniczka.

- Nie.

W lewej ręce - pojemnik z płynem do zapalniczek.

- Nie, nie, nie! Wyjdź stąd!

Roy zrobił w jego stronę jeden krok. Potem drugi.

- Nie - powiedział Colin. Ale wciąż nie mógł się poruszyć.

Roy wycelował w niego pojemnik i nacisnął dozownik. Struga przezroczystego płynu przecięła powietrze.

Colin uskoczył w lewo, uciekając spod strumienia i ruszył biegiem.

- Sukinsyn! - krzyknął Roy.

Colin wypadł przez otwarte drzwi i zatrzasnął je za sobą. W chwili, gdy się zamykały,

Roy uderzył w nie z drugiej strony. Colin popędził w stronę schodów.

- Hej! - Roy jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wypadł z sypialni.

Colin przeskakiwał po dwa stopnie naraz, ale dotarł tylko do połowy schodów, gdy

usłyszał za plecami tupot biegnącego z tyłu Roya. Rzucił się do przodu. Przeskoczył cztery ostatnie stopnie, znalazł się na korytarzu i podbiegł do drzwi wejściowych.

- Mam cię! - wrzasnął Roy triumfalnie za jego plecami. - Mam cię, cholera!

Zanim Colin zdołał otworzyć obydwie zamki przy drzwiach, poczuł, jak coś zimnego i mokrego spływa po jego plecach. Sapnął zdumiony i odwrócił się.

Płyn do zapalniczek!

Roy znów nacisnął dozownik; płyn zmoczył przód jego cienkiej bawełnianej koszuli.

Colin zasłonił oczy rękami. W samą porę.

Palna substancja zachlapała mu czoło, palce, nos i brodę.

Roy wybuchnął śmiechem.

Colin nie mógł oddychać. Opary dusiły go.

- Ale trzask!

Wreszcie pojemnik był pusty. Roy odrzucił opakowanie, które potoczyło się z brzękiem po drewnianej podłodze korytarza.

Krztusząc się i oddychając ze świstem, Colin odsłonił twarz i próbował zobaczyć, co się dzieje. Znów je zamknął. Spod powiek wypływały mu łzy. Choć ciemność zawsze go przerażała, to jednak nigdy nie była taka straszna jak teraz.

- Ty śmierdzący draniu - powiedział Roy. - Teraz zapłacisz za to, że obróciłeś się przeciwko mnie. Teraz zapłacisz. Będziesz się smażył.

Dusząc się, nie mogąc prawie złapać powietrza, chwilowo oślepiony, opanowany histerią, Colin rzucił się w stronę, z której dobiegał głos. Zderzył się z Royem, chwycił go i wpił się w niego.

Roy zatoczył się do tyłu, próbując się wyrwać, jak lis zaatakowany przez zdeterminowanego teriera. Położył dłoń na brodzie Colina, starając się odepchnąć jego głowę,



a po chwili złapał go za gardło, chcąc go udusić. Lecz byli zwrócenii do siebie twarzami i dzieliła ich zbyt mała odległość, by atak Roya mógł być skuteczny.

- Zrób to teraz - wycharczał Colin przez duszące opary, które zatykały mu nos, usta i płuca. - Zrób to... a usmażymy się... obaj.

Roy znów spróbował go odepchnąć. W trakcie szamotaniny potknął się i upadł.

Colin przewrócił się razem z nim. Desperacko wczepił się w Roya. Od tego zależało jego życie.

Przeklinając, Roy okładał go pięściami, walił po plecach, tłukł po głowie, ciągnął za włosy. Wykręcał nawet Colinowi uszy, aż zdawało się, że całkiem odpadną.

Colin wył z bólu i próbował oddawać ciosy, ale w chwili, gdy puścił Roya, żeby go uderzyć, ten wymknął się i przeturlał po podłodze. Colin starał się go złapać, ale bezskutecznie.

Roy wstał z wysiłkiem z podłogi. Oparł się o ścianę.

Nawet przez zasłonę gryzących łez Colin dostrzegł, że w prawej ręce napastnik wciąż trzyma zapalniczkę.

Roy potarł kciukiem kamień. Nie zaiskrzył, ale z pewnością zaiskrzy następnym razem albo jeszcze następnym.

Colin rzucił się jak oszalały na swego przeciwnika, zderzył się z nim i wytrącił mu z ręki zapalniczkę. Przeleciała przez łukowate przejście i wpadła do salonu, gdzie odbiła się od jakiegoś mebla.

- Ty palancie! - Roy odepchnął go i pobiegł po zapalniczkę.

Oddychając duszącym powietrzem, które otaczało go ze wszystkich stron, Colin ruszył chwiejnym krokiem w stronę drzwi wejściowych. Bez trudu odsunął zasuwkę, ale łańcuch stawiał opór. Męczył się z nim przez kilka chwil, które zdawały się godzinami. Ale

tylko zdawały. Wszystko zajęło parę sekund. Albo nawet ułamki sekund. Colin stracił poczucie czasu. Unosił się. Płynął, porwany falą oparów. Miał akurat tyle świeżego powietrza, by nie zemdleć, ale ani hausta więcej. Dlatego zdjęcie łańcucha sprawiało mu tyle problemów. Był zamroczony. Łańcuch zdawał się wyparowywać z jego rąk, tak jak z jego ubrania i twarzy wyparowywał plyn do zapalniczek. Dzwoniło mu w uszach. Łańcuch. Skoncentrować się na łańcuchu. Z każdą upływającą sekundą Colin był coraz słabszy, a łańcuch stawiał coraz większy opór. Przeklęty łańcuch. Obrzydliwy i palący. Za chwilę spłonie. Jak pochodnia. Cholerny, pieprzony łańcuch! Wreszcie, w nagłym przypiływie determinacji, wyrwał łańcuch ze szczeliny i otworzył drzwi na oścież. Spodiewając się, że lada chwila za jego plecami strzelą w górę płomienie, wybiegł z domu, przebiegł podwórko, przeskoczył chodnik, przeciął ulicę i zatrzymał się na skraju małego parku. Owionął go cudownie słodki wiatr, który rozganiał opary. Odetchnął głęboko kilka razy, by choć w małym stopniu odzyskać przytomność.

Po przeciwnej stronie ulicy pojawił się Roy. Od razu spostrzegł swoją ofiarę i w kilku susach dopadł chodnika, ale nie przebiegł przez ulicę. Stał w miejscu, z rękami na biodrach, wpatrując się w Colina.

Colin odwzajemnił spojrzenie. Wciąż był oszołomiony. Wciąż miał kłopoty z oddychaniem. Ale mógł głośno wezwać pomocy i biec co sił w nogach, gdyby Roy tylko odważył się zejść z krawężnika.

Uświadamiając sobie, że przegrał, Roy oddalił się. Zanim dotarł do następnej przecznicy, zerknął przez ramię z sześć razy. Przed następną przecznicą spojrział tylko dwa razy. Przed trzecią w ogóle się nie odwrócił, tylko skręcił na rogu i zniknął.

Wracając do domu, zły na siebie, Colin zatrzymał się przy donicy i wyjął klucz spod liści bluszczu. Był zdumiony swoją bezmyślnością i głupotą. W ciągu minionego miesiąca

przyprował Royą do domu kilka razy. Roy wiedział, gdzie trzymają zapasowy klucz, a Colin był na tyle nieostrożny, by go teraz również tam zostawiać. Postanowił, że od tej pory będzie go nosił przy sobie i będzie bardziej na siebie uważał.

Znajdował się w stanie wojny.

Ni mniej, ni więcej.

Wszedł do środka i zamknął drzwi.

Poszedł do toalety na końcu korytarza, zdjął z siebie przemoczoną koszulę i rzucił ją na ziemię. Szorował energicznie dłonie, używając dużo perfumowanego mydła i gorącej wody. Następnie kilka razy przemył twarz. Choć wciąż wyczuwał opary, nie czuł jednak obezwładniającego smrodu. Oczy przestały łzawić i znowu mógł normalnie oddychać.

Gdy znalazł się w kuchni, podszedł wprost do telefonu, ale zawahał się, trzymając dłoń na słuchawce. Nie mógł zadzwonić do Weezy. Jedynym dowodem świadczącym o tym, że Roy go zaatakował, była przemoczona koszula, ale wiedział, że to jej nie przekona. Poza tym, zanim dotarłaby do domu, większość płynu dawno by już wyparowała, nie pozostawiając żadnych plam. Pusty pojemnik wciąż leżał na podłodze w korytarzu i były na nim prawdopodobnie odciski palców Roya. Ale, oczywiście, tylko policja mogła zbadać linie papilarne i ustalić, kto dotykał tego jedyne dowodu, jaki mógł teraz przedstawić. Ale przecież policjanci nigdy nie potraktują jego opowieści poważnie. Weezy pomyśli oczywiście, że łykał prochy, i że miał halucynacje. Krótko mówiąc - znów będą kłopoty. Gdyby wyjaśnił sytuację ojcu i poprosił go o pomoc, stary zadzwoniłby do Weezy i spytał, co się dzieje. A ona opowiedziałaby mu mnóstwo głupich historyjek o prochach i całonocnych imprezach narkotykowych. Choć byłby to oczywisty absurd - Roy wiedział, że udałoby się jej przekonać Franka, ponieważ coś właśnie takiego chciałby usłyszeć. Stary oskarżyłby ją o zaniedbywanie obowiązków rodzicielskich. Zachowałby się jak skończony

obłudnik. Wykorzystałby jej porażkę jako pretekst do zaangażowania całej zgrai wygłodniałych adwokatów.

Telefon do Franka Jacobsa prowadziłby w nieunikniony sposób do kolejnego sporu o prawa rodzicielskie, a to była ostatnia rzecz, jakiej Colin pragnął.

Jedynymi osobami, do których mógł się zwrócić, byli jego dziadkowie. Rodzice matki mieszkali w Sarasota, na Florydzie, w wielkim, białym, otynkowanym domu z całym mnóstwem okien i błyszczącymi posadzkami. Staruszkowie ojca mieli niewielką farmę w Vermont. Colin nie widział swoich dziadków od trzech lat i nigdy nie był z nimi szczególnie związany. Gdyby zadzwonił - oddzwoniliby do Weezy. Jego kontakty z nimi nie były aż tak ożywione, by mógł liczyć, że zachowają w tajemnicy jego sekret. I z pewnością nie przejechaliby całego kraju, by stanąć po jego stronie w tej małej wojnie, nawet za milion lat. Było to marzenie ściętej głowy.

Heather? Być może nadszedł już czas, by powiedzieć jej o wszystkim, poprosić o pomoc i radę. Nie mógł bez końca ukrywać zerwania z Royem. Ale co ona mogła zrobić? Była delikatną, raczej nieśmiałą dziewczyną, bardzo ładną, miłą i mądrą, ale nie nadawała się do takiej rozgrywki.

Westchnął.

- Rany.

Zdjął dłoń ze słuchawki.

Na całej ziemi nie było człowieka, od którego mógłby spodziewać się pomocy.

Nikogo.

Był tak samotny, jak ktoś stojący na biegunie północnym. Całkowicie, absolutnie, boleśnie samotny. Ale był do tego przyzwyczajony.

Czy kiedykolwiek było inaczej?

Poszedł na górę.

Dawniej, gdy świat wydawał mu się zbyt nieprzyjazny i niezrozumiały, Colin po prostu milczał. Szukał schronienia w fantazjach, w swoim nierealnym świecie potworów, kolekcji komiksów i półek pełnych sf i horrorów. Jego pokój był sanktuarium, oknem cyklonu, gdzie sztorm nie mógł go osiągnąć, gdzie można było nawet zapomnieć o nim na chwilę. Ten pokój był dla niego tym, czym dla chorego szpital, a dla mnicha klasztor. Leczył jego duszę i ciało, sprawiał, że czuł się w jakiś mistyczny sposób częścią czegoś daleko, daleko ważniejszego i lepszego niż codzienne życie. Jego pokój był magiczny. Był jego kryjówką i sceną, gdzie mógł się schować przed światem i samym sobą, gdzie mógł odgrywać swoje fantazje przed jednoosobową widownią. Jego pokój był miejscem płaczu i zabawy, kościołem i laboratorium, składnicą marzeń.

Teraz było to pomieszczenie jak każde inne. Sufit. Cztery ściany. Podłoga. Okno.

Drzwi. Nic ponadto. Jeszcze jedno miejsce, w którym się mieszka.

Gdy Roy wkroczył tu - nieproszony i niechciany, naruszył delikatny urok, który czynił to miejsce wyjątkowym. Na pewno grzebał we wszystkich szufladach, książkach i modelach do składania i tym samym wtargnął w duszę Colina, nawet sobie tego nie uświadamiając.

Swoim szorstkim dotykiem pozbawił magii wszystko, co było w tym pokoju, tak jak piorunochron ściąga potężne wyładowania elektryczności i rozprasza je w ziemi, aż wreszcie przestają istnieć. Nic już nie było tu wyjątkowe i Colin wiedział, że nigdy nie będzie. Czuł się napadnięty, zgwałcony, wykorzystany i wyrzucony na śmietnik. Ale Roy Borden ukradł Colinowi znacznie więcej niż tylko prywatność i dumę. Zabrał ze sobą tę resztkę niepewnego poczucia bezpieczeństwa, jaka mu jeszcze pozostała. A nawet więcej, nawet gorzej, gdyż Roy był także złodziejem złudzeń - wziął te wszystkie fałszywe, ale cudownie kojące mity, które Colin przechowywał tak długo i tak starannie.

Był przygnębiony, ale był także świadom tej dziwnej, nowej mocy, która zaczęła się w nim rozpalać. Chociaż o mało nie zginął przed paroma zaledwie minutami, to jednak teraz bał się mniej niż kiedykolwiek w przeszłości. Po raz pierwszy w życiu nie czuł się słaby ani gorszy. Wciąż był tym samym osobnikiem niższej kategorii pod względem fizycznym - chudym, krótkowzrocznym i niezdarnym, ale wewnątrz czuł się odrodzony i zdolny, by zrobić wszystko, czego tylko zapragnie.

Nie płakał i był z tego dumny.

W tej chwili nie było w nim miejsca na łzy; wypełniała go bez reszty chęć odwetu.

**CZEŚĆ TRZECIA**

Colin spędził resztę piątku w swoim pokoju. Czytał fragmenty trzech książek z psychologii, które przyniósł z biblioteki. Niektóre strony studiował kilka razy. Jeśli nie zajmował się lekturą, po prostu rozmyślał. I snuł plany. Gdy następnego dnia rano wyszedł z domu, niebo było wysokie, jasne i bezchmurne. Zamierzał spotkać się z Heather o dwunastej, spędzić popołudnie na plaży i przed zmierzchem wrócić do domu; na wszelki wypadek zabrał jednak ze sobą latarkę. Dotarł na rowerze do plaży, potem do przystani, choć nie miał nic do załatwienia w żadnym z tych miejsc. Jechał do celu okrężną drogą, by się upewnić, że nikt go nie śledzi. Widział, że Roy nie depta mu po piętach, ale mógł go obserwować z dużej odległości przez tę samą silną lornetkę, przez którą podglądali Sarę Callahan. Z przystani pojechał do centrum informacji turystycznej na północnym krańcu miasta, stamtąd skierował się wprost ku Hawk Drive, do domu Kingmana.

Nawet za dnia opuszczona budowla wyglądała groźnie i niesamowicie. Colin zbliżył się do niej z niepokojem, który zmienił się w strach, zanim zdążył przekroczyć bramę i ruszyć w stronę domu po kamiennym chodniku. Gdyby był urzędnikiem stanowym, który ma decydować o losie tej posesji, albo burmistrzem Santa Leona, kazałby natychmiast zburzyć to miejsce dla dobra obywateli. Wciąż uważał, że dom promieniuje wprost dotykającym złem, jakąś wyczuwalną groźbą, widoczną jak blask kalifornijskiego słońca, który teraz go oślepił i ogrzewał jego twarz. Trzy duże czarne ptaki zataczały nad dachem koła, by wreszcie usiąść na kominie. Dom wydawał się żywą istotą, czujną i pełną złośliwej siły. Szare zniszczone ściany były chropowate, chore, rakowate. Rdzewiejące gwoździe przypominały stare rany: stygmaty. Promienie słońca nie rozpraszały tajemniczej pustki za wybitymi szybami i wewnątrz domostwa wyglądało, przynajmniej z zewnątrz, tak samo przerażająco jak o północy. Colin położył swój rower na trawie, wspiął się na zapadnięte schody ganku i zajrzał

przez wybite okno w miejscu, gdzie stali razem z Royem pewnej nocy, jeszcze nie tak dawno... Po dokładniejszej inspekcji Colin stwierdził, że do środka domu dociera jednak trochę światła. Widać było każdy zakątek salonu. Kiedyś musiał być miejscem spotkań jakiejś paczki chłopaków - na gołej, odrapanej podłodze walały się opakowania po batonach, puste puszki po napojach i niedopałki papierosów. Nad kominkiem wisiała spłowiała i postrzępiona rozkładówka Playboya - nad tym samym gzymsem, na którym Kingman poustawiał skrwawione głowy swej zamordowanej rodziny. Dzieciaki, które kiedyś tu przychodziły, nie odwiedzały już od dawna tego miejsca - wszystko pokrywała gruba, jednolita warstwa kurzu. Dom od frontu nie był zamknięty, ale skorodowane zawiasy zapiszczały, kiedy Colin pchnął wypaczone drzwi. Poczował wokół siebie powiew wiatru, który wzbilił w korytarzu małą chmurę kurzu.

Powietrze było przesycone zapachem pleśni i próchniejącego drewna.

Przekradając się z pokoju do pokoju zauważył, że wandale dotarli do każdego zakątka tego ogromnego domostwa. Tam gdzie zachował się kawałek nagiego tynku czy względnie czysty skrawek tapety, widniały imiona chłopców, wulgarne słowa, nieprzyzwoite wierszyki i koślawe rysunki, przedstawiające męskie i żeńskie genitalia. W ścianach wybito dziury o postrzępionych krawędziach - niektóre wielkości dłoni, inne ogromne jak drzwi. Podłogę pokrywały stosy tynku i śmieci.

Gdy Colin stał bez ruchu, dom był nienaturalnie cichy. Lecz gdy tylko się poruszał, cała ta artretyczna konstrukcja reagowała na każdy jego krok; zewsząd dobiegało skrzypienie złączy.

Kilkakrotnie wydawało mu się, że słyszy za plecami jakieś pełzanie, ale gdy się odwracał, nie dostrzegał niczego. Krążył po tej ruinie, nie zaprzatając sobie głowy myślami o potworach i duchach. Ta nowo odkryta odwaga dziwiła go i sprawiała mu przyjemność - choć



trochę niepokoiła. Jeszcze kilka tygodni wcześniej za nic w świecie nie przekroczyłby sam progu tego domu, nawet gdyby chodziło o nagrodę w wysokości miliona dolarów.

Spędził w posiadłości Kingmana ponad dwie godziny. Nie ominął żadnego pokoju ani garderoby. Pomieszczenia, których okna były zabite na głucho, oświetlał latarką, którą ze sobą zabrał. Większość czasu spędził na pierwszym piętrze. Zbadał tu każdy kąt i zaplanował jedną czy dwie niespodzianki dla Roya Bordena.

A jednak Heather mogła mu pomóc. W gruncie rzeczy stanowiła chyba najważniejszy element jego planu zemsty. Bez jej współpracy musiałby wszystko zmienić. Colin nie chciał, by walczyła z nim razem. Nie zamierzał wykorzystać jej siły czy zręczności. Chciał jej użyć jako przynęty.

Jeśli się zgodzi, to ona także narazi się na niebezpieczeństwo. Ale był pewien, że potrafi ją ochronić. Nie był już tym samym słabym Colinem Jacobsem, który przeprowadził się do Santa Leona na początku lata. Zaskoczy Roya. A zaskoczenie było jednym z elementów jego planu.

Heather czekała na plaży, w cieniu mola. Miała na sobie jednoczęściowy kostium. Nie lubiła kostiumów dwuczęściowych ani bikini czy czegoś podobnego, ponieważ uważała, że nie wygląda w tym dobrze. Colin był przeciwnego zdania i powiedział to Heather. Zauważył, że komplement sprawił jej przyjemność, ale było także jasne, że nie bardzo mu uwierzyła.

Wybrali odpowiednie miejsce na gorącym piachu i rozłożyli swoje ręczniki. Leżeli przez chwilę na plecach, w przyjacielskim milczeniu, wygrzewając się w słońcu.

Wreszcie Colin przekręcił się na bok, unosząc się nieznacznie na łokciu, i spytał”

- Jakie ma dla ciebie znaczenie, że jestem przyjacielem Roya Bordena?

Zmarszczyła brwi, ale nie otworzyła oczu ani też nie zmieniła pozycji.

- Co masz na myśli?

- Jakie ma to dla ciebie znaczenie? - nalegał, czując jak zaczyna walić mu serce.

- Dlaczego miałoby to mieć dla mnie jakieś znaczenie? - spytała. - Nie rozumiem.

Colin wziął głęboki oddech i brnął dalej.

- Czy nadal byś mnie lubiła, gdybym nie był przyjacielem Roya?

Tym razem odwróciła głowę w jego stronę i otworzyła oczy.

- Mówisz poważnie?

- Tak.

Przekręciła się na bok i uniosła na łokciu, żeby spojrzeć mu w twarz. Wiatr rozwiewał jej włosy.

- I ty myślisz, że jestem tobą zainteresowana tylko dlatego, że jesteś najlepszym przyjacielem tej szkolnej gwiazdy?

- No... - Colin zaczerwienił się.

- To okropne - powiedziała, ale w jej głosie nie było złości.

Wzruszył ramionami, zakłopotany, ale wciąż ciekaw jej odpowiedzi.

- I obraźliwe - dodała.

- Przepraszam - powiedział szybko i pojednawczo. - Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Chodzi o to, że... musiałem cię spytać. To dla mnie bardzo ważne wiedzieć, czy ty...

- Lubię cię, ponieważ ty to ty - powiedziała Heather. - Jestem tu właśnie teraz z tobą, bo jest nam fajnie razem. Roy Borden nie ma tu nic do rzeczy. Prawdę mówiąc, jestem tu pomimo tego, że się z nim przyjaźnisz.

- Co?

- Zaliczam się do tej wąskiej grupy, która nie dba o to, co Roy robi, mówi czy myśli.

Prawie każdy chce być jego przyjacielem, ale mnie mało obchodzi, czy on w ogóle wie o moim istnieniu.

Colin otworzył oczy ze zdumienia.

- Nie lubisz Roya Bordena?

Zawahała się, po czym powiedziała

- Jest twoim przyjacielem. Nie chcę o nim źle mówić.

- W tym cała rzecz - prawie krzyknął Colin. - On już nie jest moim przyjacielem.

Nienawidzi mnie.

- Co? Co się stało?

- Powiem ci za chwilę. Nie obwiniaj się. Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie wszystko komuś opowiem. - Colin usiadł na swoim ręczniku. - Ale najpierw muszę wiedzieć, co o nim myślisz. Sądziłem, że go lubisz. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie mi powiedziałaś, było to, że widziałaś nas razem. Więc zdawało mi się, że...

- Po prostu byłam ciekawa - wyjaśniła. - Nie przypominaleś chłopaków, którzy zwykle kręcą się przy nim. A im lepiej cię poznawałam, tym mi się wydawało to dziwniejsze.

- Powiedz mi, dlaczego go nie lubisz.

Heather także usiadła.

Wiatr wiejący od oceanu był ciepły i pachniał solą.

- No cóż - powiedziała - trudno powiedzieć, żebym go nie lubiła. To znaczy, nie jakoś wyjątkowo, z pasją czy coś w tym rodzaju. Nie znam go na tyle dobrze. Ale znam go wystarczająco, by wiedzieć, że nigdy nie mogłabym być jego wielbicielką. Jest w nim coś zepsutego.

- Zepsutego?

- Trudno to wyrazić słowami - powiedziała Heather. - Ale zawsze miałam wrażenie, że Roy nigdy nie jest... szczery. Nigdy. W żadnej sprawie. Wciąż udaje, że jest kimś innym. Najwidoczniej nikt tego nie dostrzega. Ale ja sądzę, że on zawsze manipuluje ludźmi, wykorzystuje ich w taki czy inny sposób, a potem śmieje się z nich w głębi duszy.

- Tak! - powiedział Colin. - O, tak! Dokładnie. Tak właśnie postępuje. I jest w tym dobry. Nie tylko wtedy, gdy chodzi o kolegów. Potrafi także manipulować dorosłymi.

- Moja matka widziała go tylko raz - powiedziała Heather. - Wydawało mi się, że

nigdy nie przestanie o nim mówić. Uważała, że jest taki czarujący, taki inteligentny i kulturalny.

- Moja też - powiedział Colin. - Wolałaby, żeby to on był jej synem, nie ja.

- Więc co się stało? - spytała Heather. - Dlaczego ty i Roy nie jesteście już przyjaciółmi?

Opowiedział jej wszystko, zaczynając od dnia, w którym po raz pierwszy spotkał Roya. Opowiedział jej o kocie w klatce dla ptaków. O zabawie kolejką elektryczną. O przyznaniu się Roya do zabicia dwóch chłopców, ot tak, dla zabawy. O jego pragnieniu zgwałcenia i zamordowania Sary Callahan. O koszmarze na złomowisku Pustelnika Hobsona. O napaści w jego domu. Opowiedział jej o tym, co wyczytał w starych numerach *News Register*, całą historię okropnego wypadku Belindy Jane Borden i o pobycie w szpitalu Roya i pani Borden.

Heather słuchała w pełnym osłupienia milczeniu. Początkowo na jej twarzy malowało się powątpiewanie, ale jej sceptycyzm stopniowo zanikał, by wreszcie ustąpić miejsca coraz głębszemu, choć niechętnemu przekonaniu. Była wstrząśnięta, a gdy Colin skończył, powiedziała”

- Musisz powiadomić policję.

Spojrzał na falujące łagodnie morze i na niebo, pełne nurkujących mew.

- Nie - powiedział. - Nie uwierzą mi.

- Na pewno uwierzą. Mnie przekonałeś.

- Ty to co innego. Ty jesteś dzieciakiem, takim jak ja. A policja to dorośli. Poza tym, jak zadzwonią do mojej matki, żeby spytać, czy wie coś na ten temat, to im powie, że kłamię, i że mam problemy z narkotykami. Bóg jeden wie, co wtedy ze mną zrobią.

- Powiemy moim rodzicom - stwierdziła Heather. - Nie są aż tak źli. Lepszy niż twój,

chyba. Nawet słuchają mnie od czasu do czasu. Spróbujemy ich przekonać. Wiem, że nam się uda.

Potrząsnął głową.

- Nie. Roy już raz oczarował twoją matkę. Pamiętasz? Znów ją oczaruje, jeśli będzie musiał. Uwierzy jemu, nie nam. A jeśli twoi starzy zadzwonią do Weezy, żeby to przedyskutować, to ich przekona, że jestem stukniętym narkomanem. Rozdzielą nas. Nie będzie ci wolno zbliżyć się do mnie. A gdy Roy się zorientuje, że wiesz o wszystkim i że mi wierzysz, będzie chciał zabić nas oboje.

Milczała przez chwilę. Potem drgnęła i powiedziała”

- Masz rację.

- Tak - przyznał z żalem w głosie.

- Co zrobimy?

- Spojrzał na nią. - Powiedziałaś „my”?

- Oczywiście, że powiedziałam „my”. - Co ty sobie myślisz, że odwrócę się do ciebie plecami w takiej chwili? Sam nie dasz rady. Nikt by nie dał.

- Miałem nadzieję, że tak powiesz - stwierdził z ulgą.

Wyciągnęła dłoń i wzięła go za rękę.

- Mam pewien plan - powiedział.

- Jaki plan?

- Plan złapania Roya w pułapkę. Jest w nim rola dla ciebie.

- Co miałabym robić?

- Być przynętą - powiedział Colin.

Przedstawił jej swój zamiar.

Kiedy skończył, stwierdziła”

- Sprytne.

- Wszystko pójdzie dobrze.

- Nie jestem taka pewna.

- Dlaczego?

- Bo nie będę dobrą przynętą. Musisz znaleźć dziewczynę, którą Roy uznałby za...

pociągającą... sexy. Dziewczynę, której naprawdę by pragnął. - Jej twarz nabrała kolorów. -

Nie jestem dość... dobra.

- Mylisz się - zapewnił ją Colin. - Jesteś dobra. Jesteś wspaniała.

Odwróciła głowę i spojrzała na swoje kolana.

- Ładne kolana - powiedział Colin.

- Sterczące.

- Nie.

- Sterczące i czerwone.

- Nie.

Wyczuwając, że tego właśnie pragnie, położył dłoń na jej kolanie, przesunął kilka cali

w górę, po udzie, po czym znów zjechał niżej, głaszcząc delikatnie.

Zamknęła oczy, drżąc nieznacznie.

Poczuł reakcję własnego ciała.

- To będzie niebezpieczne - powiedziała.

Nie mógł jej okłamywać. Nie mógł bagatelizować ryzyka tylko po to, by zapewnić

sobie jej współpracę.

- Tak - potwierdził. - To będzie bardzo, bardzo niebezpieczne.

Wzięła do ręki garść piachu i pozwoliła, by przesypywał się między jej palcami.

Głaskał delikatnie jej kolano i udo. Patrzył na swoją śmiałą dłoń z podnieceniem i

zdziwieniem, jak na coś obdarzonego własną wolą.

- Z drugiej strony - powiedziała - mamy przewagę, bo to my mamy plan.

- I to my go zaskoczmy.

- I będziemy mieli broń - dodała.

- Tak. Pistolet.

- Jesteś pewien, że potrafisz go zdobyć?

- Jak najbardziej.

- W porządku - oświadczyła. - Zrobię to. Załatwimy go. Razem.

Colin poczuł, jak jego żołądek nieprzyjemnie podskakuje, pobudzony dziwnym połączeniem dwu bodźców: pożądania i strachu.

- Colin?

- Co?

- Naprawdę myślisz, że jestem... niezła?

- Tak.

- Ładna?

- Tak.

Spojrzała mu głęboko w oczy, uśmiechnęła się i odwróciła głowę, by znów popatrzeć na morze.

Zdawało mu się, że dostrzegł łzy w jej oczach.

- Lepiej, żebyś już sobie poszedł.

- Dlaczego?

- Nasz plan będzie miał większe szanse powodzenia, jeśli Roy nie będzie wiedział, że się znamy. Jeśli nas tu przypadkiem zobaczy, i to razem, to później może nie dać się złapać na naszą sztuczkę.



Miała rację. Poza tym musiał jeszcze zrobić parę rzeczy i przygotować kilka spraw.

- Zadzwoń do mnie wieczorem - poprosiła Heather.

- Zadzwonię.

- Bądź ostrożny.

- Ty też.

- Colin?

- Tak?

- Myślę, że też jesteś niezły. Jesteś wspaniały.

Uśmiechnął się szeroko i starał się pomyśleć o czymś, co mógłby jej powiedzieć, ale nic mu nie przychodziło do głowy, odwrócił się więc i ruszył biegiem w stronę części parkingu przeznaczonej dla rowerów.

Realizacja planu wymagała zakupu drogiego sprzętu i Colin musiał zdobyć znaczną sumę pieniędzy.

Wrócił z plaży do domu. Poszedł na górę do swego pokoju i otworzył metalową skarbonkę w kształcie latającego spodka. Potrząsnął nią; na łóżko wypadły zwinięte w rulon banknoty i mnóstwo monet. Policzył pieniądze i stwierdził, że ma dokładnie siedemdziesiąt jeden dolarów. Stanowiło to mniej więcej jedną trzecią sumy, jakiej potrzebował.

Siedział przez parę minut na łóżku, wpatrując się w pieniądze. Rozwazał różne warianty.

Wreszcie podszedł do garderoby i wyciągnął z niej kilka dużych pudeł wypełnionych komiksami. Każdy był zapakowany w plastikową torebkę z zamkiem błyskawicznym.

Przejrzał je i wybrał kilka najcenniejszych i najmniej zniszczonych egzemplarzy.

O wpół do drugiej zaniósł sześćdziesiąt komiksów do sklepu pod nazwą „Dom Nostalgii” przy Broadway. Sklep był przeznaczony dla kolekcjonerów literatury sf, pierwszych wydań kryminałów, komiksów i taśm ze starymi audycjami radiowymi.

Pan Plevich, właściciel sklepu, był wysokim, siwowłosym człowiekiem o sumiastych wąsach. Przyciskał do lady swój ogromny brzuch, przeglądając ofertę Colina.

- K - k - kilka naprawdę n - niezłych pozycji - ocenił.

- Ile może pan za nie dać?

- Nie m - m - mogę dać ci za nie t - tyle, ile są warte - powiedział. - Muszę coś z tego

m - m - mieć.

- Rozumiem - zgodził się Colin.

- Prawdę powiedziawszy, odradzałbym p - p - pozbywania się ich teraz. To doskonale

z - zachowane p - p - p - ierwsze wydania.

- Wiem.

- Już teraz są w - warte znacznie w - w - więcej, niż zapłaciłeś za nie w kiosku. Jeśli  
potrzymasz je jeszcze d - d - d - dwa lata czy coś koło tego, to prawdopodobnie ich wartość  
się p - potroi.

- Tak. Ale potrzebuję pieniędzy. Natychmiast.

Pan Plevich mrugnął do niego.

- Masz d - d - dziewczynę?

- Tak. Zbliżają się jej urodziny - skłamał Colin.

- Będiesz t - t - tego żałował. Dż - dż - dziewczyna prędzej czy później odejdzie, a d -  
dobrym komiksem można się cieszyć o wiele dłużej.

- Ile?

- Myślałem o stu dolarach.

- Dwieście.

- Z - za dużo. Ona n - nie p - p - potrzebuje takiego drogiego p - p - p - rezentu. Co byś  
powiedział na sto d - dwadzieścia?

- Nie.

Pan Plevich przejrzał jeszcze dwukrotnie zbiór komiksów i w końcu stanęło na stu  
czterdziestu dolarach w gotówce.

Na następnym skrzyżowaniu znajdowała się filia California Federal Trust. Colin dał  
kasjerce banknoty ze skarbonki, a ta wydała mu bilon. Z dwustu jedenastoma dolarami w  
kieszeni udał się do sklepu ze sprzętem elektronicznym na Broadway i kupił najlepszy  
miniaturowy magnetofon, na jaki było go stać. W domu miał co prawda magnetofon  
kasetowy, ale był za duży i nieporęczny, a mikrofon nie wyłapywał niczego, co znajdowało  
się w odległości większej niż trzy czy cztery stopy. Ten, który kupił za sto osiemdziesiąt

dziewięć dolarów, dziewięćdziesiąt pięć centów, okazjnie, po zaniżonej o trzydzieści dolarów cenie - wychwytywał i wyraźnie nagrywał głosy z odległości nawet trzydziestu stóp; tak przynajmniej utrzymywał sprzedawca. Ponadto miał tylko dziewięć cali długości, pięć szerokości i tylko trzy grubości; można więc było łatwo go ukryć.

Zdażył wrócić do domu i schować magnetofon, gdy pięć minut później wpadła matka, by przebrać się przed umówioną kolacją. Dała mu pieniądze, żeby zjadł u Charly'ego. Kiedy wyszła, zrobił sobie kanapkę z serem i popił ją mlekiem czekoladowym.

Po kolacji poszedł do swojego pokoju i eksperymentował jakiś czas z nowym magnetofonem. Był znakomity - nagrywał głos czysto i bez zniekształceń, wychwytywał dźwięki nawet z odległości trzydziestu stóp, tak jak obiecywał sprzedawca, ale przy maksymalnym zasięgu jakość nagrania była znacznie gorsza. Testował urządzenie kilka razy, aż wreszcie uznał, że nadaje się do nagrywania rozmów z odległości dwudziestu pięciu stóp. Powinno wystarczyć.

Poszedł do sypialni matki i zajrzał do szafki nocnej, a później do serwantki. Pistolet leżał w szufladzie. Miał dwa bezpieczniki i kiedy się je przesunęło, zapalały się dwa czerwone światełka na niebiesko - czarnej obudowie broni. Kiedy Colin wspomniał Royowi o pistolecie, powiedział, że nie jest prawdopodobnie nawet załadowany. Ale był. Ponownie zabezpieczył broń i położył ją na swoje miejsce; leżała na stosie matczynych jedwabnych majtek.

Zadzwoił do Heather i znów omawiali szczegóły planu, starając się wyłapać jego słabe punkty, których wcześniej mogli nie zauważyć. Plan zdawał się mieć szansę powodzenia.

- Jutro porozmawiam z panią Borden - powiedział Colin.

- Myślisz, że to naprawdę konieczne?

- Tak. Jeśli uda mi się ją nakłonić, by w ogóle mówiła i nagrać wszystko na taśmę, to zyskamy jeszcze jeden dowód.

- Ale jeśli Roy dowie się, że z nią rozmawiałeś, może nabrać podejrzeń. Może się domyślić, że coś kombinujemy i element zaskoczenia odpadnie.

- Ludzie w tej rodzinie mają problemy z porozumiewaniem się - zapewnił ją Colin. - Może nawet nie wspomni Royowi o naszej rozmowie.

- A może wspomni.

- Musimy zaryzykować. Jeśli zdradzi coś, co pomoże nam wyjaśnić zachowanie Roya, jego motywacje, to łatwiej nam będzie przekonać policję.

- No... dobrze - powiedziała Heather. - Ale zadzwoń do mnie, jak już się z nią spotkasz. Opowiesz mi wszystko.

- Zadzwonię. A jutro wieczorem zastawimy na Roya pułapkę.

Milczała przez chwilę. Potem spytała”

- Tak szybko?

- Nie ma sensu zwlekać.

- Nie zaszkodziłoby, gdybyśmy przez dzień czy dwa przemyśleli wszystko jeszcze raz.

Chodzi mi o nasz plan. Może jest w nim jakiś błąd. Może coś przeoczyliśmy.

- Nie przeoczyliśmy - powiedział. - Musi zadziałać.

- No to... w porządku.

- Zawsze możesz się wycofać.

- Nie.

- Nie będę się upierał wbrew tobie.

- Nie - powtórzyła. - Pomogę ci. Potrzebujesz mnie. Zrobimy to jutro wieczorem.

Kilka godzin później, w nocy, Colin obudził się z koszmarne go snu spocony i

roztrzęsiony. Nie mógł sobie przypomnieć, czego ten sen dotyczył. Pamiętał tylko, że była w nim Heather. Zbudził go jej krzyk.

W niedzielę rano, o wpół do dwunastej, Colin udał się na przystań i usiadł na ławce przy nadmorskim deptaku, skąd miał doskonały widok na sklep pod nazwą „Skarby”. Sprzedawano w nim pamiątki i upominki - pocztówki, lampy zrobione z muszli, paski zrobione z muszli, przyciski do papierów zrobione z muszli, muszle z czekolady, podkoszulki z zabawnymi napisami, książki o Santa Leona, świece w kształcie słynnej dzwonnicy z misji Santa Leona, porcelanowe talerze z widokami Santa Leona, i całe mnóstwo bezużytecznego śmiecia. Matka Roya pracowała w nim popołudniami, przez pięć dni w tygodniu, nie wyłączając niedzieli.

Colin trzymał pod pachą złożoną ortalionową wiatrówkę. Był w niej ukryty nowy magnetofon. Nawet przy nieustępliwej bryzie wiejącej od strony oceanu dzień był o wiele za ciepły, by zakładać kurtkę, ale Colin nie przypuszczał, by pani Borden zwróciła na to uwagę. W końcu nie miała powodów, by traktować go podejrzliwie.

Po deptaku spacerowało mnóstwo ludzi, którzy rozmawiali, śmiali się, oglądali wystawy sklepowe i jedli banany oblewane czekoladą; sporą grupę stanowiły atrakcyjne, długonogie nastolatki w szortach albo bikini. Colin zmuszał się, by na nie nie patrzeć. Nie chciał, by cokolwiek go rozpraszało, gdyż obawiał się, że nie zauważy pani Borden i będzie musiał spotkać się z nią w gwarnym sklepie.

Dostrzegł ją dziesięć po dwunastej. Była chudą kobietą o ptasich kształtach. Szła szybko, z głową podniesioną do góry i cofniętymi ramionami, w sposób typowy dla ludzi interesu.

Sięgnął do zawiniętej kurtki i włączył magnetofon, następnie wstał i przebiegł na drugą stronę deptaka. Dogonił ją, zanim zdążyła wejść do sklepu.

- Pani Borden?

Zatrzymała się gwałtownie na dźwięk swojego nazwiska i odwróciła się w jego stronę.

Była wyraźnie zaskoczona. Nie poznała go.

- Spotkaliśmy się dwa razy - powiedział - ale za każdym razem widzieliśmy się bardzo krótko. Nazywam się Colin Jacobs. Jestem przyjacielem Roya.

- Ach tak. Przypominam sobie.

- Muszę z panią porozmawiać.

- Spieszę się do pracy.

- To bardzo ważne.

Spojrzała na zegarek.

- Naprawdę to bardzo ważne.

Zawahała się, zerknąwszy na sklep.

- Chodzi o pani córkę - powiedział.

Podniosła raptownie głowę.

- Chodzi o Belindę Jane.

Helena Borden była ładnie opalona. Na dźwięk imienia zmarłej córki opalenizna nie zniknęła z jej twarzy, ale widać było, jak odpływa z niej krew. Nagle kobieta wydała się stara i chora.

- Wiem, jak umarła - powiedział Colin.

Pani Borden milczała.

- Roy opowiadał mi o tym - skłamał Colin.

Zdawało się, że kobieta zastygła. Jej oczy były lodowate.

- Rozmawialiśmy o Belindzie całymi godzinami - powiedział.

Kiedy się odezwała, jej cienkie wargi ledwie się poruszały.

- To nie twoja sprawa.



- Roy zrobił z tego moją sprawę - powiedział Colin. - Nie chciałem tego słuchać. Ale on zdradził mi sekret.

Patrzyła na niego z nienawiścią.

- Straszny sekret. Sekret jej śmierci.

- To nie żaden sekret. Widziałam. To był... wypadek. Straszny wypadek.

- Naprawdę? Jest pani absolutnie pewna?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zdradził mi ten sekret i kazał przysiąc, że nikomu nie powiem. Ale przed panią nie mogę tego zataić. To zbyt straszne.

- Co on ci powiedział?

- Wyjaśnił, dlaczego ją zabił.

- To był wypadek.

- Planował to parę miesięcy - skłamał Colin.

Złapała go nagle za ramię i poprowadziła na drugą stronę deptaka do stojącej na uboczu ławeczki, tuż przy balustradzie.

W tym samym ręku trzymał kurtkę i bał się, że kobieta zauważy magnetofon. Nie zauważyła. Usiedli obok siebie, plecami do morza.

- Mówił ci, że ją zabił?

- Tak.

Potrząsnęła głową.

- Nie. To musiał być wypadek. Musiał. Roy miał wtedy tylko osiem lat.

- Zdarza się chyba, że niektóre dzieci rodzą się złe - powiedział Colin. - Chodzi mi o to, rozumie pani, że nie jest ich tak wiele. Jest ich bardzo mało. Ale z drugiej strony, co jakiś czas czyta się o tym w gazetach, o tym, jak dzieci popełniają straszne zbrodnie. Sądzę,

rozumie pani, że jedno na sto tysięcy rodzi się właśnie takie. Wie pani o tym? Rodzi się złe. I cokolwiek taki dzieciak by zrobił, nie można obwiniać ani jego rodziny, ani szkoły, bo rozumie pani, on się taki już urodził.

Przyglądała mu się z uwagą, gdy ciągnął tę swoją przemowę, ale nie był pewien, czy dotarło do niej choć jedno jego słowo. Kiedy wreszcie przerwał, milczała przez chwilę, po czym spytała”

- Czego on chce ode mnie?

Colin otworzył oczy ze zdumienia.

- Kto?

- Roy. Dlaczego napuścił cię na mnie?

- Nie zrobił tego - zaprotestował Colin. - Proszę, niech mu pani nie mówi, że z panią rozmawiałem. Proszę, pani Borden. Gdyby wiedział, że tu jestem i opowiadam pani to wszystko, toby mnie zabił.

- Śmierć Belindy była wypadkiem - powiedziała. Ale w jej głosie nie było przekonania.

- Nie zawsze tak pani uważała - powiedział.

- Skąd wiesz?

- Dlatego go pani zabiła.

- Nie zabiłam.

- Powiedział mi.

- Kłamał.

- To skąd wzięły się te blizny?

Poruszyła się nerwowo.

- To było w rok po śmierci Belindy.

- Co on ci powiedział?

- Że go pani zabiła, ponieważ wiedziała pani, że on ją zabił.

- Tak powiedział?

- Tak.

Odwróciła się nieznacznie, by spojrzeć na morze.

- Właśnie skończyłam czyścić i woskować podłogę w kuchni. Była czysta jak łza.

Idealna. Absolutnie nieskazitelna. Można było jeść z tej podłogi. I wtedy wszedł do kuchni w tych swoich zabłoconych buciorach. Naigrawał się ze mnie. Nie odezwał się słowem, ale kiedy zobaczyłam, jak idzie po tej podłodze w tych zabłoconych buciorach, od razu wiedziałam, że się ze mnie naigrawa. Najpierw zabił Belinę, a teraz drwił sobie ze mnie, i wtedy jedno i drugie wydawało się równie złe. Chciałam go zamordować.

Colin odetchnął z ulgą. Wcale nie był pewien, czy to właśnie pani Borden była sprawczynią tych blizn na plecach syna. Opierał się na przecuciu i teraz, gdy okazało się ono prawdą, był już znacznie pewniejszy słuszności kolejnych elementów swej teorii.

- Wiedziałam, że zabił ją naumyślnie. Ale oni mi nie uwierzyli - powiedziała.

- Wiem.

- Zawsze wiedziałam. Nigdy nie miałam wątpliwości. Zabił swoją siostrzyczkę. -

Mówiła teraz do siebie, patrząc daleko w morze i w przeszłość. - Gdy go biłam, próbowałam tylko zmusić go do wyznania prawdy. Belinda zasługiwała na to, czyż nie? Nie żyła i zasługiwała na to, by jej zabójca został ukarany. Ale oni mi nie uwierzyli.

Jej głos zamarł i milczała tak długo, aż Colin postanowił interweniować.

- Roy śmiał się z tego. Uważał za zabawne to, że nikt nie bierze pani poważnie.

Nie potrzebowała szczególnej zachęty.

- Powiedzieli, że mam nerwowe załamanie. Wysłali mnie do szpitala okręgowego.

Poddali terapii. Jakbym była jakąś wariatką. Drogi psychiatra. Traktował mnie jak dziecko.

Głupi człowiek. Byłam tam długo - aż zdałam sobie sprawę, że wystarczy tylko powiedzieć, że myliłam się co do Roya.

- Nigdy się pani nie myliła.

Spojrzała na niego.

- Powiedział ci, dlaczego zabił Belindę?

- Tak.

- Więc dlaczego?

Colin poruszył się niespokojnie, ponieważ nie był przygotowany na to pytanie i nie chciał, by się zorientowała, że kłamie od początku tej dziwnej rozmowy. Kierował nią, starając się wyciągać z niej rzeczy, które chciał mieć na taśmie. Powiedziała już trochę, ale nie wszystko. Miał nadzieję, że będzie mu ufała, dopóki nie nagra tego, czego potrzebował.

Na szczęście, kiedy się wahał, pani Borden odpowiedziała za niego.

- To była zazdrość, prawda? Był zazdrosny o moją małą dziewczynkę, ponieważ po jej przyjściu na świat uświadomił sobie, że tak naprawdę nigdy nie będzie jednym z nas.

- Tak. To właśnie mi powiedział - stwierdził Colin, choć nie bardzo rozumiał, o co jej chodzi.

- To był błąd - powiedziała. - Nigdy nie powinniśmy byli go adoptować.

- Adoptować?

- Nie powiedział ci tego?

- No... nie.

Zawalił sprawę. Pani Borden zaczęła się teraz zastanawiać, dlaczego Roy ujawnił wszystko, każdy paskudny sekret, tylko nie to. Potem się zorientuje, że Roy nie powiedział mu niczego o Belindzie Jane, że Colin wyssał sobie to wszystko z palca, i że po prostu

prowadzi z nią jakąś dziwną grę.

Ale zaskoczyła go. Była tak zagłębiona w swoich wspomnieniach i tak poruszona faktem, że jej syn przyznał się do siostrobójstwa, że nie miała na tyle przytomności umysłu, by zastanowić się nad zagadkowymi brakami w wiadomościach Colina.

- Pragnęliśmy dziecka bardziej niż czegokolwiek innego w świecie - patrzyła w morze. - Własnego dziecka. Ale lekarze orzekli, że nigdy nie będziemy go mieli. To była moja wina. Coś było ze mną... nie tak. Alex, mój mąż, był strasznie przygnębiony. Strasznie. Tak bardzo pragnął mieć własne dziecko. Ale lekarze mówili, że to po prostu niemożliwe. Odwiedziliśmy z pół tuzina specjalistów i wszyscy mówili to samo. Nawet cienia szansy. Z mojego powodu. Więc namówiłam go na adopcję. Znowu moja wina. Całkowicie. To był zły pomysł. Nie wiemy nawet, kim byli rodzice Roya - albo czym byli. To gryzie Alexa. Jacy ludzie spłodzili Roya? Co było w nich złego? Jakie skazy i choroby przekazali mu w dziedzictwie? Przyjęcie go do naszego domu było strasznym błędem. Już po paru miesiącach wiedziałam, że nie pasował do nas. Był dobrym dzieckiem, lecz Alex nie mógł się do niego przekonać. Tak bardzo pragnęłam, by Alex miał swoje dziecko, ale on pragnął dziecka, w którego żyłach płynęłaby jego własna krew. To dla niego bardzo ważne. Nie masz pojęcia, jak ważne. Dziecko zaadoptowane nie ma nic wspólnego z twoim ciałem - twierdzi Alex. Mówi, że nigdy nie będzie się takiego dziecka czuło tak blisko, jak własnej krwi. Mówi, że przypomina to tresurę dzikiego zwierzęcia - nigdy się nie wie, kiedy takie zwierzę obróci się przeciwko tobie, ponieważ w głębi swego wnętrza nie jest wcale takim, jakim pragnęłaś go uczynić. A zatem była to następna zła rzecz, jaką zrobiłam: sprowadziłam do domu czyjeś dziecko. Obcego. A on obrócił się przeciwko nam. Zawsze zrobię coś nie tak. Zawiodłam Alexa. To, czego pragnął, to było nasze własne dziecko.

Kiedy Colin siedział na ławce, czekając na nią, spodziewał się, że będzie miał

problemy z nakłonieniem jej do mówienia. Ale okazało się, że nacisnął właściwy guzik. Nie miała zamiaru skończyć. Ciągnęła swój monolog jednostajnym głosem, niczym bohater wiersza o starym marynarzu Coleridge'a, skazanym na opowiadanie swojej historii każdemu, kto tylko zechce słuchać. Przypominała robota, którego mechanizm miał się za chwilę wyczerpać i któremu pozostało niewiele czasu. Pod chłodną skorupą opanowania, typową dla kobiety interesu, kryło się rozchwianie i niepewność, wywołujące silny, wewnętrzny żar. Gdy tak słuchał tego, co mówi, wydawało mu się, że za chwilę dotrze do niego dźwięk zakleszczających się przekładni, pękających sprężyn i wybuchających lamp elektronowych.

- Gdy Roy był u nas już dwa i pół roku - powiedziała - stwierdziłam, że będę miała dziecko. Lekarze mylili się. O mało nie umarłam przy porodzie i nie ulegało wątpliwości, że jest to moje pierwsze i ostatnie dziecko, ale miałam je. Mylili się. Skomplikowane testy i konsultacje, niebotyczne honoraria, to było na nic, mylili się. Była dzieckiem zesłanym w cudowny sposób. Bóg już na samym początku zdecydował, że otrzymamy w darze coś nieosiągalnego, cudowne dziecko, ten niezwykły dar, a ja nie miałam dość cierpliwości, by na nie czekać. Nie miałam dość wiary. Miałam jej o wiele za mało. Nienawidzę się za to. Namówiłam Alexa na adopcję. Potem przyszła na świat Belinda, dziecko, które było nam przeznaczone. A ja nie miałam wiary. Więc po pięciu latach odebrano nam naszą dziewczynkę. Roy nam ją odebrał. Dziecko, które nigdy nie było nam przeznaczone, odebrało nam to, które zesłał Bóg. Rozumiesz?

Fascynacja Colina ustąpiła miejsca zakłopotaniu. Nie musiał ani nie chciał znać tych wszystkich brudnych szczegółów. Rozejrzał się ostrożnie, by upewnić się, że nikt nie podsłuchuje, ale w pobliżu ławki nie było nikogo.

Przestała patrzeć w morze i spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego tu przyszedłeś, młody człowieku? Dlaczego zdradzasz mi tajemnicę Roya?

Wzruszył ramionami.

- Sądziłem, że powinna pani wiedzieć.

- Spodziewasz się, że coś mu zrobię?

- A ma pani taki zamiar?

- Bardzo bym chciała - powiedziała z najczystsza nienawiścią w głosie. - Ale nie mogę. Jeśli zacznę mówić, że to on zabił moją małą dziewczynkę, to wszystko zacznie się od nowa. Znow mnie wyślą do tego szpitala.

- Rozumiem. - Spodziewał się tego, zanim jeszcze odezwał się do niej.

- Nikt mi nigdy nie uwierzy, jeśli chodzi o Roya - dodała. - I kto uwierzy tobie?

Dowiedziałam się od twojej matki, że masz problemy z narkotykami.

- Nie. To nieprawda.

- Kto uwierzy któremukolwiek z nas?

- Nikt - odpowiedział.

- Potrzebujemy dowodu.

- Tak.

- Nieodpartego dowodu.

- Racja.

- Czegoś namacalnego - powiedziała. - Może...gdybyś potrafił nakłonić go, by znow ci wszystko opowiedział... o tym, jak ją zabił naumyślnie... i gdybyś miał przy sobie magnetofon, ukryty gdzieś...

Colin drgnął na wzmiankę o magnetofonie.

- To niezły pomysł...

- Musi istnieć jakiś sposób - powiedziała.

- Tak.

- Pomyślmy o tym.

- W porządku.

- Zastanów się, jak zastawić na niego pułapkę.

- OK.

- Wtedy znów się spotkamy.

- Tak?

- Tutaj - powiedziała. - Jutro.

- Ale...

- Zawsze występowałam przeciwko niemu tylko ja - powiedziała, przysuwając się

bliżej Colina. Poczł na twarzy jej oddech. Rozpoznał zapach: miętowa guma do żucia. - Ale

teraz jesteś jeszcze ty. Teraz już dwoje ludzi zna prawdę o nim. Razem powinniśmy coś

wymyślić, żeby go załatwić. Chcę, by wszyscy dowiedzieli się, jak zaplanował zabójstwo

mojej małej dziewczynki. Kiedy się dowiedzą, to chyba nie będą się spodziewać, że zechcę

dłużej trzymać go w swoim domu? Odeślemy go tam, skąd przyszedł. Sąsiedzi nie będą

gadali. Nie powiedzą słowa, gdy się dowiedzą, co zrobił. Uwolnię się od niego. Pragnę tego

bardziej niż czegokolwiek innego. - Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. - Będiesz moim

sprzymierzeńcem, prawda?

Nagle nawiedziła go szalona myśl, że ta kobieta za chwilę zaproponuje mu rytuał

braterstwa krwi.

- Będiesz? - ponowiła pytanie.

- Zgoda. - A naprawdę nie miał najmniejszego zamiaru spotykać się z nią; była równie

przerażająca jak Roy.

Położyła dłoń na jego policzku i Colin zaczął się bezwiednie cofać, zanim uświadomił

sobie, że był to z jej strony tylko gest czułości. Jej palce były zimne.



- Jesteś dobrym chłopcem - powiedziała. - Dobrze postąpiłeś, przychodząc do mnie.

Pragnął, by cofnęła swą dłoń.

- Zawsze znałam prawdę - powiedziała - ale to ogromna ulga wiedzieć, że jest ktoś jeszcze, kto ją zna. Przyjdź tu jutro. O tej samej porze.

- Oczywiście - zapewnił, żeby tylko się jej pozbyć.

Wstała nagle i odeszła w stronę sklepu.

Patrząc w ślad za nią, Colin myślał, że była bardziej przerażająca niż wszystkie potwory razem wzięte, jakich bał się dotąd. Christopher Lee, Peter Cushing, Borys Karloff, Bela Lugosi - żaden z nich nigdy nie sportretował postaci tak mrożącej krew w żyłach jak Helena Borden. Była gorsza niż upiór czy wampir, podwójnie niebezpieczna, bo występowała w przebraniu. Wyglądała całkiem zwyczajnie, nawet szaro, nie odznaczając się niczym szczególnym, ale w środku była potworem. Wciąż czuł na twarzy dotyk jej lodowatych palców.

Wyjął spod kurtki magnetofon i wyłączył go.

Wydawało się niewiarygodne, ale wstydził się, że powiedział jej parę rzeczy o Royu, wstydził się też z powodu gorliwości, z jaką grał na nienawiści pani Borden do syna. Było prawdą, że Roy cierpiał na chorobę psychiczną; było również prawdą, że zabijał; ale nie było prawdą, że zawsze był taki. Wcale nie urodził się „zły”, jak to określił Colin. Nie było w nim mniej cech ludzkich niż w kimkolwiek innym. Nie zamordował swojej siostry z zimną krwią.

Sądząc po znanych Colinowi okolicznościach, śmierć Belindy Jane była przypadkowa.

Choroba Roya rozwinęła się jako skutek tej tragedii.

Przygnębiony, wstał z ławki i poszedł na parking. Zdjął łańcuch, którym przypiął rower do stojaka.

Nie chciał już mścić się na Royu. Chciał tylko położyć kres jego okrucieństwu. Chciał

zdobyć dowody, dzięki którym odpowiednie władze uwierzą w tę historię i podejmą działania.

Zaczynał już odczuwać znużenie tym wszystkim.

Choć nie było sensu mówić im tego, choć nigdy by nie zrozumieli, pan i pani Borden też byli zabójcami. Sprawili, że Roy stał się żywym trupem.

Colin zadzwonił do Heather.

- Rozmawiałaś z matką Roya? - spytała.

- Tak. I dowiedziałem się więcej, niż się spodziewałem.

- Opowiedz mi.

- To zbyt skomplikowane na telefon. Musisz posłuchać taśmy.

- A może byś przyniósł ją tutaj? Rodzice wyszli na cały dzień.

- Będę u ciebie za piętnaście minut.

- Nie wchodź głównym wejściem - powiedziała. - Roy może być akurat na cmentarzu, po drugiej stronie ulicy. Nigdy nie wiadomo. Wejdź alejką od tyłu.

Upewnił się, że nie jest śledzony i gdy dotarł na miejsce, Heather czekała na niego na patio z drugiej strony domu. Weszli do miłej, żółtobiałej kuchni, usiedli przy stole i wysłuchali nagranej na taśmie rozmowy z panią Borden.

Gdy wreszcie Colin wyłączył magnetofon, Heather powiedziała”

- To straszne.

- Wiem.

- Biedny Roy.

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedział Colin posępnie.

- Jest mi przykro, że mówiłam o nim te wszystkie rzeczy. To nie jego wina, że jest taki, jaki jest, prawda?

- Mnie też to poruszyło. Ale nie wolno nam rozczulać się nad nim. Jeszcze nie. Broń nas, panie Boże. Nie wolno nam zapominać, że jest niebezpieczny. Pamiętaj, że zabiłby mnie z radością - a ciebie zgwałcił i zamordował - gdyby tylko był przekonany, że nie spotka go za to żadna kara.

Kuchenny zegar tykał głucho.

Heather odezwała się”

- Gdybyśmy dali tę taśmę policji, to może by uwierzyli.

- W co? Że Roy był maltretowanym dzieckiem? Maltretowanym być może do tego stopnia, że wyrósł na psychopatę? Owszem. Może dałoby się ich o tym przekonać, zgoda. Ale taśma niczego nie dowodzi. Nie dowodzi, że Roy zabił tych dwu chłopców, albo że próbował wykoleić pociąg tamtej nocy, albo że próbuje mnie zabić. Potrzebujemy czegoś więcej.

Musimy zrealizować cały nasz plan.

- Dziś wieczór - powiedziała.

- Tak.

Weezy wróciła do domu o wpół do szóstej i wspólnie zjedli wczesną kolację.

Przyniosła z Delikatesów różne rzeczy: szynkę krojoną, pierś indyczą w plasterkach, ser, sałatkę makaronową i pomidorową, pikle z koprem i trójkątne kawałki sernika. Było mnóstwo jedzenia, ale żadne z nich nie jadło zbyt dużo. Matka zawsze dbała o figurę, liczyła każdą dodatkową uncję, a Colin za bardzo martwił się nadchodzącą nocą, by mieć dobry apetyt.

- Wracasz do galerii? - spytał.

- Za jakąś godzinę.

- Będziesz w domu o dziewiątej?

- Obawiam się, że nie. Zamykamy o dziewiątej, zamykamy, odkurzamy meble i znów otwieramy o dziesiątej.

- Po co?

- Mamy prywatny pokaz nowego artysty, tylko za zaproszeniami.

- O dziesiątej wieczorem?

- To ma być eleganckie spotkanie po kolacji. Goście będą mogli napić się brandy albo szampana. Nieźle, co?

- Tak myślę.

Nałożyła sobie trochę musztardy, umoczyła w niej zwinięty plaster szynki i skubała delikatnie.

- Przyjdą nasi najlepsi klienci.

- Do kiedy to potrwa?

- Do północy czy coś koło tego.

- Wrócisz potem do domu?

- Spodziewam się.

Spróbował sernika.

- Nie zapomnij o obowiązkowej godzinie powrotu - powiedziała.

- Nie zapomnę.

- Masz być w domu przed zmrokiem.

- Możesz mi ufać.

- Mam nadzieję. W twoim własnym interesie, mam nadzieję.

- Zadzwoń i sprawdź, jeśli chcesz.

- Prawdopodobnie tak zrobię.

- Będę tutaj - skłamał.

Colin odczekał, aż matka weźmie prysznic, przebierze się i wyjdzie, po czym udał się do jej pokoju i wyjął z szuflady pistolet. Włożył go do małego kartonowego pudełka. A także magnetofon, dwie latarki i plastikową butelkę z keczupem. Wyjął z bieliźniarki ścierkę i przeciął wzdłuż, na dwie równe części. Te dwa kawałki materiału też schował do pudełka.

Zszedł do garażu, zdjął ze ściany zwój sznura, który wisiał tam od chwili, w której wprowadzili się do tego domu, i również go zabrał.

Pozostało mu jeszcze trochę czasu przed wyruszeniem do domu Kingmana. Wrócił do swego pokoju i próbował poskładać jeden ze swoich modeli, ale nie dał rady. Nie był w stanie opanować drżenia rąk.

Godzinę przed zapadnięciem zmroku wziął pudełko, zabrał swój sprzęt i wyszedł z domu. Przywiązał pudełko do bagażnika roweru. Następnie udał się okrężną drogą do domu Kingmana na szczycie Hawk Drive, upewniając się, że nikt go nie śledzi.

Heather czekała w drzwiach zrujnowanej posiadłości. Gdy się pojawił, wyszła z cienia. Miała na sobie krótkie niebieskie szorty, białą bluzkę z długimi rękawami i wyglądała pięknie.

Rower położył na ziemi, w wysokiej, suchej trawie, żeby nie było go widać i wziął ze sobą pudełko.

Ten dom był zawsze dziwnym miejscem, ale o zmroku stawał się jeszcze dziwniejszy.

Przez kilka wybitych, niczym nie zasłoniętych okien sączył się ukośnie miedziany blask słońca i nadawał wnętrzu jakiś krwawy wygląd. Pyłki kurzu wirowały leniwie w gasnących strugach światła. W jednym rogu błyszczała jak kryształ ogromna pajęczyna. Cienie pełzały niczym żywe istoty.

- Wyglądam okropnie - powiedziała Heather, gdy tylko Colin podszedł do niej.

- Wyglądasz wspaniale. Szałowo.

- Mój szampon nie zadziałał - powiedziała. - Włosy sterczą mi jak druty.

- Masz ładne włosy. Bardzo ładne. Trudno wymarzyć sobie lepsze.

- Nie zainteresuje się mną - powiedziała całkowicie przekonana. - Jak tylko zobaczy, że to właśnie mnie tu uwięził, po prostu odwróci się i odejdzie.

- Nie bądź niemądra. Wyglądasz doskonale. Absolutnie doskonale.

- Naprawdę tak myślisz?

- Naprawdę. - Obdarzył ją ciepłym, czułym i przeciągłym pocałunkiem. Jej wargi były

miękkie i drżące. - Chodź - powiedział łagodnie. - Musimy zastawić pułapkę. - Pakował ją w skrajnie niebezpieczną sytuację, wykorzystywał ją, manipulował nią, podobnie jak Roy manipulował nim, i nienawidził siebie za to. Ale nie zamierzał się wycofać, choć jeszcze mógł to zrobić.

Poszła za nim i gdy zaczął wchodzić po schodach prowadzących na piętro, spytała”

- Dlaczego nie na dole?

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

- Prawie we wszystkich oknach parteru poodpadały okiennice albo ktoś je wyrwał.

Gdybyśmy chcieli przeprowadzić całą tę rzecz tutaj, to światło byłoby widoczne na zewnątrz.

Moglibyśmy kogoś tu zwabić. Jakieś dzieciaki. Coś mogłoby nam przeszkodzić, zanim skończylibyśmy z Royem. A w niektórych oknach na piętrze wciąż są okiennice.

- Gdyby coś poszło nie tak - zawahała się - to łatwiej byłoby nam uciec przed nim z parteru.

- Wszystko pójdzie jak trzeba - powiedział. - Poza tym mamy broń. Zapomniałaś? - poklepał pudełko, które niósł pod pachą.

Znów ruszył pod górę i z ulgą stwierdził, że Heather idzie za nim.

Korytarz na piętrze był pogrążony w mroku, a pokój, który interesował Colina, w ciemnościach, z wyjątkiem strużek późnego, popołudniowego słońca, sączących się przy krawędziach zabitych okiennic. Zapalił latarkę.

Już wcześniej wybrał tę dużą sypialnię, znajdującą się na lewo od schodów. Stara pożółkła tapeta obłaziła ze ścian i zwisała z sufitu długimi płachtami niby dekoracja z chorągiewek - pozostałość po jakimś festynie sprzed stu lat. Pokój był zakurzony i pachniał lekko pleśnią, ale nie było tu gruzu, jak w pozostałych pomieszczeniach; leżały tam tylko porzucane fragmenty drewnianego zbrojenia ścian, kilka kawałków tynku i parę pasków tapety - wszystko pod ścianą naprzeciwko drzwi.

Podał Heather latarkę i odstawił pudełko. Wziął drugą latarkę i oparł o ścianę w taki sposób, aby strumień światła padał na sufit i odbijał się od niego.

- To niesamowite miejsce - powiedziała Heather.

- Nie ma się czego bać - uspokoił ją Colin.

Wyjął z pudełka magnetofon i postawił na podłodze, przy ścianie naprzeciwko drzwi.

Zebrał trochę gruzu i ostrożnie go zakrył, zostawiając na wierzchu jedynie głowicę mikrofonu, którą ukrył w małej kieszonce ze zwiniętego kawałka tapety.



- Czy wygląda naturalnie? - spytał.

- Tak mi się wydaje.

- Przyjrzyj się dokładnie.

Zrobiła, jak jej kazał.

- W porządku. Nie widać, żeby ktoś to zrobił specjalnie.

- Ale czy widać magnetofon?

- Nie.

Wziął drugą latarkę i oświetlił kupkę śmieci, sprawdzając, czy nie dojrzy jakiegoś szczegółu, który mógłby ujawnić sztuczkę.

- W porządku - zdecydował w końcu, zadowolony z wykonanej pracy. - Myślę, że nawet na to nie spojrzę.

- I co dalej? - spytała.

- Musisz wyglądać, jakbyś była trochę poturbowana - powiedział Colin. - Roy nie uwierzy w tę historyjkę, jeśli nie będziesz sprawiała wrażenia kogoś, kto stawiał opór. - Wyjął z torby plastikową butelkę z keczupem.

- Po co to?

- Krew.

- Mówisz poważnie?

- Przyznaję, że to dość ograne - stwierdził Colin. - Ale powinno być skuteczne.

Wycisnął trochę keczupu na palce, a następnie posmarował jej lewą skroń, sklejjąc złote włosy.

- Faj. - Skrzywiła się.

Colin odsunął się o kilka stóp i przyjrzał jej się.

- Dobrze - zdecydował. - Ta krew jest jeszcze za jasna. Za czerwona. Ale kiedy

wyschnie, powinna wyglądać zupełnie naturalnie.

- Gdybyśmy naprawdę się szamotali, o czym chcesz go przekonać, to moje ubranie powinno być zmiętoszone i brudne - zauważyła.

- Słusznie.

Wyciągnęła do połowy bluzkę z szortów. Pochyliła się, położyła dłonie na zakurzonej podłodze, a potem wytarła je o ubranie.

Kiedy się wyprostowała, Colin przyjrzał jej się krytycznie, szukając oznak fałszu, starając się patrzeć na nią oczami Roya.

- Tak. Teraz lepiej. Ale przydałoby się zrobić coś jeszcze.

- O co chodzi?

- Dobrze byłoby oderwać jeden rękaw bluzki.

Zmarszczyła brwi.

- To jeden z moich lepszych ciuchów.

- Oddam ci forszę.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Powiedziałam, że ci pomogę. Wchodzę w to na całego. No dalej. Drzyj.

Szarpnął materiał po obu stronach szwu na ramieniu, raz, drugi, trzeci. Wreszcie szew puścił i rękaw zwisał teraz, oderwany do połowy.

- Tak - pochwalił swoje dzieło. - To załatwia sprawę. Wyglądasz bardzo, bardzo przekonująco.

- Ale czy Roy w ogóle będzie chciał coś ze mną zrobić, kiedy jestem taka potargana?

- To zabawne... - Colin przyglądał jej się w zamyśleniu. - Ale w jakiś niezrozumiały sposób jesteś jeszcze bardziej pociągająca niż przedtem.

- Jesteś pewien? Chodzi mi o to, że jestem brudna. Nawet jak wychodzę z wanny, to

nie wyglądam porywająco.

- Wyglądasz świetnie - zapewnił ją. - Tak jak trzeba.

- Ale jeśli wszystko ma zadziałać, to... no... Roy musi mieć ochotę mnie zgwałcić.

Oczywiście, nigdy mu się to nie uda. Ale musi mieć ochotę.

Colin ponownie uświadomił sobie, na jakie niebezpieczeństwo naraża Heather i nie odczuwał do siebie z tego powodu sympatii.

- Jest jeszcze coś, co warto by zrobić - powiedziała.

Zanim pojął, co zamierza zrobić, chwyciła poły bluzki i pociągnęła z całej siły.

Strzeliły guziki; jeden z nich trafił Colina w brodę. Rozerwała bluzkę na całej długości i przez chwilę widział jej drobną, piękną, drżącą pierś i ciemną sutkę, ale po chwili poły zbiegły się z powrotem i nie mógł już dostrzec niczego oprócz miękkiej, słodkiej wyniosłości, która znaczyła szczyt jej piersi.

Podniósł wzrok, napotykał jej oczy.

Jej twarz płonęła rumieńcem.

Obydwoje milczeli przez chwilę.

Oblizwał wargi. W gardle poczuł nagłą suchość.

Wreszcie, drżąc, odezwała się”

- Sama nie wiem. Może to niewiele pomoże. Chodzi o to, że nie mam szczególnie dużo do pokazania.

- Znakomicie - powiedział niepewnym głosem. - Teraz jest znakomicie.

Odwrócił wzrok, podszedł do kartonowego pudła i wyjął zwój sznura.

- Wolalabym nie być związana - powiedziała.

- Nie ma innej możliwości - stwierdził. - Ale tak naprawdę nie będziesz związana. W

każdym razie niezbyt mocno. Po prostu owinę ci parę razy nadgarstki. Nie zrobię żadnego

węzła. Będziesz mogła uwolnić się w mgnieniu oka. A jeśli będą jakieś węzły, to takie, które łatwo dadzą się rozsupłać. Pokażę ci. Będziesz mogła wyplątać się ze sznura w ciągu paru sekund, jeśli będziesz musiała. Ale nie będziesz musiała. Nie zbliży się do ciebie. Nie tknie cię. Nic się nie stanie. Mam broń.

Usiadła na podłodze, opierając się plecami o ścianę.

- Żeby mieć to już za sobą.

Zanim skończył ją wiązać, zapadła noc i zniknęły nawet struzki światła przenikające przez nierówne krawędzie starych, rozłupanych okiennic.

- Czas zadzwonić - powiedział Colin.

- Będę się okropnie bała.

- To potrwa tylko parę minut.

- Czy nie mógłbyś zostawić obu latarek?

Jej strach poruszył go; pamiętał to paraliżujące uczucie z własnego doświadczenia.

Nie mógł jednak zmienić decyzji.

- Nie mogę. Sam muszę mieć jedną, żeby nie skręcił sobie karku, wychodząc z domu, a później wracając w tych ciemnościach.

- Szkoda, że nie wzięłaś trzech.

- Ta jedna ci wystarczy - powiedział, wiedząc, że ta odrobina światła będzie żałośnie małą pociechą w tym okropnym miejscu.

- Wracaj szybko.

- Wrócę.

Wstał i ruszył przed siebie. W drzwiach odwrócił się i spojrzał na nią. Była tak bezbronna, że z trudem się opanował, by nie zawrócić, nie rozwiązać jej i - nie odesłać do domu. Ale musiał złapać Roya w potrzask, utrwalić na taśmie prawdę, a to był najprostszy

sposób, by tego dokonać.

Opuścił pokój, zbiegł po schodach na parter, a następnie wyszedł z domu głównym wejściem.

Plan się powiedzie.

Musi.

Jeśli coś pójdzie nie tak, ich skrwawione głowy ozdobią gzyms kominka w domu Kingmana.

Colin wszedł do budki telefonicznej przy stacji benzynowej, cztery przecznice za posiadłością Kingmana. Wykręcił numer Bordenów.

Słuchawkę podniósł Roy.

- Halo?

- Czy to ty, bracie krwi?

Roy nie odpowiedział.

- Myliłem się - powiedział Colin.

Roy milczał.

- Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że się myliłem.

- W czym?

- We wszystkim. Myliłem się, łamiąc naszą przysięgę krwi.

- Czego chcesz?

- Chcę, żebyśmy znów byli przyjaciółmi.

- To niemożliwe.

- Jesteś mądrzejszy od nich wszystkich - powiedział Colin. - Jesteś mądrzejszy i twardszy. Masz rację; to banda durniów. Dorośli też. Łatwo nimi manipulować. Teraz to zrozumiałem. Nie jestem jednym z nich. Nigdy nie byłem. Jestem taki jak ty. Chcę być po twojej stronie.

Roy znów milczał.

- Udowodnię, że jestem po twojej stronie - powiedział Colin. - Zrobię to, czego ode mnie oczekiwałeś. Pomogę ci kogoś zabić.

- Zabić? Znów się nałykałeś prochów, Colin? Gadasz bez sensu.

- Myślisz, że ktoś nas podsłuchuje - powiedział Colin. - Nie ma nikogo. Ale jeśli nie

chcesz rozmawiać przez telefon, to pogadajmy twarzą w twarz.

- Kiedy?

- Teraz.

- Gdzie?

- W domu Kingmana - powiedział Colin.

- Dlaczego tam?

- Bo to najlepsze miejsce.

- Znam lepsze.

- Ale nie dla naszego celu. Ta rudera stoi na uboczu, a tego właśnie potrzebujemy.

- Do czego? O czym ty mówisz?

- Wypieprzymy ją, a potem zabijemy - powiedział Colin.

- Oszalałeś? Co to za słowa?

- Nikt nie podsłuchuje, Roy.

- Jesteś stuknięty.

- Spodoba ci się - powiedział Colin.

- Chyba się naćpałeś.

- Jest niezła.

- Kto?

- Dziewczyna, którą dla nas skombinowałem.

- Ty zorganizowałeś dziewczynę?

- Nie wie, co jest grane.

- Kto to jest?

- Jest moim darem dla ciebie - powiedział Colin.

- Jaka dziewczyna? Jak ma na imię?

- Przyjdź i zobacz.

Roy nie odpowiedział.

- Boisz się mnie? - spytał Colin.

- Jeszcze czego.

- Więc daj mi szansę. Spotkajmy się u Kingmana.

- Ty i twoi naćpani kumple szykują się na mnie - powiedział Roy. - Chcesz mnie załatwić?

Colin roześmiał się nieprzyjemnie.

- Jesteś dobry, Roy. Jesteś naprawdę świetny. Dlatego chcę być po twojej stronie. Nikt nie jest tak sprytny jak ty.

- Musisz skończyć z tymi prochami - powiedział Roy. - Narkotyki zabijają, Colin.

Wykończysz się.

- Więc przyjdź tu i pogadaj o tym ze mną. Przekonaj mnie, żebym z tym skończył.

- Muszę zrobić coś dla mojego ojca. Nie mogę się od tego wykręcić. Nie dam rady wyrwać się stąd przez najbliższą godzinę.

- W porządku - powiedział Colin. - Jest prawie piętnaście po dziewiątej. Spotkajmy się o wpół do jedenastej.

Colin odwiesił słuchawkę, otworzył drzwi budki i ruszył przed siebie szaleńczym pędem. Przyciskając łokcie do boków biegł w górę stromego wzgórza tak szybko jak tylko umiał.

Dotarł do domu Kingmana, przeszedł przez bramę i pobiegł do drzwi. Gdy znalazł się w środku, zaczął się wspinać po trzeszczących schodach i zanim dostał się na piętro, usłyszał Heather wołającą go niepewnym głosem.

Wciąż była w pierwszej sypialni na lewo. Siedziała w tym samym miejscu, w którym



ją pozostawił - skrzepowana i piękna.

- Bałam się, że to ktoś obcy - powiedziała.

- Nic ci nie jest?

- Jedna latarka to za mało - powiedziała. - Było tu za ciemno.

- Przepraszam.

- I wydaje mi się, że tu są szczury. Słyszałam jakieś chrobotanie w ścianach.

- Już niedługo - powiedział. Pochylił się nad kartonowym pudłem i wyciągnął dwa długie paski materiału zrobione ze ścierki, które przyniósł z domu. - Wszystko zaczyna nabierać tempa.

- Rozmawiałeś z Royem?

- Tak.

- Przyjdzie?

- Powiedział, że coś musi zrobić dla ojca i że nie da rady dotrzeć tu przed wpół do jedenastej.

- Więc nie musiałeś mnie wiązać? - spytała.

- Owszem, musiałem - odpowiedział. - Nie rozluźniaj sznura. On już tu idzie.

- Wydawało mi się, że powiedziałaś wpół do jedenastej.

- Kłamał.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. Próbuje dotrzeć tu przede mną i zastawić pułapkę. Sądzi, że jestem tak głupi jak niegdyś.

- Colin... boję się.

- Wszystko będzie dobrze.

- Naprawdę?

- Mam broń.

- A jeśli będziesz musiał jej użyć?

- Nie będę musiał.

- On może cię do tego zmusić.

- Więc jej użyję. Użyję jej, jeśli mnie zmusi, użyję...

- Ale wówczas będziesz winien...

- ...w samoobronie - powiedział Colin.

- Czy możesz użyć pistoletu?

- W obronie własnej. Pewnie. Oczywiście.

- Nie jesteś zabójcą.

- Tylko go zranię, jeśli będę musiał - powiedział. - A teraz pospieszmy się. Muszę cię

zakneblować. I to dość mocno, jeśli ma to wyglądać przekonująco, ale powiesz mi, czy nie

będzie ci zbyt ciasno. - Zakneblował jej usta dwoma kawałkami ścierki. W porządku?

Wydała z siebie niezrozumiały dźwięk.

- Potrząśnij głową - tak lub nie. Czy jest ci za ciasno?

Potrząsnęła głową, dając znak: nie.

Zauważył, że jej wątpliwości pogłębiają się z każdą chwilą. Żałowała, że w ogóle się

na to wszystko zgodziła. W jej oczach błysnęła iskierka najprawdziwszego strachu, ale tym

lepiej; teraz wyglądała tak, jakby naprawdę była bezradną ofiarą. Roy, ze swoim instynktem

przebiegłego, okrutnego zwierzęcia, natychmiast wyczuje jej przerażenie i da się zwieść jego

przekonującej sile.

Colin podszedł do magnetofonu, uniósł śmieci, które go zakrywały, włączył go, i

ostrożnie umieścił cały kamuflaż na swoim miejscu. Znow spojrzął na Heather.

- Wychodzę poczekać na niego u szczytu schodów. Nie martw się.

Wyszedł z pokoju, zabierając ze sobą pistolet, latarkę i kartonowe pudło, które teraz zawierało tylko plastikową butelkę z keczupem. Zostawił pudło w innym pokoju, a następnie stanął u szczytu schodów i zgasił latarkę.

Dom pogrążył się w gęstej ciemności.

Wetknął pistolet za pasek od spodni, w okolicach krzyża, żeby Roy nie mógł go dojrzeć.

Głośno oddychał, dosłownie dyszał, nie dlatego, że był fizycznie wyczerpany, ale dlatego że się panicznie bał. Próbował się skoncentrować i oddychać cicho, ale to nie było łatwe.

Coś stuknęło na dole.

Wstrzymał oddech, nasłuchiwał.

Następny odgłos.

Pojawił się Roy.

Colin spojrział na swój elektroniczny zegarek. Minęło dokładnie piętnaście minut od chwili, w której wyszedł z budki telefonicznej.

Było właśnie tak, jak powiedział Heather: Roy kłamał. Chciał być w domu Kingmana przed Colinem. Gdyby ten próbował zastawić pułapkę, chciał, ukryty w cieniu, obserwować przygotowania.

Colin przewidział ten ruch i był zadowolony ze swojej przenikliwości. Stojąc w ciemnym korytarzu, uśmiechał się.

Coś poruszyło się w ścianie obok niego i Colin podskoczył. Mysz. Nic innego. To nie był Roy. Wciąż słyszał go na dole. Tylko mysz. Może szczur. W najgorszym wypadku kilka szczurów. Nie ma się czym przejmować. Ale wiedział, że lepiej nie być zbyt pewnym siebie, bo w przeciwnym razie stanie się przed upływem nocy tylko pokarmem dla tych

szczurów.

Kroki.

Strumień światła z latarki, zakrywanej ręką.

U podnóża schodów zrobiło się jaśniej.

Roy wchodził na górę.

Colin nagle poczuł, że jego plan jest dziecinny, naiwny i głupi. Że nigdy się nie powiedzie. Nawet za milion lat. On i Heather umrą.

Przełknął z wysiłkiem ślinę i zapalił swoją latarkę, kierując snop światła na schody.

- Cześć, Roy.

Roy przystanął, po czym skierował światło na Colina.

Patrzyli na siebie przez kilka sekund. Colin dostrzegł nienawiść w oczach Roya i zastanawiał się, czy jego własny strach jest równie widoczny.

- Już tu jesteś - zauważył Roy.

- Dziewczyna jest na górze.

- Nie ma żadnej dziewczyny.

- Chodź, zobacz.

- Kto to jest?

- Chodź, zobacz - powtórzył Colin.

- Jaki numer chcesz wykręcić?

- Żaden. Powiedziałem ci przez telefon. Chcę być po twojej stronie. Próbowałem być po ich stronie. Ale to się nie sprawdziło. Nie wierzą mi. Nie troszczą się o mnie. Nikt.

Nienawidzę ich. Wszystkich. Mojej matki też. Miałaś rację co do niej. To pieprzona suka.

Miałaś rację co do nich wszystkich. Nigdy mi nie pomogą. Nigdy. I nie chcę wciąż przed tobą

uciekać. Nie chcę do końca życia patrzeć przez ramię. Bo ciebie nie można pokonać. Prędzej

czy później byś mnie dopadł. Ty jesteś zwycięzcą. W końcu zawsze wygrywasz. Teraz to

widzę. Męczy mnie już ciągle przegrywanie. Dlatego chcę być po twojej stronie. Chcę

wygrywać. Chcę wyrównać z nimi rachunki, ze wszystkimi. Będę robił to, czego ty

zapragniesz, Roy. Wszystko.

- Więc skombinowałeś dla nas dziewczynę?

- Tak.

- Jak ją tu ściągnąłeś?

- Zobaczyłem ją wczoraj - powiedział Colin, próbując udawać podniecenie, by Roy

nie poznał, że wcześniej przećwiczył każde słowo tej przemowy. - Jechałem sobie na rowerze, zwykła przejażdżka, i rozmyślałem, zastanawiałem się, co powinienem zrobić, żeby się z tobą pogodzić. Przejeżdżałem tędy i zobaczyłem, że ona siedzi tutaj na tej ścieżce przed domem. Miała ze sobą blok rysunkowy. Interesuje się sztuką. Szkicowała posiadłość.

Zatrzymałem się, zacząłem z nią rozmawiać i dowiedziałem się, że pracuje nad rysunkami domu już od kilku dni. Powiedziała, że przyjdzie tu dziś wieczorem, żeby namalować popołudniowe cienie. Od razu wiedziałem, że tego właśnie szukam. Wiedziałem, że jak ci ją dam, to znów będziemy przyjaciółmi. Jest pociągająca jak diabli, Roy. Naprawdę niezła. Zastawiłem na nią pułapkę. A teraz jest tutaj, w jednej z sypialni, związana i zakneblowana.

- Ot, tak po prostu? - spytał Roy.

- Co?

- Tak po prostu zastawiłeś na nią pułapkę i sam jeden związałeś ją i zakneblowałeś.

Takie to było łatwe?

- Nie, skąd! - zaprzeczył Colin. - To w ogóle nie było łatwe. Musiałem ją pobić.

Ogłuszyć. Spuścić z niej trochę krwi. Ale mam ją. Zobaczysz.

Roy przyglądał mu się z dołu, zastanawiając się nad tym wszystkim i nie mogąc się zdecydować - odejść czy zostać. Jego lodowate oczy świeciły w słabym, zimnym świetle latarki.

- Idziesz? - spytał Colin. - Czy może się boisz?

Roy zaczął powoli wchodzić na schody. Colin wycofał się w stronę otwartych drzwi pokoju, gdzie czekała Heather. Wkroczył na korytarz pierwszego piętra. Chłopców dzieliło nie więcej niż piętnaście stóp.

- Tutaj - powiedział Colin.

Ale Roy ruszył w stronę pokoju, znajdującego się naprzeciwko sypialni, do której

chciał go zwabić Colin.

- Co robisz? - spytał Colin.

- Chcę zobaczyć, kto tu jeszcze jest - powiedział Roy.

- Nikt. Mówiłem ci.

- Chcę sam sprawdzić.

Nie spuszczać wzroku z Colina, Roy oświetlił latarką pokój po drugiej stronie korytarza. Colin pomyślał o kartonowym pudle, które tam pozostawił i poczuł, jak serce zaczyna mu wściekle walić. Wiedział, że cały plan runąłby natychmiast, gdyby Roy zauważył butelkę po keczupie. Ale najwidoczniej pudło nie wyróżniało się niczym szczególnym wśród innych śmieci walających się po podłodze upadłej posiadłości, ponieważ Roy nie wszedł do pokoju, by go sprawdzić. Ruszył wzdłuż korytarza, chcąc upewnić się, czy cała reszta piętra jest pusta.

Colin czekał w drzwiach.

- Nikogo nie ma - stwierdził Roy.

- Jestem z tobą szczery.

Roy ruszył w jego stronę.

Colin wycofał się do sypialni i podszedł szybko do Heather. Stał obok niej.

Wyglądała tak, jakby miała zamiar krzyczeć pomimo zakneblowanych ust. Colin chciał się uśmiechnąć i dodać jej odwagi, ale bał się; Roy mógł w każdej chwili wejść do sypialni i zorientowałby się, że są w zмовie.

Roy wszedł ostrożnie do pokoju. Ruchomy snop światła jego latarki wyczarowywał na ścianach taniec cieni. Gdy zobaczył dziewczynę, zatrzymał się zaskoczony. Stał w odległości zaledwie piętnastu stóp, zasłaniając jedyne wyjście. To była chwila prawdy.

- Czy to...?

- Tak - powiedział stłumionym głosem Colin. - Znasz ją? Niezła, co?

Roy przyglądał jej się z rosnącym zainteresowaniem. Colin zobaczył, że jego spojrzenie zatrzymało się na łuku gładkich, zgrabnych łydek, potem przesunęło na kolana, wreszcie zawisło na jej naprężonych udach. Roy zdawał się przez całą minutę niezdolny do oderwania oczu od tych smukłych, kształtnych nóg. Wreszcie spojrzał wyżej, na jej zniszczoną bluzkę, na wzniesienia piersi, które przeświecały przez podarty materiał. Spojrzał na sznury, na knebel w jej ustach i zajrzał w jej szeroko otwarte, przerażone oczy. Stwierdził, że jest naprawdę przestraszona i jej lęk sprawił mu przyjemność. Uśmiechnął się i odwrócił w stronę Colina.

- Zrobiłeś to.

Colin wiedział, że podstęp się udał. Royowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że Colin i Heather sami zastawili na niego pułapkę, bez pomocy dorosłych. Gdy tylko Roy zobaczył, że nikogo poza nimi nie ma w domu, że w innych pokojach nie czekają posiłki, był już przekonany. Tamten Colin, którego znał, był zbyt wielkim tchórzem, by próbować czegoś takiego. Ale tamten Colin już nie istniał. A tego nowego nie znał.

- Ty naprawdę, naprawdę to zrobiłeś.

- Czy ci nie mówiłem?

- Ma krew na głowie?

- Musiałem ją dość mocno uderzyć. Była chwilę nieprzytomna - powiedział Colin.

- Jezu.

- Wierzysz mi teraz?

- Naprawdę chcesz ją wypieprzyć? - spytał Roy.

- Tak.

- A potem zabić?



- Tak.

Heather wydała z siebie jakiś dźwięk, ale jej głos był słaby, a słowa niezrozumiałe.

- Jak ją zabijemy? - spytał Roy.

- Masz przy sobie swój scyzoryk?

- Tak.

- Cóż - powiedział Colin. - Ja także mam swój.

- Chcesz ją - zadźgać?

- Tak jak ty kota.

- To może długo potrwać, jeśli scyzorykiem.

- Im dłużej, tym lepiej - prawda?

Roy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Prawda.

- Więc znów jesteśmy przyjaciółmi?

- Chyba tak.

- Braćmi krwi?

- No... dobrze. Jasne. Zrehabilitowałeś się.

- Nie będziesz już próbował mnie zabić?

- Nigdy bym nie skrzywdził brata krwi.

- Ale przedtem próbowałeś.

- Bo przestałeś się zachowywać jak brat krwi.

- Nie zepchniesz mnie z urwiska jak Steve'a Rose'a?

- On nie był moim bratem krwi - powiedział Roy.

- Nie spryskasz mnie płynem do zapalniczek i nie podpalisz jak Phila Pacino?

- On także nie był moim bratem krwi - powtórzył Roy niecierpliwie.

- Próbowalesz mnie podpalić.

- Dopiero, jak się przekonałem, że złamałeś naszą przysięgę. Nie chciałeś być już dłużej moim bratem krwi, więc stałeś się moim wrogiem. Ale teraz to się zmieniło, chcesz dochować przysięgi, więc jesteś bezpieczny. Nie skrzywdzę cię. Nigdy. Wręcz przeciwnie. Nie rozumiesz? Jesteś moim bratem krwi. Oddałbym za ciebie życie, gdybym musiał.

- W porządku - powiedział Colin.

- Ale nigdy więcej nie obracaj się przeciwko mnie, tak jak już to raz zrobiłeś -

powiedział Roy. - Sadzę, że powinno się dać bratu krwi szansę po raz drugi. Ale nie po raz trzeci.

- Nie martw się - uspokoił go Colin. - Od tej chwili jesteśmy razem. Tylko my dwaj.

Roy spojrzał na Heather i oblizał wargi. Złapał się jedną ręką za krocze i potarł się przez spodnie.

- Zabawimy się - powiedział - a zaczniemy od tej małej dziwki. Zobaczysz, Colin.

Teraz już rozumiesz. Rozumiesz, co oznacza my przeciwko nim. To będzie istna beczka śmiechu. Prawdziwy trzask.

Pamiętając o nastawionym magnetofonie, czując jak serce o mało nie wyskoczy mu z piersi, gdy Roy zrobił krok w kierunku Heather, Colin powiedział”

- Jeśli chcesz, możemy którejs nocy wrócić na złomowisko i zepchnąć ten stary furgon na tory, pod pociąg.

- Nie - powiedział Roy. - Nie możemy już tego powtórzyć. Nie po tym, jak

powiedziałaś swojej starej. Wymyślimy coś nowego. - Zbliżył się do Heather. - No szybciej.

Wyciągnijmy ten knebel. Aż mnie świerzbi, żeby włożyć w te śliczne usteczka coś innego.

Colin sięgnął za siebie i wyciągnął zza paska pistolet.

- Nie dotykaj jej.

Roy nawet na niego nie spojrział. Ruszył w stronę Heather.

- Rozwalę ci łeb, ty sukinsynu! - krzyknął Colin.

Roy był kompletnie zaskoczony. Z początku nie zrozumiał, o co chodzi, ale zobaczył, że Heather z łatwością ściąga sznury, które krępowały jej nadgarstki i zorientował się, że mimo wszystko dał się złapać. Krew odpłynęła mu z twarzy i zrobił się biały z wściekłości.

- Wszystko się nagrało - powiedział Colin. - Mam to na taśmie. Teraz mi uwierzą.

Roy zrobił krok w jego stronę.

- Nie ruszaj się! - ostrzegł Colin, szturchając go pistoletem.

Heather wyciągnęła z ust knebel.

- Dobrze się czujesz? - spytał Colin.

- Będę się czuła lepiej, jak już stąd wyjdziemy - powiedziała.

Odwracając się do Colina, Roy powiedział”

- Ty mały, beznadziejny draniu. Nie masz dość jaj, żeby zastrzelić kogokolwiek.

Wymachując pistoletem, Colin powtórzył ostrzeżenie”

- Zrób jeszcze jeden krok, a przekonasz się, że nie masz racji.

Heather zamarła.

Przez chwilę wszyscy milczeli jak zakłęci. Wreszcie Roy zrobił krok do przodu.

Colin wymierzył pistolet w stopy Roya i oddał ostrzegawczy strzał.

Ale broń nie wypaliła. Spróbował jeszcze raz. Nic.

- Powiedziałeś mi, że pistolet twojej matki jest nie naładowany - powiedział Roy. -

Pamiętasz? - Jego twarz wykrzywiał zwierzęcy grymas wściekłości.

Colin jeszcze raz nacisnął spust - szaleńczo, rozpaczliwie. Jeszcze raz. Jeszcze!

Znów nic.

Wiedział, że jest załadowany. Sprawdzał. Do diabła, przecież widział naboje na

własne oczy!

I wtedy przypomniał sobie o bezpiecznikach. Zapomniał je przesunąć.

Roy rzucił się na niego, a Heather krzyknęła.

Zanim zdołał dotknąć pistoletu, znalazł się pod znacznie silniejszym przeciwnikiem, i obaj zaczęli się tarzać po grubym dywanie kurzu, i głowa Colina uderzała o podłogę, i Roy bił go na odlew po twarzy, i miażdżył jednym, drugim, trzecim ciosem pięści, które przypominały marmurowe bloki - bił w żebra i w żołądek. Colin, z trudem łapiąc powietrze, próbował posłużyć się pistoletem jak pałką, ale Roy chwycił go za nadgarstek i wyrwał mu broń z ręki, i użył jej tak, jak zamierzał użyć jej Colin, zamachnął się i uderzył Colina w głowę, potem drugi raz... Rozlała się przyjazna ciepła czerń - puszysta i niezwykle pociągająca.

Colin uświadomił sobie, że kolejne ciosy albo pozbawią go przytomności, albo go zabiją, a wtedy nie będzie mógł pomóc Heather. Mógł zrobić tylko jedno - osunął się i udał martwego. Roy przestał go bić i usiadł na nim, dysząc ciężko. Po chwili, dla spokoju sumienia, jeszcze raz uderzył pistoletem w czaszkę Colina.

Colin poczuł, jak ból eksploduje w jego lewym uchu, przepływa przez policzek i wreszcie dociera do grzbietu nosa, jakby wbijano mu w twarz dziesiątki ostrych igieł. Stracił przytomność.

Stan nieświadomości nie trwał zbyt długo. Tylko kilka sekund. Obraz Heather, leżącej pod Royem, mignął w czerni, w której unosił się Colin, i ta przerażająca wizja wyrwała go z objąć ciemności.

Heather krzyczała, ale jej krzyk nagle ucichł przerwany gwałtownie odgłosem ciosu spadającego na jej twarz.

Colin nie miał okularów. Widział wszystko jakby za mgłą. Usiadł, spodziewając się w każdej chwili, że Roy skoczy na niego. Pomacał wokół siebie podłogę. Znalazł szkła. Oprawka była skrzywiona, ale soczewki nietknięte. Nałożył okulary, zginając je tak, by pasowały.

Heather leżała na podłodze po drugiej stronie pokoju, płasko na plecach, a Roy siedział na niej okrakiem, odwrócony do Colina plecami. Jej bluzka była rozchylona, a piersi nagie. Roy próbował ściągnąć jej szorty. Szamotała się, więc uderzył ją ponownie. Zaczęła łkać.

Słaby, zalany krwią, ale silny gniewem i determinacją, Colin rzucił się przez cały pokój, chwycił Roya za włosy i ściągnął z dziewczyny. Zatoczyli się do tyłu, upadli bokiem i potoczyli w przeciwnych kierunkach.

Roy zerwał się na równe nogi i chwycił Heather, która biegła w stronę drzwi.

Odciągnął ją od wyjścia i pchnął w kierunku ściany. Potknęła się i upadła na ukryty magnetofon.

Colin leżał na czymś twardym, o ostrych krawędziach, lecz z powodu otępienia potrzebował czasu, by uświadomić sobie, że ma pod sobą pistolet. Wyciągnął go i uniósł się na kolana, próbując gorączkowo przesunąć bezpieczniki, gdy zobaczył, że Roy znów rusza w jego stronę. Czuł, jak przed oczyma przelatują mu iskierki bólu.

Roy roześmiał się z okrutną satysfakcją.

- Myślisz, że się przestraszę nie naładowanej broni? Jezu, ale z ciebie pierdoła! Zaraz rozwalę ci łeb, ty mały, głupi pomyleńcu. A potem wypieprzę tę twoją głupią dziewczynę, aż zaczniesz krwawić.

- Jesteś śmierdzącym, zepsutym draniem! - powiedział Colin, płonąć z wściekłości, o jaką nigdy się nie podejrzewał. Uniósł się z klęczek. - Nie ruszaj się. Nie podchodź. Pistolet był zabezpieczony. Teraz jest odbezpieczony. Słyszysz mnie? Broń jest załadowana. I użyję jej. Przysięgam na Boga, że twoje flaki rozprysną się na ścianie!

Roy wybuchnął śmiechem.

- Colin Jacobs, wielki, bezlitosny zabójca. - Wciąż się zbliżał, uśmiechnięty, pewny siebie.

Colin obrzucił Roya przekleństwami i nacisnął spust. Huk był ogłuszający w tym cichym pokoju o zabitych oknach.

Roy zachwiał się, ale nie dlatego, że Colin go trafił. Był tylko zaskoczony.

Colin ponownie nacisnął spust.

Drugi strzał był też chybiony, ale Roy krzyknął i wyciągnął ręce w pojedynczym geście.

- Nie! Poczekaj! Poczekaj chwilę! Przestań! - Colin szedł naprzód i Roy cofając się natrafił plecami na ścianę. Colin znów nacisnął spust. Nie mógł się powstrzymać. Był rozpalony, rozpalony do białości, płonął gniewem, kipiał, wrzał, był tak gorący z wściekłości, iż wydawało mu się, że za chwilę roztopi się, popłynie jak lawa, każde uderzenie jego serca było potężne jak wybuch wulkanu. Nie był już ludzką istotą, był zwierzęciem, bestią, barbarzyńcą, który toczy brutalną walkę o terytorium z innym samcem, odczuwającym takie jak on pragnienie przelania krwi i którym powoduje straszna i nieodparta żądza dominowania,

zdobywania, niszczenia.

Trzeci strzał musnął prawe ramię Roya, a czwarty trafił go prosto w lewą nogę. Upadł, a ciemna krew zabarwiła rękaw jego koszuli i zaczęła przesiąkać przez jedną z nogawek dżinsów. I po raz pierwszy od chwili, w której Colin go poznał, Roy przypominał - przynajmniej z rysów cierpiącej teraz twarzy - dziecko, dziecko, którym był w istocie.

Colin stanął nad nim i ustawił muszkę pistoletu w jednej linii z grzbietem jego nosa.

Był bliski pociągnięcia za spust, po raz ostatni. Ale zanim zrobił ten ostateczny krok, zanim pogrążył się w całkowitej dzikości, uświadomił sobie, że w oczach Roya kryje się coś więcej niż tylko strach. Dojrzał w nich również rozpacz. A także żalosne, zagubione spojrzenie, straszliwą i nieprzemijającą samotność. Ale najgorsze było to, że jakaś część Roya błagała go, by strzelił jeszcze raz; jakaś jego część rozpaczliwie pragnęła śmierci.

Colin powoli opuścił broń.

- Sprowadzę pomoc, Roy. Zajmą się twoją nogą. Wszystkim innym też. Pomogą ci.

Psychiatrzy. Dobrzy lekarze, Roy. Pomogą ci wyzdrowieć. Nie zabiłeś Belindy. To był wypadek. Pomogą ci to zrozumieć.

Roy zaczął płakać. Chwycił roztraskaną nogę obiema rękami i łkał

niepowstrzymanie, zawodził i jęczał - może dlatego, że szok już przemijał i rana zaczynała go boleć... a może dlatego, że Colin nie chciał uwolnić go od cierpienia.

Colin też nie mógł powstrzymać łez.

- O Boże, Roy, co oni z tobą zrobili. Co zrobili ze mną. Co my wszyscy robimy sobie nawzajem każdego dnia, każdej godziny... przez cały czas... To straszne. Dlaczego? Na litość boską, dlaczego? - Cisnął pistolet, który przeleciał przez cały pokój, uderzył z trzaskiem o ścianę i stuknął o podłogę. - Posłuchaj, Roy, przyjdę cię odwiedzić - powiedział przez łzy, których nie mógł powstrzymać. - Do szpitala. A potem wszędzie tam, gdzie cię zaborą. Nie

zapomnę, Roy. Nigdy. Przysięgam. Nie zapomnę, że jesteśmy braćmi krwi.

Roy zdawał się nie słyszeć, zagubiony w bólu i udręce. Heather podeszła do Colina i z wahaniem położyła dłoń na jego poranionej twarzy.

Zauważył, że kuleje.

- Jesteś ranna?

- To nic poważnego - powiedziała. - Skręciłam kostkę, kiedy upadłam. A jak ty?

- Przeżyję.

- Twoja twarz wygląda okropnie. Jest spuchnięta i sina... a w ogóle to robi się czarna.

- Boli - przyznał. - Ale teraz trzeba wezwać karetkę dla Roya. - Sięgnął do kieszeni dzinsów i wyjął kilka monet. - Masz. W dole ulicy, na stacji benzynowej jest budka telefoniczna. Zadzwoń do szpitala i na policję.

- Lepiej, żebyś ty poszedł - powiedziała. - Z tą skręconą kostką nigdy tam nie dojdę.

- Nie boisz się zostać z nim sama? - spytał Colin.

- Teraz jest nieszkodliwy - powiedziała.

- No... dobra.

- Wracaj prędko.

- Wrócę. I jeszcze jedno, Heather... przepraszam.

- Za co?

- Powiedziałem, że nigdy cię nie tknie. Zawiodłem cię.

- Nic mi nie zrobił - powiedziała. - Ty mnie ochroniłeś. Byłeś świetny.

W jej oczach dostrzegł łzy. Przytulił ją i stali tak przez chwilę.

- Jesteś taka ładna - powiedział.

- Naprawdę?

- Nigdy więcej nie wmawiaj sobie, że jest inaczej. Nigdy więcej nie myśl o sobie źle.



Nigdy. Tym, którzy twierdzą inaczej, każ iść do diabła. Jesteś ładna. Pamiętaj o tym.

Przyrzeknij, że będziesz o tym pamiętać.

- W porządku.

- Obiecuj mi.

- Obiecuję.

Wyszedł, żeby ratować Roya.

Noc była bardzo ciemna.

Schodząc ze stromego wzgórza, uświadomił sobie, że już nie słyszy głosu nocy.

Docierał do niego śpiew ropuch i świerszczy i odległy łoskot pociągu. Ale ten głuchy, złowieszczy pomruk, który, jak mu się zdawało, zawsze dobiegał z ciemności, ten odgłos tajemnej, mitycznej mocy realizującej z mozołem cele odwiecznego zła, umilkł. Po przejściu kilku kroków zrozumiał, że głos nocy był w nim, w jego fantazjach i majakach, i że zawsze tak było. Był w każdym, szeptał złośliwie, dwadzieścia cztery godziny na dobę, a najważniejszym zadaniem było zignorowanie go, stłumienie, niepoddawanie się jego zdradzieckim namowom.

Wezwał karetkę, potem policję.